

MATKI
CZYLI
CÓRKI

Natasza Socha

Kobiety

ciężkich obyczajów

Pascal

Natasza Socha

Kobiety

ciężkich obyczajów

Pascal

Mężczyźni polują, kobiety łowią
Victor Hugo

LUIZA

Rozdział pierwszy

Ależ ona miała nogi!

Kwiryna starała się w ogóle nie mrugać, bo nawet stracony ułamek sekundy wydawał jej się zbyt długą jednostką czasową. Loda Halama była najpiękniejszą kobietą na świecie. Czarny Łabędź z *Ziemi obiecanej*, zjawiskowa tancerka z filmu *Prokurator Alicja Horn* to nie tylko alegoria piękna, ale także jakaś nieuchwytna elegancja, o której Kwiryna mogła tylko pomarzyć. Zresztą komuś z takim imieniem, chudym ciałem i dziwnymi oczami, o których trudno było powiedzieć, czy są niebieskie, czy brązowe, pozostawały tylko marzenia. Konsumpcją rzeczywistości, z jej pięknymi sukienkami, misternie ułożonymi włosami i koszami kwiatów od wielbicieli zajmowały się kobiety pokroju Lody.

– Też byś mogła być taka jak ona – szepnęła jej do ucha Lucyna, starsza od Kwiryny o dobre piętnaście lat i bogatsza o błyszczący do ust firmy Max Factor, którego to kosmetyku zazdrościły jej wszystkie kobiety w promieniu stu kilometrów. Lucyna nie chciała zdradzić, skąd ma to чудо, albo raczej, w jaki sposób je zdobyła wraz z kiełkującym pomysłem na świetny biznes.

Teraz z ukosa obserwowała podekscytowaną Kwirynę, która nie mogła oderwać wzroku od Lody. Tak, zabranie tej małej na rewię było zdecydowanie świetnym pomysłem. Żadne słowa nie przekonają człowieka, dopóki na własnej skórze nie doświadczy, co może stracić lub zyskać.

Kwiryna była śliczna, o co się w ogóle nie podejrzewała. Największym atutem były jej oczy z wrodzoną wadą, dającą jakże wiele możliwości. W uwodzeniu, rzecz jasna. *Heterochromia iridis*, różnobarwność jednej tęczówki. Jedno oko było niebieskie, drugie – niebiesko-brązowe. Każdy, chcąc nie chcąc, wpatrywał się w te oczy i Lucyna wiedziała, że tylko kwestią czasu jest zatopienie się w nich na zawsze. Tyle że Kwiryna na razie odwracała wzrok, jakby wstydzając się swojej ułomności.

Niesłusznie.

– Ona jest taka piękna – wyszeptała, przyciskając dłonie do piersi i posyłając Lodzie spojrzenie wiernego psa.

– Ty też mogłabyś być taka jak ona – odrzekła szeptem Lucyna. – Wszystko jest tak naprawdę kwestią stroju. No i makijażu – dodała, po czym oblizwała swoje błyszczące usta.

Oplacało się.

Szybki numer w bramie przy ulicy Nalewki, tuż pod szyldem „15 Golenie, 25 Strzyżenie”. Ten błyszczący był wart zdecydowanie więcej niż dziesięć takich strzyżeń. Wystarczyło podnieść spódnicę, majtek i tak nie nosiła. Na dodatek klient był zachwycony, że może wziąć ją od tyłu. A ona nie musiała czuć jego oddechu ani wpatrywać się w obcą twarz, wykrzywiającą się w grymasie chwilo-

wego spełnienia. Wcisnął jej potem pięć złotych i dał złote puzderko z napisem „Max Factor, Lip Pomade”. Skąd on je miał? Otworzyła pojemniczek i z zaciekawieniem spojrzała na przezroczystą, błyszczącą zawartość. Powąchała. Pachniało czymś zupełnie nowym.

Hollywood. Na pudełeczku też napisano „Hollywood”.

To pewnie ten zapach.

Instynktownie nałożyła sobie odrobinę mazi na usta i z zachwytem spojrzała w lustro. Jej wargi efektownie błyszczały i stały się kusząco wilgotne. Lucyna Makówna była zapewne pierwszą w stolicy właścicielką ekskluzywnego błyszczyka do ust firmy Max Factor. Cena – niecałe sześć minut.

Tymczasem Loda Halama po raz dziesiąty tego wieczoru kłaniała się ze sceny z przeproszającym uśmiechem, że niestety nie da rady udźwignąć tych wszystkich kwiatów. Jej cieniutkie brwi, wygięte w charakterystyczny łuk, oraz czerwone usta działały jak magnes na szesnastoletnią Kwiryne, która jako pierwsza zerwała się z krzesła i biła brawo tak zapamiętale, aż jej dłonie stały się niemal purpurowe.

Lucyna uśmiechnęła się pod nosem. Warto było zabrać małą na spektakl, choć był to dość spory wydatek. Na szczęście madame Helene załatwiła dwa bilety po dużo niższej cenie, inaczej nie byłoby ich stać na taki luksus. Najważniejsze jednak, że przynęta chwyciła, a haczyk wbił się w rybę. Teraz trzeba ostrożnie wyciągnąć ją z wody, bez żadnych gwałtownych ruchów, w końcu ojciec nieraz jej powtarzał, że hol ryby jest jednym z najbardziej fascynujących momentów wędkowania. Niektóre gatunki bywają bardzo waleczne i tylko od umiejętności wędkarza zależy czy polowanie zakończy się sukcesem, czy też ryba zerwie się z żyłki.

– Boże, ona jest niesamowita, po prostu niewiarygodnie zjawiskowa. Te jej włosy, te nogi i to, jak się rusza. I ma takie piękne zęby i cerę – Kwiryne nie mogła przestać mówić.

Lucyna wzruszyła ramionami.

– Mówiłam ci już. Też mogłabyś taka być.

Kwiryne spojrzała na nią zdumiona.

– Żartujesz, prawda? Jak ktoś taki jak ja mógłby się równać z boginią?

– Na świecie nie ma bogiń, jest po prostu wystarczająca ilość pieniędzy – Lucyna wyjęła złote puzderko z błyszczkiem firmy Max Factor i pogładziła z namaszczeniem napis „Hollywood”.

– Nie trzeba tam jechać, by zostać Jean Harlow – dodała jeszcze.

Kwiryne odgarnęła kosmyk ciemnych włosów z czoła i spojrzała z zaciekawieniem na Lucynę.

– Co masz na myśli?

Ale starsza koleżanka tylko machnęła ręką.

Jeszcze nie teraz. Trzeba wyczuć odpowiedni moment, doprowadzić do sytuacji, w której ofiara sama poprosi o wymierzenie kary. Zresztą, na Boga, o jakiej karze mowa? Jeżeli jeden człowiek posiada piękne i młode ciało, a drugi pieniądze, to dlaczego tego nie połączyć, by obie strony dostały to, o czym marzą?

Lucyna Makówna poczuła się jak kupiec z żydowską smykałką do interesów. Rzuciła raz jeszcze okiem na scenę z kłaniającą się Lodą i wzruszyła ramionami. To po prostu czysty przypadek,

że właśnie ta kobieta została gwiazdą. Owszem, talent miał tu pewne znaczenie, ale umówmy się – cała reszta to po prostu fart, że właśnie Loda wyciągnęła karteczkę z napisem „sława”. Faktem jest jednak, że miała naprawdę niezłe nogi.

– Chodź, wracamy do domu. – Pociągnęła Kwirynę, która w marzeniach stała właśnie na wielkiej scenie, skąpana deszczem zachwyconych męskich spojrzeń i ogrzana histerycznym biciem ich serc.

Mieszkanie, które rodzice Lucyny odziedziczyli jeszcze po jej dziadkach, było małe, ale dość praktycznie urządzone. No i miało łazienkę. To naprawdę wielkie szczęście, tym bardziej że w wielu dzielnicach o takim luksusie można było tylko pomarzyć.

Jeszcze do niedawna przepisy nie określały maksymalnego stopnia zabudowy działki, nic więc dziwnego, że parcele były usytuowane jedna przy drugiej, niezwykle ciasno, z niedużymi podwórkami pośrodku. Koszty minimalizowano, gdzie się dało, zatem gorsze mieszkania w domach, a czasem i całe domy w biednych dzielnicach były pozbawione kanalizacji, bieżącej wody i łazienek. O, choćby to mieszkanie Zośki na Woli. Dwa miniaturowe pokoiki, drewniany wychodek na dworze, odkryte rynsztoki i nawierzchnie z grubych kamieni, między którymi zalegał koński gnój. No i jeszcze po cztery osoby mieszkające w pokoju. Wiecznie śmierdziało u nich smażoną cebulą, potem i brudnymi ciuchami.

Lucyna miała większe szczęście – mieszkania w kamienicy przy Marszałkowskiej należały do lepszych sfer. Kiedy rodzice żyli, ojciec pracował jako kasjer w Pocztowej Kasie Oszczędności, a matka dorabiała jako szwaczka i trzeba przyznać, że całkiem sprawnie jej to szło. Były miesiące, kiedy zarabiała więcej niż ojciec na państwowej posadzie. Na początku lat trzydziestych, kiedy zlikwidowano w końcu miejscowy burdel pod piątką, psujący dość mocno renomę ulicy, zaczęło tu być naprawdę elegancko. Co prawda, Lucyna kompletnie nie rozumiała, dlaczego nagle właścicielom przestały się podobać kariatydy i gipsowe półkolumny, które jako przejaw złego smaku po kolei zaczęto usuwać z budynków. Ona bardzo je lubiła. Tymczasem sztukaterie zniknęły, frontony zostały wygładzone, a całość stała się jakaś taka... nudna. Najważniejsze jednak, że Marszałkowską uznawano za ulicę modną i naprawdę dobrze się stało, że mogła tu mieszkać.

Od kiedy jednak została sama, z pieniędzmi było coraz gorzej. Co innego, kiedy żyli z pensji trzech osób, teraz musiała utrzymywać się sama. Miała też do spłacenia dług u adwokata ojca, który wprawdzie nie zdążył im w niczym pomóc, ale rachunek wystawił. Odroczył go uprzejmie raz, drugi, a nawet piąty, ale w końcu trzeba będzie wszystko uregulować. Śmierć wywołuje w ludziach współczucie, ale dość krótkotrwałe. Nic dziwnego, trupy zostały złożone w ziemi, kwiaty zwiędły, a życie toczy się dalej.

Zarobki u Madame Helene, u której pracowała Lucyna, ledwo starczały na pokrycie czynszu i podstawowe wydatki, a o jakichkolwiek luksusach można było tylko pomarzyć. Nie lubiła tego uczucia. Tego ciągłego liczenia pieniędzy, zapisywania wydatków, a czasem podkradania jedzenia z bazarów. W zasadzie nie była to taka typowa kradzież, Lucyna po prostu pytała, czy może spróbować jabłek, śliwek, kawałka sera, sprawdzić, czy rzodkiewka jest wystarczająco ostra, a mleko idealnie skwaśniałe. Przejście przez bazar było darmowym śniadaniem, ale wywoływało też mentalną zgagę.

Westchnęła. Dobrze, że jej mieszkanie ciągle jeszcze pamiętało lepsze czasy i nie wymagało większych remontów.

Pokój gościnny miał przyjemne groszkowe ściany, sypialnia była różowa, a sufity wymalowano na biało, przez co całość wydawała się jeszcze wyższa.

Podłogi ze zwykłych desek położone kilkanaście lat temu ojciec zdążył przed śmiercią pomalować farbą olejną. Kolor wprawdzie trochę wyblakł, ale nie przeszkadzało to w ogólnym odbiorze. W przejściu między pokojem a kuchnią leżał dywan, pamiętający jeszcze czasy, kiedy mieszkali tu dziadkowie i trzeba przyznać, że ciągle wyglądał elegancko. Zresztą Lucyna starała się po nim jak najmniej stąpać, a raz na dwa miesiące prała go szarym mydłem.

Ponieważ pokój gościnny był wyjątkowo duży, Lucyna rozdzieliła go przez odpowiednie ustawienie mebli, i w ten sposób również Kwiryra zyskała własny kąt. A wszystko dzięki starej, trzydrzwiowej szafie, którą ojcu udało się kupić niemal za bezcen. Szafa miała już swoje lata, ale wyglądała okazale. Meble i tak kupowano wtedy zazwyczaj tylko raz, kiedy urządzano się „na swoim”. Zamożniejsze rodziny zamawiały wyposażenie mieszkania u stolarzy, te uboższe musiały zadowolić się rzeczami z drugiej ręki. Szafa była wprawdzie używana, ale za to w doskonałym stanie. Jej poprzedni właściciel był tak pijany, że nie do końca potrafił się targować i przystał od razu na cenę zaproponowaną przez ojca Lucyny. Teraz dzieliła ona pokój na dwa mniejsze – za szafą spała Kwiryra, a po drugiej stronie mebla był pokój gościnny z dużym stołem, czterema krzesłami, starą stojącą lampą z żółtym abażurem oraz kredensem z piękną ślubną zastawą porcelanową z Ćmielowa, prezentem jeszcze od dziadków.

W kuchni znajdował się całkiem spory piec kaflowy, który służył do ogrzewania wszystkich pomieszczeń, a szafki, podobnie zresztą jak podłogi, pomalowano białą farbą olejną. Odpryski Lucyna pokryła gipsem. Jedynymi elementami dekoracyjnymi mieszkania były dwie ręcznie wyszywane kapy na łóżko w sypialni oraz kanapę, poduszki, haftowane obrusy i serwety i różnego rodzaju figurki, które rodzice znosili z pchlich targów. Niewiele, bo część z nich sprzedała w komisie. Ogólnie mieszkanie prezentowało się bardzo przyjemnie, z delikatną nutą sfer wyższych, natychmiast wyczuwalną przez biedotę i kompletnie niezauważalną dla bogaczy.

Ale nie z tego Lucyna była najbardziej dumna. Prawdziwy powód do dumy stanowiła łazienka!

Co prawda, w tamtym okresie do większości warszawskich domów doprowadzono już wodę, kanalizację i elektryczność, ale w praktyce nie wszyscy mogli pochwalić się takim luksusem. Owszem, w projektach nowych budynków uwzględniano pomieszczenia o przeznaczeniu czysto sanitarnym, lecz w starych mieszkaniach wymagało to nie lada przeróbek. Na szczęście mieszkanie przy Marszałkowskiej mogło się pochwalić łazienką wyposażoną w wannę, umywalkę i muszlę klozetową. Początkowo kąpali się raz w tygodniu, oszczędzając na wodzie i wychodząc z założenia, że człowiek nie powinien niszczyć skóry mydłem i wodą. Z czasem doszli do wniosku, że zdecydowanie ładniej pachną i lepiej się czują, kiedy częściej korzystają z łazienki.

– Ależ tu pięknie – powiedziała Kwiryra, kiedy weszła do mieszkania Lucyny po raz pierwszy. Z zachwytem spoglądała na kolorowe ściany, ozdoby, bibeloty, starą lampę z abażurem i wreszcie

łazienkę, w której pachniało różanym mydłem.

Lucyna otworzyła szafkę i pokazała jej mydło Elida „7 Kwiatów” (jeszcze ze starych zapasów mamy) oraz podręcznik z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku pod tytułem *Higiena kobiety we wszystkich okresach jej życia*.

– Dostałam kiedyś od mamy na urodziny i chociaż wtedy byłam nieco rozczarowana, to dzisiaj przynajmniej wiem, jak o siebie zadbać.

Kwiryna uśmiechnęła się nieśmiało. Ona dotąd kąpała się w misce z wodą, a latem najchętniej w pobliskich jeziorach. To naprawdę zrzędzenie losu, że będzie jej wolno korzystać z prawdziwej łazienki i wymoczyć się w wannie, przeglądając z ciekawością „To Co Najmodniejsze” oraz popijając wodę sodową.

KIRA

Rozdział pierwszy

Początek stycznia, świat powoli zapominał o świętach.

A ją właśnie dopadło. Nogi zmiękły, a część międzymózgowia, zwana pięknie hipotalamusem, wyprodukowała narkotyk odpowiedzialny właśnie za to zmiękczenie. Jej wzrok najpierw odebrał informacje o wzroście, postawie, kolorze włosów i oczu, o szczegółach twarzy i prostym nosie, o długich rękach i granatowej kurtce z kapturem. Wszystko to z prędkością ponad czterystu trzydziestu kilometrów na godzinę dotarło do mózgu, gdzie rozpoczęło się sortowanie doznań na pozytywne i negatywne. Negatywnych nie było, nic dziwnego zatem, że produkcja fenyloetyloaminy ruszyła ze zdwojoną prędkością, a szybkość bicia serca zwiększyła się o pięćdziesiąt procent. Oczy nabrały zaskakującego blasku, a ciało zaatakowała emocjonalna grypa.

– Maja prosiła o oddanie książki – powiedziała nienaturalnie miękkim głosem i wyciągnęła rękę w jego kierunku.

Uśmiechnął się, a ona zamknęła oczy.

Biochemia. Podobno nieuleczalna.

A jeszcze jakiś czas temu wszystko wyglądało zupełnie inaczej. To ona rozdawała karty i miała kontrolę nad męskim światem.

„Piękna, atrakcyjna, dowcipna, zadbana. Ma tylko jedną wadę – interesuje się wyłącznie tymi mężczyznami, którzy są już zajęci. Owija się wokół nich jak winorośl i wysysa soki do czasu, aż ofiara nie ulegnie jej urokowi. Psychologowie mówią o nich kleptomanki miłości. Kobiety, które kradną cudzą własność”.

To było kilka lat temu. Kira mieszkała wtedy z mamą i babcią, żyła zgodnie z ustalonym rytmem i od pewnego momentu zaczęła pakować się w zakazane związki. Z zainteresowaniem wysłuchiwała więc programu o kobietach modliszkach i z przyjemnością odkryła, że jest jedną z nich. Nic nie dawało jej większej satysfakcji niż romans z żonatym facetem, który początkowo przysięgał na własny samochód, że nigdy nie zdradzi swojej ukochanej ani czynem, ani myślą, ani nawet załóżkiem myśli. Na jednych potrzebowała paru tygodni, na innych miesięcy, a zdarzali się również tacy, którzy już po pierwszej kawie zapominali, gdzie mieszkają.

„Kobiety takie automatycznie poszukują miłości skazanej na niepowodzenie. Angażują się w związki, które bardzo rzadko mają szansę na przetrwanie. Wybranek nie jest ich wymarzoną

kochankiem, miłością życia, tylko wyzwaniem. Celem do zdobycia. Zwierzyną podczas polowania,” wyjaśniał niskim głosem ciemnowłosy psycholog z Towarzystwa Psychologicznego i Kira zastanawiała się, ile czasu potrzebowałyby, aby on sam wpadł w jej sidła i kompletnie się w nich zatracił.

Chyba nigdy nie była tak naprawdę zakochana. To znaczy, po Joachimie nigdy. Owszem, podobali jej się różni mężczyźni. Raz czy dwa myślała nawet, że mogłaby z nimi stworzyć dłuższą relację niż przelotny romans. Kiedy jednak doszło do wspólnego kupowania zwykłej ramki do zdjęcia, uciekała z wewnętrznym krzykiem. Albo uciekał on. Najwyraźniej to nie była jej druga połówka, ani nawet ćwiartka. To był po prostu ktoś, kto na chwilę zaplątał się w jej życiu, czyniąc je przez moment bardziej atrakcyjnym. Być może była jeszcze za młoda. Albo zbyt inteligentna, by dać się złapać w sidła pod hasłem „i że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Śmierć w związkach przychodzi niemal zawsze, najpierw wysyłając swoich żołnierzy w postaci demonów codzienności, potem nudy, a na końcu skoku w bok.

Podkradanie cudzych mężów podnosiło adrenalinę. Po co skazywać się na dożywotnią, małżeńską gnuśność, skoro można mieć znacznie większy wybór. Doprowadzanie mężczyzn do zdrady było bardzo kuszące. Zwłaszcza, kiedy oni sami utrudniali zadanie, zarzekając się, że „to” ich nie dotyczy. Otóż „to” dotyczy każdego. Trzeba mieć tylko okazję.

Zaczął się od opowiadania Emmanuelle Bernhard zatytułowanego *Jego żona*. Autorka opisywała w nim historię kobiety, która zakochuje się w żonatym mężczyźnie. Spotyka się z nim po pracy, kradnie potajemne randki, a nawet kolekcjonuje prezerwatywy zużyte podczas miłosnych szaleństw. Kiedy po jakimś czasie dowiaduje się, że jej ukochany jest kawalerem – czar pryska. Nie ma żony – nie ma rywalki. Nie ma rywalki – nie ma o co walczyć. Kobieta z opowiadania poczuła się oszukana, Kira zaś poczuła zew krwi. Tym bardziej że sama została w tym czasie nieźle wystawiona do wiatru.

Wtedy też wpadła na pomysł, żeby podkradać miłość. Odrzec ją z tego całego romantyzmu, z tych bzdur o wierności aż do grobowej deski. Zdrada kusi każdego, tylko nie każdy ma tę możliwość, żeby jej zakosztować. Kira, wychodząc na ulicę, była ubrana właśnie w kuszenie. W igranie z losem i fascynującą zabawę z ogniem. Co może bardziej dowartościować kobietę?

Jej uroda była nieoczywista i to chyba najbardziej intrygowało płęć przeciwną. Ostre kości policzkowe nadawały jej nieco kociego wyglądu, włosy do ramion były ciemne i lśniące. Delikatna jasna cera, jakże inna od tych wszystkich spalonych buziek. No i te oczy. Niby wadliwe genetycznie, ale przez to jakże fascynujące. *Heterochromia iridis*, czyli różnobarwność jednej tęczówki. Jedno oko Kiry było niebieskie, drugie – niebiesko-brązowe. Chcąc nie chcąc, każdy się w nią wpatrywał, a jeśli robił to zbyt długo, zatapiał się nie tylko w tych oczach, ale także w całej Kirze, całkowicie zapominając o monogamii.

Po kilku latach została prawdziwą mistrzynią uwodzenia. Mężczyzn traktowała przedmiotowo, jak

przyjemny dla oka dodatek. Do sukienki, wyjazdu, kawy czy życia.

– Mamo, jestem na wyjeździe służbowym, wrócę za kilka dni – Kira trochę skłamała, ale skoro do tej pory nie wciągała Kaliny w swoje specyficzne hobby, nie widziała powodu, żeby robić to również teraz.

Zresztą matka miała aktualnie na głowie zupełnie coś innego. Helena. Małe, różowe coś, co było jej siostrzyczką, tyle że wybrało sobie innego tatusia. Choć od dziwnej ucieczki Kaliny minęło już trochę czasu, Kira nadal nie mogła uwierzyć, że jej zwykła, dość nudnawa i mocno przezroczyista życiowo matka zdecydowała się na taki krok. Tak po prostu spakować walizkę, na siedzeniu pasażera posadzić faceta, którego poznała przypadkiem przez ogłoszenie w gazecie, i przejechać z nim kawałek Europy, tylko po to, by wrócić w ciąży. I to wszystko w wieku czterdziestu sześciu lat!

Kira wprawdzie polubiła nowego partnera matki, być może dlatego, że Kosma był mocno odklejony od rzeczywistości. Nie zmieniało to jednak faktu, że cała ta akcja wydawała się całkowicie pozbawiona normalności. I kompletnie niepasująca do kogoś takiego jak Kalina.

– Ucałuj Helę ode mnie – powiedziała jeszcze i rozłączyła się.

Swoją drogą to małństwo było całkiem fajne. A nawet momentami cudowne. No dobrze, uwielbiała je. Darło się wprawdzie przeraźliwie, ale na Kirę łyptało z ciekawością swoimi niebieskimi oczkami i uśmiechało się rozbrajająco. Mała Helena zaczęła też wdzierać się pod pancierz swojej stalowej babci Konstancji, którą wprawdzie do dzisiaj wstrząsało na widok Kosmy, ale przynajmniej nie przenosiła swojej niechęci na wnuczkę.

Kira wyciągnęła nogi przed siebie i wystawiła twarz w stronę słońca. Wrześniowe popołudnie było ciepłe i aromatycznie pachniało załazkiem jesieni. Drzewa wprawdzie nie oddały jeszcze swoich zielonych sukienek na przechowanie, ale widać było, że powoli szykują się na zmianę garderoby. Liście traciły swą intensywną zieleń, zastanawiając się, w którym kolorze będzie im ładniej. Żółtym, brązowym czy może czerwonym?

Te rozmyślenia przerwał kubek parującej kawy, który zmaterializował się przed nosem Kiry, kusząc orzechową nutą. Do kubka był dołączony mężczyzna, na oko trzydziestoparoletni, szczupły, z małym koczkiem na głowie. Kirę zawsze zastanawiało, w jaki sposób pewne trendy osiadają na ludziach, systematycznie atakując kolejne ofiary. Najpierw były brody, potem kraciaste koszule, teraz doszedł koczek. Mężczyźni rzucili się hurtowo na te zmiany, zupełnie jakby w każdym z nich naprawdę drzemał drwal z lasu, który z siekierą na ramieniu biegnie polować na renifera.

Uśmiechnęła się. Tego drwała lubiła od jakichś kilku tygodni i trzeba przyznać, że jak dotąd bawiła się doskonale. Zabierał ją na służbowe wypadki, kupował niekonwencjonalne prezenty, a w łóżku zachowywał się sprawnie i na temat.

– Patrz – powiedział jakiś czas temu i podał jej dwie kartki. – Po wypełnieniu szczegółowego kwestionariusza z pytaniami dotyczącymi twoich upodobań kulinarnych, zapachowych oraz stylu życia, a nawet ulubionej pozycji do spania zostaną skomponowane wyjątkowe i niepowtarzalne perfumy tylko dla ciebie. Już wymyśliłem dla nich nazwę. Kiridis. To zbitka twojego imienia z częścią nazwy twojej wady genetycznej.

Naprawdę był momentami rozbrajający.

Miał żonę i jedno dziecko, ale najwyraźniej nie tęsknił za nimi jakoś specjalnie. Usiadł obok Kiry na ławce, przeciągnął się zadowolony z życia i pocałował ją w sam środek ust, zlizując z nich resztki kawy.

„Zapewne dowiem się, że smakuję jak tort orzechowy” – przebiegło jej przez głowę.

– Smakujesz cudownie. Zupełnie jak tort orzechowy, który w dzieciństwie piekła mi mama – popatrzył na nią z czułością.

– Taki z dziesięciu jajek, dwustu gramów zmielonych orzechów włoskich oraz dwóch kostek masła? – spytała niewinnie.

– Yyyy. Tak... Właśnie taki – dodał niepewnie.

Jasne. Daje mu jeszcze jakieś dwa, góra trzy tygodnie, potem trzeba będzie znaleźć sobie nową ofiarę. Facet najwyraźniej głupieje i chyba angażuje się coraz bardziej. A Kira zdecydowanie nie lubiła sytuacji, kiedy mężczyzna zaczynał kwilić, łkać, a nawet szlochać. Miał być stanowczy, wiedzieć, czego chce i w razie czego doprowadzić nawet do rozwodu. Ale nie szlochać. Nie wpędzało jej to broń Boże w poczucie winy, tylko raczej odczuwała pewien niesmak, a nawet zażenowanie.

– Mam coś dla ciebie – wyszeptał jej do ucha i delikatnie musnął językiem szyję Kiry.

Odwróciła twarz w jego stronę i spojrzała tak stanowczym wzrokiem, że na moment się zmieszał. Schował zatem język, opanował rozanielony wzrok i sięgnął do swojej skórzanej torby.

Mapa nieba?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

Drwał odchrząknął i dumnie wypiął pierś. Niełatwo było zadowolić Kirę, ale tym razem wiedział, że mu się udało.

– Mapa nieba – potwierdził. – Oraz zaznaczona na niej gwiazda z twoim imieniem. Nie wiem, czy wiesz, ale niebo usiane jest bezimiennymi gwiazdami, których współrzędne odnotowuje amerykański Wielki Rejestr Astronomiczny. Wybrałem jedną z nich i nadałem jej twoje imię.

Kira obdarzyła go przepięknym uśmiechem oraz myślą, której na szczęście nie dał rady odczytać.

„Pora, by każde z nas wróciło do dawnej konstelacji”.

LUIZA

Rozdział drugi

Pomysł wyjazdu do Warszawy zrodził się w głowie Kwiryny nagle i zaskoczył ją samą bardziej niż majowy śnieg przyrodę. Ale ponieważ w małej wsi pod Łodzią nie widziała dla siebie żadnych szans, co zresztą jej matka tylko potwierdzała, pewnego dnia doszła do wniosku, że szczęście po prostu zdomowiło się gdzieś indziej. Nie znała stolicy, stolica nie znała jej, najwyższa pora to zmienić.

– Jedź – poradziła jej Kunegunda, która po śmierci męża i ojca Kwiryny nie do końca wiedziała, jak utrzymać dom, siebie i dorastającą córkę, zwłaszcza po utracie pracy w jednej z łódzkich fabryk, do której codziennie dojeżdżała ze swojej oddalonej o dwadzieścia kilometrów wsi. – Dam ci adres znajomej. Kiedyś mieszkali na Woli. Pójdiesz tam, może pozwolą ci u nich zostać na jakiś czas. Będziesz im we wszystkim pomagać, a z czasem znajdziesz jakieś płatne zajęcie. Bo tutaj to nie ma na nic szans. Tylko mi wstydu nie narób. Słuchaj się, rób, co ci każą. Nie ma nic gorszego, niż być darmozjadem.

Tuż po pierwszej wojnie światowej w powiecie łódzkim trudno było o jakiegokolwiek zatrudnienie, o zawdzie szwaczki nie wspominając. A Kunegunda jedyne co umiała, to szyć. Po złodziejskiej polityce niemieckiego okupanta doszło do dewastacji większości fabryk, co w połączeniu z utratą wschodnich rynków zbytu doprowadziło do upadku przemysłu włókienniczego. Znaczna część ludzi wylądowała na bruku. Kunegundzie udało się w końcu zdobyć pracę pomywaczki w domu miejscowego właściciela folwarku, ale pieniądze, które tam zarabiała, ledwo starczały na skromne jedzenie. Kwiryna często chodziła głodna, czego nie lubiła nawet bardziej niż zimna. Człowiek z pustym żołądkiem staje się nerwowy i nie zauważa żadnych pozytywnych rzeczy, które stają mu na drodze. Nie widzi słońca, kwiatów, nie czuje zapachu wiatru, nie chce mu się pogłaskać psa. Życie tutaj nie dawało żadnych perspektyw.

A Warszawa?

Warszawa to było przecież wielkie, bogate miasto z piękną architekturą i ubikacjami w każdym domu. Na ulicach nie leżał gnój, nie było furmanek ani bałagów, tylko asfalt i drogie samochody. Nikt nie chodził głodny, a kobiety nosiły pantofle na obcasach.

Kiedy Kwiryna wysiadła z wozu na ulicy Grójeckiej, niemal natychmiast zatopiła się po kostki w błocie. Asfalt też był, owszem, ale tylko na głównych, tak zwanych pryncypalnych ulicach. Poza tym ciągle jeszcze dominowała kostka brukowa lub nawierzchnie z grubych kamieni. Przez pierwsze dwie godziny Kwiryna nie zobaczyła ani jednego samochodu. Tego, że statystycznie na dziesięć tysięcy mieszkańców przypadało tylko dziesięć samochodów, nie mogła przecież wiedzieć. Ale

to jednak była Warszawa. Miała urzędy centralne, swoje gazety i siedziby wielkich firm. Oraz tramwaje. Dziewczyna wciągnęła nosem powietrze i choć pachniało ono trochę gnojem, trochę kurzem i cebulą, to jednak przebijał się przez to zapach nadziei, czekolady Wedla i wiary, że kiedyś narzuci na ramiona futro z lisów i przejdzie się Nowym Światem, stukając obcasami eleganckich bucików. Kwiryna uśmiechnęła się do swojej przyszłości i zamiast udać się prosto na Wolę, postanowiła najpierw zobaczyć centrum.

W tym samym czasie przy niewielkim kuchennym stole, w dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej siedziała niespełna trzydziestoletnia Lucyna, zjadając leguminę i przeglądając magazyn kobiecy „Bluszcz”.

„Wszystko w modzie jest właściwie celowe. Jeśli nosimy teraz suknie o liniach prostych, wąskie, ściśle owijające figurę i wymagające bezwzględnie smukłych kształtów, jeżeli modną jest owa nadmierna szczupłość i prawie płaskość, to stąd to wypływa, że tempo współczesnego życia nie sprzyja znanadto rozwojowi piersi i bioder”.

Westchnęła. Jej osobisty rozwój bioder i piersi również zatrzymał się dość szybko, wskutek czego miała mało kobiecą figurę. Być może podkreśliłyby to obcisłe sukienki, tyle że pieniądze, które zarabiała, zdecydowanie nie sprzyjały zakupom dóbr luksusowych. Wszystko się popsowało. Wszystko stanęło na głowie od czasu, kiedy ojciec popełnił samobójstwo, a matka z rozpaczyny najzwyczajniej w świecie zapłała się na śmierć. A najgorsze było to, że kiedy całą sprawę wyjaśniono, czasu i tak nie dało się już cofnąć.

Ojciec Lucyny, Eugeniusz Mak pracował początkowo jako kasjer w Pocztovej Kasie Oszczędności i zarabiał całkiem przyzwoite pieniądze. Kiedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku instytucja uzyskała osobowość prawną i stała się instytucją państwową, zmieniła nieco swój profil. Zaczęła więc przyjmować wkłady oszczędnościowe, ubezpieczać na wypadek śmierci, prowadzić zagraniczne zlecenia przekazowe, giełdowe, inkaso oraz skup weksli, a także lombard i depozyt. Do tego wszystkiego potrzeba było odpowiednich ludzi, którzy zachęcaliby do oszczędzania w PKO. Szybko się okazało, że Eugeniusz Mak idealnie nadawał się na kogoś, kto skutecznie werbowałby kolejnych klientów. Był uczciwy, spokojny i miał dobrotliwe spojrzenie. Nic dziwnego, że w krótkim czasie awansował na kasjera-doradcę. Ludzie chętnie go słuchali, bo nie nagabywał ich nachalnie, tylko subtelnie namawiał do życiowych zmian w zarządzaniu pieniędzmi.

Kiedy mówił, że jego celem jest wzbudzenie ducha oszczędności w każdym Polaku, brzmiało to tak, jakby wygłaszał najważniejsze przemówienie w swoim życiu. Był zresztą całkowicie przekonany co do tego, że pieniędzmi nie wolno szastać na prawo i lewo, tylko należy wydawać je rozważnie, dokładnie zastanawiając się nad każdą złotówką. Oszczędność w jego mniemaniu prowadziła prostą drogą ku zdobyciu tych dóbr, które do tej pory wydawały się nieosiągalne.

O taki chociażby samochód Ford T. Prawdziwe cacko z czterosuwowym silnikiem o pojemności dwóch tysięcy dziewięćdziesięciu ośmiu centymetrów sześciennych i mocy dwudziestu dwóch koni mechanicznych. Kosztował wprawdzie słono i oczywistością było, że stanowi luksus sam w sobie. Luksus piękny i nieosiągalny. „Czyżby?” – pytał, zawieszając głos na kilka sekund, by rozbudzić

w rozmówcy ogień ciekawości. A kiedy ten zapłonął, przedstawiał tabele z oprocentowaniem, które dokładnie pokazywały, po ilu latach oszczędności (w zależności od zarobków i regularnych wpłat) dany klient może się stać dumnym posiadaczem tego samochodu.

Nie wiadomo skąd i którą drogą nadleciało bowiem nieszczęście, oczywiście wraz do pary z innym. Kiedy więc Najwyższa Izba Kontroli wykryła straty finansowe PKO, czego skutkiem był proces sądowy, wytoczony w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, również Eugeniusz Mak padł ofiarą oszustwa i został posądzony o sfałszowanie dokumentu upoważniającego go do podejmowania środków z cudzych książeczek. Właściciel PKO, pochłonięty własnymi problemami i ciężką nerwicą, nie zainteresował się zwykłym pracownikiem, próbującym na wszelkie sposoby bronić się przed tymi zarzutami. Koniec końców ojciec Lucyny wybrał sznur bieliźniany, na którym zawisnął na siedem minut przed planowanym aresztowaniem. Kiedy kilka miesięcy później złapano prawdziwego przestępcę, nikt się nawet nie pofatygował do rodziny samobójcy, aby zaproponować jej odszkodowanie lub przynajmniej darmowe przeprosiny. Nikt nie chciał nawet pokryć kosztów adwokata, którego wynajęła matka Lucyny. Nic dziwnego, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku dołączyła ona do swojego męża i choć nie popełniła samobójstwa, trudno jednak uznać wypicie butelki spirytusu za zwykły przypadek.

Tym samym Lucyna została sierotą i chociaż nie była już dzieckiem, boleśnie odczuła uroki samotności. Całe szczęście miała stałą pracę (choć dość słabo płatną), a kiedy okazało się, że może dodatkowo dorobić, umawiając się z bogatszymi bywalcami okolicznych restauracji, uznała, że skoro życie podsuwa jej takie rozwiązanie, to głupotą byłoby z niego nie skorzystać. Rachunki trzeba płacić, jeść również w miarę regularnie i za żadne skarby nie dać się wyrzucić z mieszkania przy Marszałkowskiej. Kandydata na męża nie udało jej się jakoś znaleźć, ale być może przyczyna leżała właśnie w tych płaskich piersiach. Trudno. Nie każda kobieta musi być żoną.

Pilnie potrzebowała jednak współlokatorki, kogoś, kto przynajmniej częściowo pomógłby jej w dzieleniu wszystkich kosztów. I kiedy tak siedziała nad leguminą i „Bluszczem” z jego mądrościami na temat talii, do jej uszu dobiegły jakieś krzyki, a nawet dźwięk rozbitej butelki.

Podeszła do okna i z ciekawością wyjrzała na ulicę. Tuż pod jej oknami stała chuda jak patyk dziewczyna, z brązową walizką w jednej ręce, przestraczem w dziwnych oczach i w bardzo brzydkich butach, ozdobionych warszawskim błotem.

– Ślepa czy co? Mało pod dzyndzaja nie wpadła, a teraz jeszcze konia mi przestraszyła! Idź mi z tymi kojberami, flądrowa jedna. – Uliczny sprzedawca, którego wóz dosłownie uginał się pod ciężarem towaru różnorakiego sortu, wykrzykiwał na biedną dziewczynę, która wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

Lucyna wyszła na ulicę.

– To ty stąd zmiataj. Tu Marszałkowska, nie Muranów! Nie trza nam twoich śmieci! – zawołała ostro.

Sprzedawca tylko wzruszył ramionami, zaklął siarczyście pod nosem i gwizdnął na konia.

Kwiryna podniosła wzrok na Lucynę, która aż się cofnęła.

– Ale ty masz oczy!

Lewe oko dziewczyny było niebieskie, a prawe niebiesko-brązowe. Robiło to naprawdę niezwykle wrażenie. Nie wiadomo, czy to te oczy sprawiły, czy może raczej dwie dusze, dość samotne i trochę pokopane, które uznały, że warto przyjrzeć się sobie z bliska. Kwiryra odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem na zaproszenie Lucyny, a siedem minut później zgodziła się z nią zamieszkać w warszawskim, dwupokojowym mieszkaniu, na samej ulicy Marszałkowskiej. Swobodny dostęp do łązienki postawił kropkę nad i.

To była zupełnie inna jesień niż wszystkie dotychczas. Miała w sobie urok wielkiego miasta, obietnicę lepszej przyszłości i nawet błoto było tu jakieś mniej brudne. Po ulicach spacerowali ludzie, którzy wydawali się Kwiryynie wyżsi, jaśniejsi na twarzy i zdecydowanie bardziej dystyngowani. Próbowwała tak jak oni nosić wysoko głowę, stąpać zamiast chodzić i przeglądać się w oknach wystawowych. Co prawda, jej zniszczony płaszczyk podszyty bardziej wiatrem niż futerkiem nie robił z niej damy, ale przynajmniej duchowo czuła się tu znacznie lepiej niż na swojej szarej wsi.

– Sybilla Mira – przeczytała głośno, stając przed wejściem do kamienicy przy ulicy Śniadeckich.

A może by tak spytać ją o przyszłość? Zawsze to lepiej wiedzieć, co człowieka czeka i jakie drzwi się przed nim otworzą.

– Panienska do mnie? – Do jej uszu dobiegł ostry ton.

Wystraszona podniosła oczy i ujrzała starszą kobietę, całą ubraną na czarno, z czerwonymi jak jarzębina ustami.

– Nnnie, to znaczy... A ile kosztuje wizyta? – zapytała nieśmiało.

Cena wytrąciła jej resztki pewności siebie i poczuła, że policzki zapłonęły jej rumieńcem.

– To przepraszam, może innym razem.

– A wiesz, że kiedyś ta cena nie będzie dla ciebie żadnym problemem? – powiedziała nagle kobieta.

Kwiryra spojrzała na nią pytająco.

– Tak, moja panno. Tyle że twoja ścieżka będzie mocno poplątana i nie wiem, czy znajdzie się ktoś, kto ci duszę uleczy. – Sybilla Mira nagle odwróciła wzrok i zamknęła za sobą drzwi kamienicy.

Kwiryra nie była pewna, czy ta przepowiednia stanowiła dobry znak, ale przynajmniej dostała ją za darmo. Za lody śmietankowe musiała już jednak zapłacić (dwadzieścia groszy, ale dostała dwa wafelki i większą niż zwykle porcję), szkoda tylko, że wcale jej nie smakowały. Szła przez miasto trochę smutna, trochę zamyślona i zastanawiała się, co będzie robić za rok o tej samej porze.

KIRA

Rozdział drugi

Mieszkanie z babcią miało swoje zalety. Po pierwsze, Kira nie musiała sama gotować (za czym specjalnie nie przepadała), a po drugie podobał jej się fakt, że posiada dwa życia. Jedno toczyło się w starej willi, z Konstancją i jej kotem Patrycjuszem, z kuchnią z dywanem (czego nie znosiła Kalina), z czterema dużymi pokojami oraz strychem. Babci udało się kupić ten dom za całkiem okazyjne pieniądze, a wszystko dlatego, że rozwodzące się małżeństwo nie potrafiło dojść do żadnego porozumienia. Koniec końców on na złość swojej żonie sprzedał ojcowiznę za bezcen, a ona doniosła na niego do Urzędu Skarbowego. Podobno podczas procesu chcieli się zagryźć, ale Konstancji już to obchodziło. Stara willa ze starym ogrodem należała do niej, Kaliny, a potem do małej Kiry. Życie zaczęło płynąć spokojnym rytmem do czasu ataku menopauzy jej matki. Kalina wyprowadziła się dość niespodziewanie i Kira została tylko z babcią. Przynajmniej zawsze ktoś na nią czekał.

Drugie życie zamykało się na hotelowych pokojach, gdzie mogła być, kim tylko chciała. Nigdy nie marzyło jej się własne mieszkanie, być może dlatego, że czułaby się w nim nieprzyjemnie samotna, zwłaszcza w tych momentach, w których facet zaczyna się ubierać, żeby zdążyć do domu na kolację. Albo gdyby zachorowała i poprosiła go o wykupienie lekarstw z apteki, a on powiedziałby, że musi odebrać dziecko z przedszkola. Mężczyźni kochali się w niej na zabój, ale głównie dlatego, że nie komplikowała im życia. Nie chorowała, nie prosiła o drobne przysługi, nie obrażała się, gdy czegoś nie zrobili na czas. Czysty, przyjemny, erotyczny układ, za który chętnie odwdzięczali się upominkami lub krótkimi wyjazdami. Zawsze „służbowymi”. Kira postanowiła nie zaprzętać sobie głowy myślami, „co by było, gdyby”, bo przecież jej samej taki układ odpowiadał najbardziej. Kiedy zaś nie miała ochoty na spotkania, rozmowy czy pozamałżeński seks, grały z babcią w szachy albo re-mika i rozwiązywały krzyżówki.

- Stan, w którym wszystko się promili?
- Nietrzeźwość.
- Fruwa rozpoczęty przeczeniem, a zakończony chwastem?
- Nietoperz.

Ulubione zadania, z przymrużeniem oka. O, właśnie. Gdyby większość ludzi patrzyła na świat z przymrużeniem oka, wszystkim żyłoby się o wiele łatwiej.

- Babciu, wychodzę do redakcji.
- Będziesz na obiedzie? Buraczki, mielone i tłuczone ziemniaki.

Najbardziej wykwintna restauracja z molekularną kuchnią i jej rzodkiewkową pianką nie miała szans równać się z taką ofertą. Własne mieszkanie? Jeszcze przyjdzie na to czas. Podobnie jak

na faceta, który będzie musiał wystarczyć na dłużej niż przelotny romans. Jeśli w ogóle kiedykolwiek takiego zapragnie.

„Czarny kot, pęknięte lustro, zakonnica w okularach. To wszystko spotkało mnie jednego dnia i zaraz potem on mnie rzucił. Czy to przez magię?” – ten list przyszedł dziś z samego rana i Kira długo nie mogła uwierzyć w głupotę jego nadawcy.

Nie mogła również odpisać, że to zdecydowanie nie przez magię, co raczej z powodu samego faceta, który postanowił poszukać szczęścia gdzieś indziej. A czarnego kota pewnie sam nasłał, dla zmyłki.

Już parę dobrych lat pracowała jako dziennikarka w kobiecym magazynie, pisząc artykuły poradnicze i odpowiadając na niemal wszystkie możliwe pytania, problemy i zagadnienia. Większość czasu spędzała przed komputerem w domu, kiedy jednak otwarto filię w jej rodzinnym mieście, dostała swoje biurko, przy którym siedziała od dziesiątej do piętnastej i jako Ada odpowiadała na najbardziej zawiłe pytania czytelników. „Porady Ady”. Od czasu do czasu pisała też większe teksty i po kilku latach stała się prawdziwą ekspertką od wszystkiego.

„Przesady to odzwierciedlenie naszych lęków. Kiedy się czegoś boimy, odsuwamy na bok racjonalne myślenie i zaczynamy poszukiwać najróżniejszych metod wyjścia z zagrożenia lub usprawiedliwiamy tym nasze życiowe niepowodzenia. Weź się w garść. To nie kot zawinił ani tym bardziej zakonnica, nawet jeśli miała okulary. Po prostu ten mężczyzna nie był cię wart” – odpisała mądrze i bardzo na temat.

– Pęknięte lustro, też coś – prychnęła do siebie.

Raz jeden zdarzyło jej się pójść do wróżki, tylko po to, aby sprawdzić, czy rzeczywiście istnieją ludzie, którzy potrafią przewidywać przyszłość. Trafiała na prawdziwą specjalistkę w tej dziedzinie, wróżko-mistrzynię ezoteryki, która nie miała ani kota, ani przezroczystej kuli, ani nawet talii tarota. Kobieta najpierw podłączyła ją do biopulsara, a potem zaczęła snuć wizje przyszłego życia Kiry. Krótka sesja pozwoliła dokładnie określić stan jej wewnętrznej energii i ocenić ogólny poziom harmonii. Wystarczyło tylko położyć dłoń na złotych przyciskach, a na ekranie komputera wyświetliły się pola energetyczne określonych organów.

– Masz duży potencjał i otacza cię specyficzna aura. Mężczyźni nie potrafią ci się oprzeć.

To była akurat prawda, ale Kira wołała usłyszeć, czego się dalej spodziewać i po tej aurze, i po życiu w ogóle.

Jednak ezoteryczno-szamańska wróżka tylko dziwnie na nią spojrzała, a potem powiedziała coś zupełnie bez sensu:

– To wszystko jest na krótką metę. A później zaboli cię dusza.

Kira pokiwała głową.

Jasne.

To już zdecydowanie wołała biopulsar, piramidkę jakąś albo halucynogenne zioła niż nawiedzone rozmowy na temat duszy. Kira nie wierzyła w duszę, wobec czego nie musiała się też przejmować, czy ona ją kiedykolwiek zaboli.

– Dziękuję. W razie czego wezmę ibuprofen – powiedziała złośliwie i wyszła mocno rozczarowana. Spojrzała przez okno. Jesień chyba już na dobre przepędziła lato, płosząc je silnym wiatrem i taką ostrością w powietrzu, która napina skórę na policzkach. Owinęła się szczelniej grubym, czerwonym swetrem, dopiła resztki kawy i zamknęła komputer. Pora odwiedzić Helę. Mała ma już pół roku i nabiera urody. „Po starszej siostrze” – uśmiechnęła się w myślach.

Kosma pochylił się nad Heleną i badawczo się jej przyjrzał.

– Moim zdaniem to klasyczny kryzys dojrzewania – ogłosił w końcu.

Kalinę zatkało na moment, ale po chwili wzięła głębszy wdech i oznajmiła spokojnie:

– A moim to klasyczna kolka. Wydaje mi się, że na dojrzewanie mamy jeszcze trochę czasu.

Kosma pokręcił przecząco głową.

– Niekoniecznie. Otóż między drugim a szóstym miesiącem niemowlę przechodzi tak zwany fizjologiczny okres dojrzewania. Wykształcają mu się wtedy takie funkcje układu nerwowego, jak pamięć, koordynacja wzrokowo-ruchowa oraz zdolności ruchowe. Maluch zaczyna odróżniać siebie od mamy i powoli się od niej „oddziela”, choć do tej pory stanowił z nią jedność. Mówi się wtedy o „psychologicznych narodzinach” niemowlaka, który z każdym dniem staje się coraz bardziej niezależny.

– Kosma, ona ma sześć miesięcy. Według mnie będzie jeszcze długo ode mnie zależna.

– Formalnie tak. Ale psychicznie właśnie się oddziela. Stąd te grymasy oraz jęki o dziwnych porach dnia. Obserwuję ją bardzo uważnie i wierz mi, nie mylę się.

Kira wywróciła oczami. Kosma był chodzącą encyklopedią nie tylko ciążową, ale teraz także niemowlęcą. Podczas gdy inni mężczyźni czytali krwawe kryminały, ewentualnie literaturę science fiction, on wykupił wszystkie możliwe poradniki na temat dziecka małego, dużego oraz średniego, a także psychologiczne książki z całą masą wskazówek, co zrobić, żeby wychować je dobrze, mądrze, z miłością, ale bez podcinania skrzydeł.

– Uff, ciężki kawałek chleba, mówię ci, ale czuję, że jestem na dobrej drodze – sapnął teraz, siadając przy stole naprzeciwko Kiry i mieszając w szklance sok z marchewki.

– Dla Heli? – spytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Dla mnie. Muszę teraz pić i jeść to, co moja córka, bo tylko wtedy jestem w stanie naprawdę zrozumieć swoje dziecko. Ona jeszcze nie pija soku z marchewki, ale niedługo go wprowadzimy. Kiedy będę jej tłumaczył zaletę tego napoju, chcę wiedzieć, o czym mówię – wyjaśnił.

Kira postanowiła, że tego nie skomentuje.

Kosma tymczasem zamknął oczy i rozpoczął jakąś dziwną melorecytację.

– Dziecko. Jak je wychować, żeby go nie skrzywdzić. Albo krzywo wpakujemy mu kaszkę do dzioba i będzie miało syndrom odrzucenia, albo zaśpiewamy mu kołysankę, w której to królewna zdybała grajka i nasz potomek do czterdziestki będzie bał się silnych kobiet. W co się bawić z niemow-

lakiem? I czy w ogóle się bawić, bo przecież niemowlak jest prawie jak lalka, tylko mu kupa gorzej pachnie. Jak do niego mówić? Puścić mu jazz czy raczej Bacha? A może jednak Justina Biebera? Straszyć upiorami czy wystarczy zwykła Baba Jaga? Tylko po co straszyć? No i co z nim robić, kiedy już sam zacznie się odzywać i domagać uwagi?

Kalina spojrzała na Kirę, która z trudem hamowała wybuch śmiechu. A potem nagle spoważniała i spytała, zupełnie od niechcienia:

– Ty też się nad tym wszystkim zastanawiałaś, kiedy ja byłam mała?

Kalina zaczerwieniła się. To, że Kira ma do niej jakiś żal, wyczuwała od dawna. Początkowo myślała, że chodzi o Helenę, że to zwykła zazdrość, ale to nie siostra była przyczyną tych pretensji. Kira powiedziała jej kiedyś, że brak uwagi jest gorszy od karania. Że matki są po to, żeby zwracać uwagę. Żeby czasem krzyknąć, czasem się przeciwstawić, pokłócić, a nawet obrazić. Tam, gdzie jest miłość, muszą być emocje. Te dobre, i te złe. Nie wolno zostawiać dziecka samemu sobie tylko po to, by w ten sposób nauczyć je samodzielności. Tymczasem Kalina, zdeptana przez zaborczą i ingerującą we wszystko Konstancję, postanowiła, że nigdy nie będzie taką matką. Że każdy człowiek jest niezależnym bytem i nikt nie ma prawa mu mówić, jakie majtki powinien nosić. Kirze dała absolutnie wolną rękę. We wszystkim. I choć bolało ją, że córka nie poszła na studia, to jednak nie dała tego po sobie poznać. Wystarczy, że Konstancja wtrącała się w jej życie niemal bez przerwy, nie pozwalając nawet zmienić fryzjera. Nic dziwnego, że Kalina w końcu się zbuntowała i na pięć minut przed menopauzą skoczyła na głęboką wodę.

– Kira... – zaczęła teraz, ale córka tylko machnęła ręką.

– Daj spokój. Wszystko wiem i rozumiem. Tylko pamiętaj o jednym – nie musisz Heleny prowadzić za rękę, wystarczy, że od czasu do czasu poświęcisz jej drogę latarką.

Jej wzrok zatrzymał się nagle na kartce, która leżała na stole przyduszona jabłkiem.

„Skarpetki w różnych kolorach (żółte, zielone, czerwone), zawiązane na supeł i pełne niespodzianek – wypełnione koralikami, papierem, klockami, watą, ryżem, następnie – naszyjniki z dużymi koralami lub paciorkami, które łatwo dają się przesuwac, kolorowe balony z wymalowanymi na nich uśmiechniętymi buźkami, dzwoneczki, szeleszczące papiery, folia pęcherzykowa i wszystko, co wydaje nietypowe dźwięki (poduszka puszczająca bąki?)”.

Kira uniosła brwi ze zdumienia. Poduszka puszczająca bąki? Skarpetki wypełnione ryżem? Istniało duże podejrzenie, że Kosma dzieciłniał wprost proporcjonalnie do dojrzewania Heleny.

– To na serio? – spytała swojego przyszywanego tatusia, który zakończył właśnie picie soku z marchewki i przymierzał się do papki z topinamburu.

– Małe dziecko potrafi odczuwać i poznawać otoczenie aż sześcioma zmysłami. Każdy z nich będzie się lepiej rozwijał, jeśli troszkę mu w tym pomożemy. Trzeba być czujnym, moja droga, żeby niczego w życiu nie przegapić.

– Ale dorośli chyba też posiadają sześć zmysłów? – zapytała rozbawiona. Lubiła go coraz bardziej. Był tak aseksualny w tym, co robił, że naprawdę mogła go szczerze lubić. Bez żadnych podtekstów.

Przytaknął.

– Owszem, ale aby rozwijały się prawidłowo, należy je stymulować od najwcześniejszych lat. Wiesz, jak łatwo można sprawdzić, czy maluch rzeczywiście ma rozwinięty zmysł węchu? Wystarczy przeprowadzić mały eksperyment. Obok policzka niemowlęcia kładziesz stanik jego mamy, a z drugiej strony stanik innej kobiety. Badania dowodzą, że niemowlę znacznie częściej będzie obracać się w stronę bielizny matki.

– Rozumiem, że przeprowadziłaś już to doświadczenie? A skąd miałaś stanik innej kobiety? Od Marietty? – spytała, celnie wbijając szpileczkę. Wiedziała, że to nie było konieczne, ale jakoś nie mogła się powstrzymać.

Marietta.

Była żona Kosmy, która najpierw go zostawiła, dochodząc do wniosku, że jest nieudacznikiem życiowym, na dodatek na rencie (zdiagnozowany, choć uśpiony gościec), a potem nagle zmieniła zdanie i zapragnęła zdobyć go ponownie. Kira nawet ją rozumiała. Kosma, który zakochał się w innej kobiecie, był zdecydowanie bardziej atrakcyjny niż Kosma samotnik, mieszkający w ponurej kawalerce i sypiający co najwyżej z własną depresją. Marietta jednak nie miała szczęścia, co zdaniem Kiry wynikało z tego, że najwyraźniej nie wiedziała, jaką broń wytoczyć. Koniec końców do niczego nie doszło, a Marietta na razie zniknęła z pola widzenia, a co ciekawsze, zaczęła spotykać się z Adamem, ojcem Kiry.

Rzeczywiście można się było w tym pogubić. Na samą myśl o tym, jak wyglądało życie Kaliny jeszcze niecały rok temu, Kira parsknęła śmiechem.

Ucieczka z domu, strach przed menopauzą, facet poderwany w ogrodzie botanicznym, dziki seks w Amsterdamie, ciąża zamiast klimakterium, a na dodatek mąż, który postanowił, że zostanie ojcem nie swojego dziecka. Matka Kiry wprawdzie nie mieszkała już z Adamem, ale do niedawna ciągle jeszcze była jego żoną. Rozwodu wcześniej nie wzięli, myśląc, że nie będzie im potrzebny. Niedopatrzenie, tatuś Kiry doznał bowiem nagle nawrotu uczuć, a wszystko dlatego że ktoś zakochał się w jego żonie.

– Niesamowite jak silnym kołem napędowym jest zwykła zazdrość – mruknęła pod nosem dziewczyna. Świat biegł dotąd normalnym, dość monotonnym i przewidywalnym torem. Kiedy jednak na ringu stanęli nowi aktorzy, widownia poczuła świeżą krew. Marietta zapragnęła Kosmy, Adam zapragnął Kaliny, a Konstancja pragnęła śmierci Józefa. Tym razem prawdziwej.

Ale po kolei. Bo wisienką na ich rodzinnym torcie okazał się dziadek Kiry, który rzekomo zmarł, chociaż nie do końca. Wykończyła go babcia, choć tylko w wyobraźni, informując Kalinę, że jej tata nie żyje. Zdaje się, że poszło o jakąś kobietę, której istnienia babcia nie potrafiła wybaczyć dziadkowi. Wykreśliła go zatem ze swojej pamięci, składając do nieistniejącego grobu i stawiając na nim pośmiertny krzyżyk. Córce powiedziała, że tata umarł, a potem powtórzyła to samo wnuczce. Kira coś tam podsłuchiwała, czegoś się domyśliła, a resztę dopowiedziała sobie sama.

– Jesteśmy nienormalni. Jesteśmy bardziej nienormalni niż pensjonariusze zakładu dla psychicznie chorych. Oni cierpią zazwyczaj na pewną paranoję, my składamy się ze zlepek niedomówień, kłamstw, nerwic, zdrad oraz niewiarygodnych przypadków z pogranicza schizofrenii – oznajmiła

kiedyś podczas wspólnego obiadu. Najgorsze zaś było to, że nikt nie zaprzeczył.

LUIZA

Rozdział trzeci

Październikowy wtorek pachniał deszczem już od rana. A potem lunęło tak rzęsiście, że trudno było dostrzec z okna, co znajduje się po drugiej stronie ulicy. Kwiryra wprawdzie zaplanowała, że pójdzie dzisiaj na zakupy, a potem powłóczy się trochę po mieście, ale najwyraźniej Warszawa miała wobec niej inne plany. Lucyna wyszła jak zwykle o dziewiątej rano do butiku Madame Helene, a Kwiryra zniechęcona brzydką pogodą usiadła przy stole i zaczęła szyć. Kilka dni temu kupiły na targu tanie płótno, z którego postanowiły uszyć proste, męskie koszule, ale przeznaczone dla pań. Jedyłą ozdobą tej części garderoby były błyszczące guziki, które Lucyna dostała od Madame Helene w zamian za uszycie siedmiu kapelusików po godzinach.

Lucyna doszła do wniosku, że ta mało opłacalna dla kogoś innego propozycja, w jej przypadku ma rację bytu. Białe, męskie koszule z damskim błyszczącym akcentem sprzedawały się wyjątkowo dobrze i stanowiły niemały dodatek do codziennego budżetu. Przynajmniej nie musiała już niczego zastawiać w lombardzie i spłacała resztki długu. Zresztą najcenniejsza w jej domu była tylko ćmiełowska porcelana, a tej pamiątki po rodzicach jakoś nie miała siły się pozbywać. Na szczęście okazało się, że Kwiryra potrafi szyć i całkiem dobrze radzi sobie z nowymi wykrojami.

Kiedy Lucyna wróciła do domu, powitał ją zapach smażonych naleśników z cukrem i stosik uszytych koszul.

– Zjadłabym kotleta – westchnęła, pociągając nosem i wyobrażając sobie jednocześnie parującego sznycla imperialnego z gotowanymi ziemniakami, a wszystko to podane na białej porcelanie.

Naleśnik zdecydowanie nie smakował mięsem, ale przynajmniej zaspokoił głód, a nawet dodał przyjemnego ciepła rozlewającego się po ciele Lucyny.

– Przestało padać – zawołała Kwiryra, wyjrzawszy przez okno. – Chodź, przejdziemy się trochę. Popatrzymy na witryny, na eleganckie samochody, a może spotkamy nawet jakąś gwiazdę? Kto dzisiaj występuje?

Lucyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. W Ateneum może Mira Zimińska.

– To chodźmy, chodźmy! – Kwiryra złożyła ręce w proszącym geście.

– Ale skąd wiesz, że ją spotkasz? Poza tym, co ty myślisz, że ona podejdzie do ciebie i zacznie z tobą rozmawiać?

– Nie musi. Wystarczy, że na nią popatrzę. No, chodź. Cały dzień siedziałam w domu, nudzi mi się.

Lucyna wyciągnęła przed siebie nogi i odsunęła pusty talerz po naleśnikach.

– Nie dam rady. Pół dnia stałam w butiku i albo zdejmowałam miarę, albo musiałam się głupio uśmiechać na widok tych wszystkich panius, z których co druga to była niezła mazepa. Gdyby nie pieniądze, pies by nie splunął w ich stronę. A jakie to lebiegi, nigdy byś nie uwierzyła. Każdej trzeba było podać wodę, podsunąć krzeselko pod dupkę, a dwie musiałam nawet wachlować, bo twierdziły, że im duszno. Ja się nie dziwię. Brzuchy miały całkiem spore, tyle że ściśnięte paskiem, żeby szczupło wyglądały. Jedna z nich chwaliła się nawet, że zdzieliła męża patelnią i to tak mocno, że biedaczek zemdłał. Baba jak dąb i równie drewniana. Ech, jak tak patrzę na ciebie, to mi żal, że się marnujesz – westchnęła ciężko.

Kwiryna uśmiechnęła się lekko.

– Mnie tu dobrze. Lepiej niż na wsi. Tam to największą atrakcją było, jak pies dorwał kota i mu futro porządnie przetrzepał. A tu mogę spotkać Jadwigę Smosarską, a może nawet Lodę albo Ordonkę! – Przytuliła się niezdarnie do Lucyny, która poklepała ją po plecach.

– Już dobra. Idź, jak chcesz, tylko nie szlajaj się za długo po nocy.

Kwiryna obiecała, że będzie ostrożna, że tylko trochę popatrzy na wieczorne miasto i szybko wróci do domu. Tyle że Warszawa tym razem postanowiła pokazać jej się ze znacznie mniej przyjemnej strony.

Podobno człowiek posiada zmysł, który podsuwa mu drogi wyjścia z sytuacji skomplikowanych albo stawiających przed ważnym wyborem czy też problemem. Oczywiście Lucyna nie mogła znać tej definicji, zresztą niewiele by z niej zrozumiała, faktem jest jednak, że nagle poczuła dziwne uczucie w brzuchu, które z czasem przeniosło się w okolice mózgu. Wstała z kanapy, na której postanowiła się odrobinę zdrzemnąć, i usiadła wyprostowana z dziwnym przeświadczeniem, że jej własna intuicja dostała właśnie jakichś drgawek. Ten proces przebiegał jednak całkowicie poza racjonalnym myśleniem. Zanim umysł Lucyny zaczął się zastanawiać nad rozwiązaniem problemu (choć nie wiedziała jeszcze jakiego...), jej ciało postanowiło zadziałać jako pierwsze.

Być może spowodowały to krzyki dochodzące z ulicy, a może zwykłe przeświadczenie, że dzieje się coś złego. To ono kazało jej włożyć płaszcz, buty i bez zastanowienia wybiec z domu. Kroki skierowały ją prosto w miejsce hałasu, latających w powietrzu wulgaryzmów, a także najróżniejszych części garderoby. Z lokalu pod numerem sześćdziesiąt siedem wytoczyło się właśnie kilku pijanych gości, wrzeszczących coś w bełkotliwym i mało zrozumiałym języku, któremu odpowiadały podobne wrzaski, tyle że serwowane piskliwym głosem żeńskim. Głos należał do mocno podstarzałej niewiasty, bardziej rozebranej niż ubranej i bardziej pijanej niż trzeźwej. Mężczyzn zaś było trzech i każdy z nich próbował coś powiedzieć, ale ponieważ robili to synchronicznie, brzmiało to niczym bardzo nieudany koncert organowy. Swoją drogą, szkoda, że na ich ulicy znowu zaczęły się pojawiać miejsca schadzek, choć oczywiście nieformalne.

Lucyna nie zatrzymała się tu ani na moment, słusznie rozumując, że raczej nie uzyska od tych ludzi żadnych informacji, a tylko może niechcący oberwać.

Zresztą wszystko było jasne. Ktoś użył i nie zapłacił lub chcąc płacić, zorientował się, że już dawno nie ma portfela. W ruch poszły rzeczy znajdujące się pod ręką oraz niewybredne słownictwo, nierobiące na nikim większego wrażenia. Lucyna minęła ten teatr wzajemnej nienawiści i pobiegła w stronę budynku, gdzie znajdowała się sala poczekalni miejskiej LOT-u. Przystanęła na moment i rozejrzała się wkoło. Mózg znowu zaczął współpracować z trzewiami, które skręciły się z bólu i kazały pójść w prawo. I wtedy ich zobaczyła. W bramie. Wielkiego pijanego mężczyznę, z opuszczonymi do połowy spodniami, który w prawej ręce trzymał majcher, a lewą próbował zedrzyć sukienkę z przerażonej, młodej dziewczyny.

Kwiryna!

Zanim Lucyna dobiegła do nich, sytuacja diametralnie się zmieniła. Kwiryna jakąś nadludzką siłą woli wyszarpnęła nóż z ręki tłuściocha i wbiła ostrze w jego opasły brzuch, a potem dla pewności zaczęła kręcić trzonkiem we wszystkie strony, jakby chcąc się upewnić, że bardzo dokładnie rozpruła mu flaki. Lucyna rzuciła się jej na pomoc, odpychając rżężącego mężczyznę, który upadł w końcu na plecy, a następnie wydał ostatnie, cuchnące tchnienie.

Świat zatrzymał się na chwilę, jakby chcąc dać tym dwóm kobietom czas na ochłonięcie i zastanowienie się co dalej. Na ziemi leżał trup z rozharatnym brzuchem i fiutem na wierzchu. Bez względu jednak na to, jak jego właściciel był obleśny i co chciał zrobić, to Kwirynę uznano by za morderczynię i bez zbędnych pytań wsadzono do więzienia. Procedury w takich sytuacjach były dość proste. Był trup, była zbrodnia oraz jej narzędzie. Trup nie mógł się bronić, więc cokolwiek powiedziałyby Kwiryna, można było uznać za kłamstwo. Majcher zaś i tak by tylko wymownie milczał.

Procesy myślowe wystartowały. A kiedy człowiek zaczyna rozważać trudną decyzję, do akcji włącza się również jego podświadomość. Mózg w ułamku sekundy wyświetla film czy raczej najważniejsze kadry z życia pasujące do danej sytuacji. Znajdują się w nim nie tylko zdarzenia, ale także symbole, archetypy, mity i baśnie, a nawet zapamiętane dźwięki i ich rytm oraz smaki czy zapachy. Krew, pot, alkohol, tłuste włosy, więzienie, policja, przesłuchanie. Życie zwinięte w kulkę papieru i wrzucone do kosza, zanim jeszcze na dobre się zaczęło. I brak nadziei, że kiedykolwiek będzie można o tym zapomnieć.

I przez kogo to wszystko?

Obleśnego mężczyznę z nożem, który siłą postanowił wziąć sobie to, czego bez gróźb nigdy by nie dostał.

– Dobra – powiedziała Lucyna. – Daj chustkę.

Kwiryna drżącą ręką ściągnęła apaszkę z szyi i podała ją koleżance. Jej ciało pokryła gęsia skórka, a oczy nienaturalnie błyszcząły.

Lucyna dokładnie wytarła rękojeść noża, a potem, krzywiąc się, podciągnęła gacie i spodnie na trupie, a nawet dokładnie zapięła mu pasek. Przeszukała kieszenie płaszcza ofiary, zabrała z nich portfel i wyjęła z niego pieniądze.

– Co robisz? – wystraszyła się Kwiryna.

– To był napad rabunkowy. Gość był pijany, co z pewnością łatwo stwierdzą, więc miał małe szan-

se, żeby się bronić. Zabrali mu kasę i zadźgali, a to przecież zdarza się na świecie każdego dnia. W Warszawie również. Niedaleko stąd była jakaś burda, policja pewnie szybko to ustali i może będzie próbowała te dwie rzeczy jakoś ze sobą powiązać. A ponieważ głównym aktorem tej sceny był alkohol, nikt nie będzie niczego pamiętał. Tym samym nikt nigdy nie wpadnie na nasz trop. Pod warunkiem że teraz się stąd wyniesiemy spokojnym krokiem i udając, że nic się nie stało, wrócimy do domu.

Kwiryna zachwiała się lekko i chwyciła za brzuch.

– Zrobił ci coś? – zaniepokoiła się Lucyna.

Dziewczyna przecząco pokręciła głową.

– Nie zdążył. Ale czuję się tak, jakby mnie zbrukał – wyszeptała.

Lucyna przytuliła ją z całych sił, a potem spokojnie odprowadziła do domu.

– Nigdy, przenigdy do tego nie wracajmy. Skurwiel zakończył żywot dokładnie tak, jak sobie na to zasłużył. To nie było morderstwo. To była kara za bycie szują.

Warszawa była tego samego zdania i uznała, że obie dziewczyny wystarczająco sporo już przeszły. Nie chciała karać ich żadnym świadkiem, ale najwyraźniej sama nie zauważyła wstawionego mężczyzny, który coś tam wprawdzie widział, ale na razie postanowił pójść do domu i odrobinę się zdrzemnąć. Chyba nie do końca był pewien, czy to wszystko naprawdę się wydarzyło, czy też ma przywidzenia po wódce. Trup tymczasem przeleżał w bramie aż do następnego dnia, a kiedy został znaleziony przez przypadkowego przechodnia, Kwiryna i Lucyna ciągle jeszcze spały, nie mając na szczęście żadnych koszmarów.

KIRA

Rozdział trzeci

Kira po raz pierwszy od dłuższego czasu weszła w październik samotnie. Po otrzymaniu dokumentu z mapą nieba, na której widniała gwiazda z jej imieniem, postanowiła pożegnać drwala z koczkiem na głowie i uświadomić mu, że jej łono jest chwilowo nieczynne, natomiast łono rodziny z pewnością mu się przyda. Zwłaszcza przed zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia. Na szczęście tym razem obeszło się bez szlochów, choć drwal próbował zmienić jej decyzję.

– Czy coś się nagle stało? Zrobiłem coś nie tak? Musimy porozmawiać.

Kira westchnęła w duchu.

Zwrot „musimy porozmawiać” należy zazwyczaj do kobiet, którym wydaje się, że perswazją, krzykiem lub szantażem odwrócą bieg rzeki. Niestety rzeka, choćby ją zatamowało stado chytrych bobrów, płynąć będzie dalej i w końcu znajdzie szczelinę, przez którą woda i tak się przecisnie.

– Ja nie chcę rozmawiać. Ja właśnie kończę nasz związek i choć oczywiście dialog zawsze jest wskazany, to jednak w tym przypadku kompletnie niepotrzebny.

– Bo? – zdziwił się drwal.

– Bo wsłuchując się w siebie, nie potrafię myśleć o tobie inaczej niż w czasie przeszłym. Coś było, ale minęło, podobnie jak mija właśnie kolejna minuta tej rozmowy o niczym.

– To nie jest o niczym. To jest o nas. O mnie, o tobie i o tym, że mnie porzucasz jak dziecko starego misia. Omotałaś mnie, wyssałaś soki jak modliszka i doprowadziłaś do tego, że nie mogę przestać o tobie myśleć, a teraz co?

Kira zrozumiała, że nie będzie łatwo. Dobrze chociaż, że facet się nie rozkleja. Wygląda na bardziej wkurwionego niż szarpniętego emocjonalnie.

Modliszka.

Coś w tym było. Strasznie kręciły ją te wszystkie zabawy psychologiczne, na które łapał się niemal każdy facet. Czytała kiedyś nawet o rodzaju damskiego ekshibicjonizmu, który nie polegał bynajmniej na publicznym obnażaniu się, a raczej na stopniowym odkrywaniu swoich największych atutów. O, taka na przykład „gra w pończoszkę”, uwielbiana przez te kobiety, które pragnęły zwrócić natychmiastową uwagę płci przeciwnej i wyprowadzić z równowagi przedstawicielki własnej. Miało to wiele wspólnego z histeryczną naturą, skłonną do prowokacji i obsesyjną chęcią bycia podziwianą (czy to było o niej?), z drugiej jednak strony, która kobieta nie chciałaby choć raz znaleźć się w samym centrum męskiego zachwyty. Gra stosowana bywa najczęściej wśród nieznanomych osób i polega na celowym zwracaniu uwagi na swoje nogi, biust, pupę, cokolwiek, co kręciło innego faceta. Kiedy potencjalna ofiara połykała haczyk, rozpoczynał się kolejny etap – uwodzenie. Im

większe zainteresowanie ze strony mężczyzny (a złość ze strony jego partnerki), tym silniejsze podniecenie kobiety modliszki.

Tak też było w przypadku drwala, typowego wzrokowca, wyjątkowo podatnego na klasyczne kobiece sztuczki. Wernisaż współczesnego artysty, na który poszła bardziej z nudów niż zainteresowania, stał się ringiem, areną trzech graczy. W jednym rogu stanął drwal z żoną, w drugim zaś Kira. Po kilkunastu minutach nie mógł oderwać od niej wzroku, choć nie robiła niczego specjalnego. Kołysała się delikatnie w rytm muzyki, poprawiała ramiączko od stanika i od czasu do czasu rzucała mu zaciekawione spojrzenie. Była przy tym tak kusząca i atrakcyjna, że facet kompletnie zapomniał o żonie, która jednak nie zapomniała o nim. Spojrzała więc z nienawiścią na Kirę, szarpnęła kilka razy swoim oszołomionym mężem i wreszcie uznała, że ten wernisaż już się dla nich skończył.

Trzy dni później Kira dostała pierwszy bukiet kwiatów, który doręczono jej do redakcji, a po dwóch tygodniach zalotów, zabiegów, e-maili, SMS-ów, telefonów i westchnień zakochanego kundelka, spotkali się z drwalem w hotelowym pokoju. Od tego czasu był wstrząśnięty tym fascynującym romanssem i najwyraźniej stan ten towarzyszył mu również podczas zerwania.

– Jestem wstrząśnięty. Ale także oburzony, że tak sobie ze mną pograłaś.

Kira uśmiechnęła się kpiąco.

– Każda gra potrzebuje minimum dwóch zawodników, w przeciwnym razie byłoby to zwykłe stawianie pasjansa, nie sądzisz? W tym przypadku jednak przesuwaliliśmy oboje pionki z taką samą stanowczością. I właśnie dobiliśmy do mety.

Drwal pożegnał się z nią zdecydowanie mniej czule niż zamierzał, i oznajmił, że i tak najważniejsza jest dla niego rodzina.

– Wiem – kiwnęła głową Kira. – Ktoś kiedyś powiedział, że wierność psa zależy od wytrzymałości smyczy. Twoja musiała być bardzo słaba, ale może pod choinką znajdziesz nową.

„Maluch właśnie wstał. Nie zrywaj się od razu i nie pędź do przewijaka. Połóżcie się razem na łóżku, pobawcie pluszakami. Połaskocz swoją pociechę w piętę, pogłaszcz po brzuszku. Dziesięć minut porannego baraszkowania dobrze zrobi wam obojgu. Przecież ani ty, ani tym bardziej twoje dziecko nigdzie się nie wybieracie. Nacieszcie się tym rannym wstawaniem do woli”.

Poradniki kobiece były przepelnione dobrymi radami. Były też nafaszerowane taką ilością kosmicznych wskazówek, że nawet najbardziej naiwna matka nie miała prawa w nie uwierzyć.

Kiedy Helena budziła się po rozszarpanej przerwami na karmienie nocy, potrafiła wydrzeć się głośniejsz niż wieloryb, który podobno wydaje dźwięki o natężeniu stu osiemdziesięciu ośmiu decybeli. Nie było mowy o wspólnym położeniu się na łóżku, łaskotaniu w piętę czy jakkolwiek inną część jej ciała, a zwrot „poranne baraszkowanie” nie miał tu żadnej racji bytu. Należało natychmiast ją przewinać, nakarmić, odbić, dokarmić i znowu przewinać, co wynikało z czystej fizjologii. Kalina była spocona, wykończona, zestresowana i bardzo cieszył ją fakt, kiedy Kosma musiał wyjść z domu

i mogła w samotności przyglądać się swoim rodzicielskim porażkom.

„Posiłki nie zawsze muszą wyglądać tak samo. Zamiast w foteliku, posadź swojego malucha na kuchennym stole albo wsadź go do wózka i zjedzcie wspólne śniadanie na balkonie lub w ogródku. Pozwól mu poobserwować twoje przygotowania. Opowiadaj mu, że właśnie miksujesz marchewkę, albo podgrzewasz mleko, a sobie kroisz pomidora. Wspólne posiłki staną się dla was nie tylko pewnym rytuałem, ale także fajną zabawą”.

– Właśnie miksuję jabłuszko – oznajmiła według zaleceń, na co Helena zareagowała dzikim wrzaskiem oraz poczerwieniała na twarzy niczym dorodny pomidor.

– Masz rację, ja też mam w dupie jabłuszko. A śniadanka nie zjemy ani na balkonie, ani w ogrodzie, bo ich nie posiadamy. Poza tym ty już jadłaś, a ja chyba też, chociaż zapomniałam co.

Otworzyła lodówkę i przycisnęła twarz do opakowania po twarogu. Ten lodówkowo-serowy chłód był jej bardzo potrzebny. Helena była cudowna, ale cholernie trudna. Kalina zastanawiała się, jak dawała sobie radę ponad dwadzieścia lat temu, kiedy urodziła Kirę. Wydawało jej się, że wszystko odbywało się znacznie spokojniej. Fakt, miała wtedy do pomocy matkę, ale jednocześnie studiowała. Teraz skończył jej się właśnie urlop macierzyński, ale chociaż wróciła do pracy na pół etatu, dzięki czemu miała trochę więcej czasu, i tak wieczorami padała na pysk niczym pies myśliwski, który przegonił stado lisów od Uralu po Kamczatkę.

– Jestem za stara na matkę. A wtedy byłam za młoda. Z tego wynika, że najlepszy czas na dziecko przeszedł mi koło nosa. Ale obiecuję, że się postaram i że będziemy obie zadowolone z tego układu – powiedziała cicho i zjadła na stojąco trzy łyżki majonezu.

Kira.

Dlaczego ten układ nie zafunkcjonował? Przecież była wyrozumiała! Nie wtrącała się, nie naruszała jej prywatności, nie grzebała w jej życiu niczym kot śmietnikowy w odpadkach, tylko zawsze stała obok. Zdaniem Kiry jednak była raczej z tyłu i to z odwróconą głową. Ale przecież nie wolno mieszać się w cudze życie! Ona sama przez długie lata żyła jak w transie, właśnie dlatego, że Konstancja niemal za nią oddychała. Ich związek był nierozzerwalny, duszący, podchodzący pod gardło. Chciała tego Kirze oszczędzić. Owszem, były momenty, kiedy aż ją korciło, żeby coś powiedzieć, zabronić, tupnąć nogą. Ale nie potrafiła. Albo była zbyt słaba, albo źle zinterpretowała samodzielność dziecka.

A jednak pojawiło się jakieś maleńkie światełko, które zupełnie przypadkiem zapaliła Helena. Początkowo wydawało się, że Kira jest zazdrosna, sama zresztą otwarcie przyznała, że nie podoba jej się ten cały pomysł z siostrzyczką, nowym facetem i wyprawdawką.

– Albo cię nie ma, albo robisz coś takiego, że wolę, jak cię nie ma – oznajmiła Kira teoretycznie bez sensu, ale Kalina doskonale ją rozumiała.

Kiedy Helena przyszła na świat, Kira jakoś zmiękła. Jej oczy same uśmiechały się na widok małej siostry, co więcej, znacznie częściej odwiedzała matkę niż wtedy, kiedy mieszkały razem. Paradoks rodzicielstwa.

– Dobrze się stało, że ją masz – powiedziała kiedyś i spojrzała badawczo na Kalinę. – Tylko tego

nie zepsuj. Nie dostaniesz trzeciej szansy, choćby z tego powodu, że twoje jajniki odmówią współpracy.

Kalina chciała ją wtedy przytulić, podziękować za to, że polubiła Helenę, ale Kira wyśliznęła jej się z rąk.

No dobrze. Na przytulenie własnego dziecka też trzeba sobie zasłużyć.

Jeden, jedyny raz w życiu Kira poczuła, co oznacza zwrot pęknięte serce. I to nawet niekoniecznie w ujęciu romantyczno-tragicznym, tylko czysto medycznym. Facet miał na imię Joachim. Owszem, również był żonaty, ale Kira nie myślała wtedy o tym, że chce go odbić. Właściwie to nawet nie wiedziała, że ma żonę, bo najwyraźniej zapomniał jej o tym powiedzieć. Miała dziewiętnaście lat i nigdy by nie podejrzewała, że można dla sportu pakować się w czyjeś związki. Joachim jej się podobał, a przez głowę przemknęła jej nawet myśl o drugiej połówce jabłka. Chciała go mieć wyłącznie dla siebie, klasycznie, z randkami, kwiatami, przedstawieniem rodzicom i oczywiście babci, a potem mieli razem zamieszkać i kto wie, może nawet uwić gniazdo na wieki wieków amen. Kiedy przypomniał sobie, że ma żonę, na moment ją замуrowało. Ale dodał zaraz, że ten związek to przeszłość, że w ogóle się nie rozumieją i prawie ze sobą nie mieszkają. Oczywiście, że mu uwierzyła. Wyraziła więc pragnienie szybkiego rozwodu z niepotrzebną małżonką, po którym mogliby iść przez życie razem, nie oglądając się za siebie.

Niestety to pobożne życzenie Joachim od razu odrzucił, zostawiając wyłącznie słowo „seks”. Nie było nawet szans na jakieś „ale”.

– Kotku, absolutnie mnie fascynujesz. Młoda, piękna, chętna, cudne oczy, fantastyczna odskocznia od codzienności. Ale musisz zrozumieć jedno. Ja jestem Romeo. Zdobywam Julię, nawet po trupach, a potem to mi już w zasadzie wszystko jedno. Wspólne życie jest mocno przereklamowane, dlatego wybaczone, ale welonu raczej przy mnie nie założysz. Poza tym kotku, wiesz, co lubię najbardziej?

Wiedziała.

Zaloty w stylu żurawia i czapli. Ciągłe odpychanie i przyciąganie. Niepewność. Dreszczyk emocji. A żonę kazał zostawić w spokoju, bo jednak okazała się bardzo przydatna w szarej codzienności prania jego gaci.

Kira wylądowała wtedy na ostrym dyżurze, a lekarz oznajmił jej, że miała atak dławicy piersiowej.

– Myślę, że przedobrzyła pani z ćwiczeniami fizycznymi.

Nie. To Joachim mentalnie kopnął ją w serce, a ono na chwilę pękło. Postanowiła zebrać wszystkie kawałki, posklejać je, a potem zabrać się za serca innych. Gdyby miała dziesięć lat więcej, być może mniej ją by to zabolalo. Być może miałyby grubszy pancerz. Ale stała dopiero u progu dorosłego życia, z nadzieją na znacznie więcej, niż podarował jej Joachim. Tego nie mogła mu wybaczyć. Od dzisiaj to męskie kotki będą płakać i prosić o jeszcze, a ona po prostu nie da im żadnej nadziei. Będzie szła po trupach, zdobywała tych najbardziej opornych, wywracała ich życie do góry nogami

i z przyjemnością patrzyła, jak się wiją w pułapkach własnych emocji. Skoro dla większości facetów związek jest wart tyle, ile słynny funt kłaków, ona również nie ma zamiaru stawiać miłości na żadnym piedestale. Romans, zabawa, seks, rozrywka, pożegnanie. I niech ich boli.

LUIZA

Rozdział czwarty

Nawet jeśli człowiek decyduje o sobie, nawet jeżeli sam postanawia, jak będzie wyglądało jego życie, to i tak lawinę zdarzeń uruchamia najczęściej przypadek. To on porusza pierwszy klocek domina, a potem tylko obserwuje, jak szybko i harmonijnie upadają kolejne części.

Gdyby Lucyna siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku nie wybiegła w samej sukience z domu, zapłakana i potwornie zmęczona ciągłym podliczaniem wydatków, pracą po godzinach i tęsknotą za rodzicami, kto wie, jak dalej potoczyłoby się jej życie. Może musiałaby sprzedać mieszkanie? Poszukać lepiej płatnej pracy? A może kraść?

To był chłodny wieczór, ale ona niewiele czuła. Po godzinie składania ubrań mamy i wpatrywania się tępo w jej ręcznie haftowane serwetki oraz narzuty na kanapę, Lucyna po raz pierwszy od śmierci rodziców pozwoliła sobie na nieprzerwany strumień łez. Wypłakiwała z siebie wszystko – tęsknotę, żal, złość i smutek, a na koniec nawet wściekłość, że oboje tak po prostu ją zostawili. Około dwudziestej pierwszej wyszła z domu, żeby trochę odetchnąć, poczuć wiatr na twarzy i zmienić otoczenie. Nie do końca wiedziała, dokąd idzie i w jakim celu. Nogi zaniósły ją w okolice Żurawiej i Poznańskiej, pod siedzibę Najwyższej Izby Kontroli. Czy to nie tutaj trafiła sprawa strat finansowych Pocztovej Kasy Oszczędności? Szkoda, że losem jej ojca nikt się nie przejął. Spojrzała ponuro na okazały budynek, a potem przeszła jeszcze kilkanaście metrów dalej wzdłuż ulicy Poznańskiej, aż do kamienicy, w której mieszkał aktor Marian Rentgen-Güntner, i nawet odruchowo spojrzała w górę, czy czasem nie zobaczy go w oknie. Ciemno.

Chwilę później usłyszała jakiś głos:

– Co panienka taka smutna?

Podniosła oczy i ujrzała przystojnego mężczyznę w granatowym płaszczu i idealnie dobranym pod kolor, granatowym kapeluszu. Patrzył na nią pytającym wzrokiem, zupełnie jakby go to naprawdę obchodziło. Lucyna nie zwierzała się obcym, w ogóle była dość nieufna, ale tamtego wieczoru było jej wszystko jedno. Rozplakała się więc znowu, a kiedy obcy mężczyzna przytulił ją do siebie, nie oponowała. Potrzebowała pocieszenia, pogłaskania i nawet tych zaskakujących pocałunków, którymi zaczął ją obdarzać coraz intensywniej. Nie wiedziała, kiedy znaleźli się w bramie, kiedy mężczyzna przydusił ją do ściany, a jej sukienka powędrowała wysoko w górę. W tej chwili potrzebna jej była jakakolwiek bliskość. Całowała się więc z nim bez żadnego oporu, a kiedy wszedł w nią szybko i bez zastanowienia, nie czuła żadnego wstydu. Przez kilka minut zapomniała o swoich problemach i to było w tym momencie najważniejsze.

– Fajna jesteś, masz, kup coś sobie. – Wcisnął jej do ręki zwitek pieniędzy, zapiął spodnie i znik-

nał, zanim zdążyła ochłonąć.

Lucyna przez chwilę stała lekko oszołomiona. Poprawiła sukienkę, przyglądała włosy i zerknęła na trzy banknoty. Dziesiątka i dwie piątki. U Madame Helene wyciągała tygodniowo szesnaście złotych. Marnie. Wcześniej dostawała premie za nadgodziny albo dodatkowe zlecenia, ale po śmierci rodziców miała tych zamówień zdecydowanie mniej. Madame Helene uważała zapewne, że i tak okazała jej wystarczająco dużo serca, zatrudniając ją dalej po takim skandalu.

– Potraktował mnie jak dziwkę – szepnęła do siebie i przykucnęła, chowając twarz w dłoniach. Na policzki wpęzła czerwień, a w gardle zrobiło się jakoś sucho.

Kiedy pół godziny później wróciła do domu, kiedy wiatr zdmuchnął z jej smutnej buzi chwilowe upokorzenie, a twarz przestała płonąć, spojrzała odważnie w lustro i powiedziała:

– Praca jak każda inna. Nie ja pierwsza i nie ostatnia. Poza tym będę tylko od czasu do czasu dorabiać do pensji.

Lucyna dość szybko zorientowała się w warszawskiej, dziwkarskiej hierarchii. Najniżej znajdowały się te kobiety, które do prostytucji zmusiła zwykła bieda. Zazwyczaj „polowały” na klientów w rejonie Powiśla, a za swoje usługi rzadko dostawały pieniądze. Najczęściej wystarczało im trochę jedzenia. Lepszym statusem mogły się pochwalić prostytutki stojące na co dzień w bramach Woli i Muranowa. Nocą, kiedy ich młodsze i ładniejsze koleżanki kończyły pracę w Śródmieściu, zapuszczały się w okolice Nowego Świata i Marszałkowskiej, gdzie czasem widywała je Lucyna. Nie robiły tego w bramach ani okolicznych krzakach, tylko szły z klientem do wynajętego pokoiku. Tam oddawały się najczęściej za kilka złotych, z czego większą część musiały oddać suterelowi. Czasem ktoś je zaprosił na kawę i ciastko, a one w podziękowaniu nie chciały już pieniędzy za seks.

Lucyna od samego początku wiedziała, że nie tędy droga. Że jeśli już oddaje komuś swoje ciało, że jeśli robi to z obcymi mężczyznami, to przynajmniej chce na tym zarobić. Chce, aby było ją stać na kawę i herbatę, na cielęcinę raz w tygodniu i może nawet na mandarynki. Nie interesowały jej brudne pokoiki na godziny (czy raczej minuty), podzielone przepierzeniami, za którymi seks uprawiało naraz nawet kilka par. Lucyna była świetną obserwatorką, więc dość szybko z okien pracowni Madame Helene zauważyła, jak portier hotelu na Chmielnej często rozmawia z różnymi kobietami, a nawet bierze od nich gotówkę.

Za co?

Trzy dni później wszystko już wiedziała. Portier zresztą specjalnie się z tym nie krył i od razu zaproponował współpracę. Pokoje numer siedem i osiem były sprzątane każdego dnia wcześniej rano, zanim zaczynała się doba hotelowa. Oznaczało to, że wieczorem można się było w nich ulokować na godzinkę lub dwie i uprawiać seks w wygodnym łóżku, nawet jeśli pościel była już używana. Ale to i tak było zdecydowanie lepsze niż śmierdzące pokoiki w lupanarach. Lucyna uznała to za całkiem dobre rozwiązanie, bo chociaż miała własne mieszkanie, nie potrafiła doprowadzić do niego obcego mężczyzny i kochać się z nim w miejscu, w którym się wychowała. I w którym jej matka szyla sukienki.

Portier brał za pokój pięć złotych, co oznaczało, że ona powinna wyciągnąć od klienta co najmniej

dwa razy tyle. I udawało się.

Owszem, zdarzyło jej się kilka razy oddawać w bramach, ale to były wyjątkowe sytuacje. I nawet wtedy dostawała porządne pieniądze. No i raz ten błyszczak. To właśnie wówczas zaświtał jej w głowie plan rozkręcenia profesjonalnego seksbiznesu, bazującego na jednej luksusowej prostytutce, o której śniłaby cała męska część Warszawy. Pieniądze, prezenty, kolacje w drogich hotelach. Żadnych pośredników, żadnych sutenerów. Dzieliłyby się pieniędzmi równo po połowie.

I wtedy pojawiła się Kwiryna...

Śliczna, trochę zagubiona, trochę nieśmiała, ale jakże idealnie pasująca na elegancką i kosztowną kochankę. Okropnie spragniona pochwał. Kiedy Lucyna powiedziała jej, że cudne ma te oczy, dziewczyna aż cała pojaśniała. Najwyraźniej nikt jej wcześniej tego nie mówił. Widziała też, jak zaczyna reagować na spojrzenia mężczyzn. Podobało jej się, że patrzą na nią z zachwytem, a czasem zaczepiają. Zaczynała nosić głowę coraz wyżej, coraz odważniej prostować ramiona.

– Zerkają na ciebie jak na bryłkę złota – mówiła wtedy Lucyna, a Kwiryna tylko się uśmiechała.

Nie mieszkały wprawdzie zbyt długo razem, ale doskonale się rozumiały i lubiły. Tyle że z pieniędzmi ciągle było krucho. Czynnosc i jedzenie kosztowały ich około czterdziestu złotych miesięcznie, opał i światło – dziesięć. Lucyna wyciągała sześćdziesiąt cztery złote u Madame Helene (przy czym nie była ubezpieczona), a około trzydziestu dodatkowo za zlecenia specjalne. Kwiryna również dorzucała się do budżetu, ale to było jakieś dwadzieścia złotych miesięcznie. Kiepsko to wyglądało. A co będzie, jeśli któraś poważniej zachoruje?

Poza tym Lucyna nie była już najmłodsza. To, że po ciemku ciągle jeszcze stanowiła łakomy kąsek dla wygłodniałego mężczyzny, nie znaczyło wcale, że tak będzie zawsze. I strach, że w końcu złapie jakąś francję. Dotąd jej się jakoś udawało, ale licho nie śpi. A przecież w życiu najważniejsza jest niezależność. Nawet słynna Czarna Mańka, królowa przedmieścia, nie miała żadnego zwierzchnika. Robiła to z kim chciała, a całą kasę zatrzymywała tylko dla siebie.

Ale to ciągle nie była jeszcze ta kasa.

Kwiryna...

To ona stanowiła przepustkę do świata niedostępnego dla zwykłej prostytutki.

KIRA

Rozdział czwarty

Konstancja od dłuższego czasu odnosiła dziwne wrażenie, że całkowicie opuszczają ją siły. Kilkanaście ostatnich miesięcy mocno dało jej się we znaki. Człowiek liczy się, co prawda, ze zmianami i zawirowaniami, ale niekoniecznie we własnym, spokojnym dotąd życiu.

Wszystko funkcjonowało na opak.

Najpierw jej córka uciekła z domu i choć każdy normalny człowiek powiedziałby, że wyjazd czterdziestosześcioletniej kobiety na wakacje nie jest żadną ucieczką, ona wiedziała swoje. Potem wróciła z tej podróży z obcym mężczyzną, który jednocześnie okazał się ojcem jej dziecka. Dziecka! A na koniec pojawił się Józef, ciągle obecny mąż Konstancji, którego widok natychmiast przywołał bolesne wspomnienia. Dla jej rodziny Józef przecież nie żył. A jednak pojawił się po tylu latach i postanowił wepchnąć się do ich życia, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że nie miał do tego żadnego prawa.

Westchnęła.

Podobno do życiowych zmian gotowi są ludzie elastyczni, o dużych zdolnościach adaptacyjnych, optymiści o poczuciu własnej wartości i potrzebie osiągnięć. Konstancja zdecydowanie nie należała do tej grupy, nawet jeśli jej zdolności adaptacyjne były całkiem spore. Ale z pewnością nie czuła żadnej potrzeby osiągnięcia sukcesów. Wystarczyła jej rodzina. To ona dawała pewność, że każdy kolejny dzień będzie wyglądał podobnie, że człowiek nie da się zaskoczyć nieprzyjemnymi niespodziankami i że popołudniowa herbata z ciastem to niepodważalny rytuał. Tymczasem herbata została rozlana, a do ciasta dobrali się inni ludzie, których Konstancja wcale nie zapraszała.

Jedyną osobą, której mogła wybaczyć istnienie jako takie, była Helena. Co prawda, powinna dostać imię na literę „K”, to była w końcu tradycja w jej rodzinie, ale najwyraźniej Kalina postanowiła pogwałcić absolutnie wszystko. Helena posiadała niewątpliwy talent rozmiękczenia. Nawet kiedy darła się jak opętana, zaciskała małe piąstki i zawzięcie kopała nóżkami, posiadała urok niepodważalny. Konstancja sama się dziwiła, że to dziecko kupiło ją od stóp do głów. W końcu w połowie składało się z Kosmy, którego ona nadal nie potrafiła zaakceptować.

– Czy mama wie...

– Nie jestem twoją mamą – wyjaśniła mu, zanim dokończył zdanie. – Babcią również.

– Ale musimy się jakoś do siebie odzywać – wytłumaczył Kosma. – A może mogę mówić Kostka?

Kostka! Ten pajac z kitką na głowie był gorszy od ospy. Ta choroba wprawdzie zostawia ślady, ale koniec końców znika. A on najwyraźniej nie miał takiego zamiaru.

– Nie będę też mówił „pani”. To dotyczy osób zupełnie obcych i dużo starszych. A ty, Konstancjo,

jesteś ciągle pełna młodzieńczego uroku.

Cmokier. Lizus i owłosiony pochlebca.

W końcu zgodziła się na Konstancję.

– Czy ty, Konstancjo, zdajesz sobie sprawę, że takiego malucha już wszystko interesuje? Kwiaty na parapecie, wisząca lampa, migający telewizor, poduszki na kanapie. Kalina twierdzi, że to bez sensu, ale ja pozwałam Helenie, by wszystkiego dotykała, wszystko wężała i lizała. Ostatnio sprawdzała, jak pięknie pachnie bazylią w kuchni, jak bardzo miękki jest mój sweter, a posadzka w łazience zimna.

– Fascynujące – wycedziła Konstancja.

– Prawda? Wyjaśniłem jej też, co to jest odzież i pokazałem wszystkie części garderoby. Obejrzała buty, dotknęła apaszek Kaliny, potarłosiła moje koszulki. A ja w tym czasie spokojnie się ubierałem, wszystko dokładnie jej objaśniając. Bardzo zainteresowały ją skarpetki oraz biustonosz mamy. Chociaż tu się akurat nie dziwię, w końcu to opakowanie jej pokarmu. Najmniejsze uznanie wzbudziły podkoszulki, a przy pokazywaniu płaszcza zasnęła.

– Nie dziwię się. Ja również mam ochotę ziewnąć – powiedziała Konstancja.

Trudno jej było pogodzić się z faktem, że Kosma odebrał jej Kalinę na dobre. Nawet jej pierwszemu mężowi się to nie udało. Adam był raczej milczący, usuwał się w cień, a kiedy nastał czas podejmowania ważniejszych decyzji życiowych, na wszelki wypadek rozstał się z Kaliną i poszukał sobie biblijnej Ewy. Co prawda, Kalina rozwiodła się z nim dopiero dwa miesiące temu, ale oficjalnie nie byli razem już kilkanaście lat. Konstancja tak naprawdę miała ją tylko dla siebie. Podobnie jak swoją pierwszą wnuczkę Kirę. I prędkiej spodziewałaby się trzęsienia ziemi lub komety we własnym ogródku niż tego, że niebiosa postawią na jej drodze Kosmę, życiowego nieudacznika na rencie, który podobno doprowadził do śmierci własnego psa. To wszystko zakrawało na jakiś irracjonalny dowcip losu, problem polegał jednak na tym, że Konstancji bynajmniej nie było do śmiechu.

– A może poturlamy się wszyscy razem?

No właśnie. Tylko on mógł coś takiego wymyślić.

– Helena uwielbia wspólne zabawy. Samolot, chowanie się za kocykiem lub turlanie właśnie. Zobaczysz sama, zachwycisz się jej radością, pieszczaniem i zabawnymi minami. Poza tym na pewno tęsknisz za taką beztroską i radością tylko z tego, że można się razem powyglupiać.

Czy Konstancja wyglupiała się ze swoją matką?

Kiedyś dostała od niej małą żółtą gumową kaczuszkę, którą wrzucały z pomostu do wody i za każdym razem musiały wykonać coraz głębszy skok, żeby ją złapać.

Łyzwy... Próbowaly nawet tańczyć na lodzie, ale co chwila tylko się przewracały. Nigdy chyba tak bardzo się nie śmiały.

Ale potem matka wywinęła jej najzabawniejszy dowcip życia. Dowcip, po którym Konstancja ledwo się podniosła. Po którym uciekła z Warszawy, kupiła dom w innym mieście i postanowiła nigdy więcej nie wspominać przeszłości. Swoje życie ustawiła ponownie na słowie „start”, całkowicie odcinając się od tego, co już ją spotkało.

– Wezmę Helenę na spacer. A ty możesz zostać i się poturlać.

– Sam? – zdziwił się Kosma.

– Możesz do kogoś zadzwonić. Jestem pewna, że ktoś taki jak ty z pewnością znajdzie chętnych do turlania się w kocyku – uśmiechnęła się złośliwie i wyciągnęła ręce do Heleny.

Dziecko odpowiedziało jej przyjemnym gaworzeniem, co Konstancja uznała za zdecydowane opowiedzenie się za spacerem z babcią.

– No dobrze – skapitulował Kosma. – Pozwól jednak, że zauważę mimochodem, jak niezwykle do twarzy jest ci w tym szaliku w kolorze akwamaryny.

Klakier.

Pęknięte serce, które uszkodził Joachim, niestety nie zagoiło się u Kiry tak szybko, jak by sobie tego życzyła. Nabierała też coraz większego apetytu na zemstę. Mały odwet na facetach, dla których miłość oznaczała szybki numer w hotelu. Był, co prawda, taki moment, kiedy chciała pójść do matki i najzwyczajniej w świecie się wyzalić, ale zupełnie nie wiedziała, jak zacząć rozmowę.

A jeśli Kalina znowu nic nie powie? Bo będzie się bała ją skrytykować, albo uzna, że Kira sama jest sobie winna? Teoretycznie stały po tej samej stronie barykady, a jednak plecami do siebie. Oczywiście, że się kochały, ale może to była miłość podręcznikowa? Bo przecież matka powinna kochać swoje dziecko, podobnie jak dziecko matkę. To swego rodzaju społeczny obowiązek, a każde inne uczucie jest przecież patologią.

Kira zastanowiła się przez chwilę. Podobno matka i córka stanowią jedność, a siła emocji między nimi jest wprost proporcjonalna do intensywności i natężenia kontaktów. To wszystko chyba nie miało sensu. Intensywność kontaktów między Kaliną a Konstancją była przesadna do bólu, a jednak ich wspólne relacje znacznie odbiegały od idealnych. Z kolei w przypadku Kaliny i Kiry trudno mówić o jakimkolwiek natężeniu, matka usuwała się bowiem w cień, kiedy tylko mogła, nie próbując nawet otrzeć się o emocje własnej córki. Nie ganiła, nie krytykowała, ale też... nie chwaliła. Nie mówiła jej, że ma śliczne oczy, że jest piękna, mądra i najlepsza.

Kira uświadomiła sobie, że jej matka była jak mgła. Widoczna, ale nieuchwytna. Istniejąca, a jednak przeciekająca przez palce. Nic dziwnego zatem, że Kira działająca początkowo tylko pod wpływem zemsty, stawała się coraz bardziej zachłanna na komplementy ze strony innych ludzi, a zwłaszcza mężczyzn, w oczach których widziała swoje najpiękniejsze odbicie. Będąc z nimi, zaczęła nagle dostawać to, na co czekała przez większość swojego życia. Bezwarunkową akceptację.

– Nigdy nie spotkałem kogoś takiego. Jesteś wyjątkowa. Jesteś spełnieniem marzeń każdego mężczyzny – nawet jeśli brzmiało to banalnie, to łechtało jej niedopieczony ego.

Kiedy przeszła przez wszystkie etapy emocjonalnych stanów po brutalnym zerwaniu z Joachimem, postanowiła wyciągnąć z tego związku jakąś lekcję. I dać sobie prawo do bycia podziwianą. Było coś jeszcze. Kiedy wyszły na jaw prawdziwe motywy Joachima, zaczęły drażnić ją te wszystkie szczęśliwe rodziny, uśmiechnięte twarze, słodkie obrazki zakochanych par biegających po parku

z pieseczkiem, najlepiej rasy golden retriever. Sztuczne, lukrowane, mdlące emocje. Najczęściej zakłamane. Zawsze, kiedy widziała takie sceny, chciała wbiec w sam ich środek i odpalić petardę. Zadrapać, zarysować, zetrzeć ten szczęśliwy uśmiech z ich twarzy.

Czasem nawet drażnił ją sam pieseczek, choć tych myśli akurat wstydziała się najbardziej.

LUIZA

Rozdział piąty

Definicja jest sucha i prosta. Prostytucja to oddawanie własnego ciała do dyspozycji większej liczby osób i pobieranie za to wynagrodzenia finansowego. Ale to także sposób na przetrwanie i samotność.

– Naprawdę uprawiałaś seks za pieniądze? – wyszeptła oszołomiona Kwiryra. To, co powiedziała Lucyna, nie mieściło jej się w głowie.

Lucyna pociągnęła nosem i wygładziła dłonią ręcznie wydzierganą, białą serwetkę, którą jej mama zrobiła jakieś dwadzieścia lat temu.

– Wiesz co, początkowo myślałam, że jestem taka sama jak wszystkie te mamzele i inne puszczałskie, które nawet nie do końca patrzą, ile dostają za swoje usługi. Wstydziłam się, a wstyd jest czasem gorszy od głodu. Ale potem dotarło do mnie, że nie powinnam być dla siebie aż tak surowa. To jest tylko ciało.

– Ale twoje.

– No właśnie. I pomaga mi utrzymać się przy życiu. Tancerka wykorzystuje swoje nogi i za to wywijanie płacą jej całkiem przyzwoite pieniądze. Oczywiście, pod warunkiem że jest dobra. Jeśli ja jestem dobra w dawaniu innym rozkoszy, choćby chwilowej, to czego mam się wstydzić? Poza tym, to było tylko kilka, no kilkanaście razy. – Spuściła głowę. – Ale, wiesz co? Oprócz pieniędzy zdobyłam całkiem niezłą wiedzę na temat mężczyzn. Nawet jeśli to oni mają lepsze głowy do interesów, nawet jeżeli więcej od nas zarabiają i są bardziej panami świata niż my własnej kuchni, to jednak potwornie łatwo można nimi manipulować.

– Jak?

– Właśnie tak – Lucyna uniosła pupę z krzesła i efektownie nią zakręciła. Wydęła usta i machnęła rękami. Nie była piękna, ale jednak robiła wrażenie. Miała zielone oczy, brązowe włosy, które śmiesznie upinała nad czołem, wąski nos i mocno wystające kości policzkowe. Mogła się podobać, choć nie reprezentowała sobą jakiejś klasycznej piękności. Ale miała ikrę. Jakiś płomyk wewnętrzny, który łatwo było rozpaścić zwyczajnym, dobrym słowem.

Kwiryra spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Lucyna pokiwała szybko głową.

– Naprawdę. Mężczyźni są zdobywcami i nawet jeśli szczerze kochają swoje żony, to prędzej czy później chętnie wyruszyliby na polowanie. Poza tym zdrada ich nęci. Romansik z kimś obcym, innym i zawsze chętnym.

– Za pieniądze.

Lucyna wzruszyła ramionami.

Owszem, za pieniądze. Do dzisiaj pamięta mężczyznę, który wręczył jej dwa pięćdziesięciozłotowe banknoty i nawet powiedział „dziękuję”. Półtorej miesięcznej pensji! Zrobili to w hotelu i wtedy też Lucyna po raz pierwszy przekroczyła próg Savoya. Od czasu, kiedy stworzono tu dansing, nie musiała się obawiać, że obsługa potraktuje ją jak prostytutkę, do tego lokalu zaglądało bowiem coraz więcej kobiet, również samotnych. Kiedy weszła tam z mężczyzną, którego imienia nigdy nie poznała, nikt nie obrzucił jej znaczącym spojrzeniem – mało tego, nikt nie zwrócił na nią większej uwagi. A potem najzwyczajniej na świecie poszli do jego pokoju i Lucyna aż jęknęła na widok miękkiej pościeli i puszystych dywanów. Jak i na widok kwiatów w wazonie, błyszczących mebli i wanny ze złotymi nóżkami. Oddała się temu mężczyźnie bez cienia skrupowania i wstydu, a nawet starała się być miła i dwa razy sama go pocałowała.

Sto polskich złotych. Plus kolacja i kąpiel w marmurowej łazience. Naprawdę powinna żałować, że to zrobiła?

Lucyna zdawała sobie jednak sprawę, że Kwiryra jest jeszcze dzieckiem, choć nieraz na ulicy zdarzało jej się wychwycić ukradkowe spojrzenia mężczyzn, którzy z zaciekawieniem przyglądali się tej szczupłej, zgrabnej dziewczynie o niesamowitych, dwukolorowych tęczówkach. Kwiryra była uosobieniem ówczesnego ideału piękna, choć oczywiście sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Miała jasną, niemal alabastrową cerę, ciemne włosy, smukłe ciało i długie nogi, wcale nie gorsze od nóg Lody Halamy. Jej piersi mogłyby być nieco większe, ale Lucyna doszła do wniosku, że i tak najważniejszy jest ich kształt. A były jędrne i okrągłe. Gdyby tylko ubrać Kwirynę w jakąś elegancką suknię, umalować nieco odważniej, włosy ułożyć w loki, a spierzchnięte dłonie zasłonić muślinowymi rękawiczkami, miałyby więcej adoratorów niż Madame Helene klientek na swoje kapelusiki i toczki.

A gdyby dodatkowo odważyła się wykorzystać swoją kobiecość, odsłonić ją nieco światu, w zamian sięgając po należne wynagrodzenie, mogłaby się stać jedną z najbardziej pożądanых kobiet w Polsce. Tylko jak jej to powiedzieć? Kwiryra miała zaledwie szesnaście lat, choć wyglądała znacznie poważniej. Rozumiała też więcej, niż by się wydawało, chociaż w temacie dotyczącym seksu i erotyki ciągle jeszcze siedziała w kołysce.

– Nie chciałabyś być bogata? Mieć wielki salon kąpielowy, pachnieć pudrem i perfumami, kupować sobie, co tylko zamarzysz, i codziennie jeść mandarynki? – spytała ją, patrząc na zdjęcie Jean Harlow, owiniętej puszystym, białym futrem. Puszyste, białe futra nie spadają z nieba. Trzeba je kupić lub dostać.

Kwiryra uśmiechnęła się.

– Każdy by chciał. Ale sama widzisz, jak ciężko znaleźć dobrą pracę. Zresztą ja niewiele jeszcze umiem. Matka trochę nauczyła mnie szycia, poza tym nic.

Lucyna postanowiła na razie nie drażnić tematu, a zamiast tego sukcesywnie pokazywać Kwirynie lepszy świat, piękniejsze miejsca i zapachy, od których kręciło się w głowie.

– Chciałabyś pójść na występ Lody?

Dziewczyna zerwała się z krzesła, podbiegła do Lucyny i chwyciła ją za rękę.

– Halamy? Serio mogłabym ją zobaczyć na żywo?

Lucyna wzruszyła ramionami.

To będzie cholernie drogi wydatek, ale – jak powiedziałby ojciec – również bardzo dobra inwestycja. A to, co przeznaczy na bilety, odrobi w nadgodzinach u Madame Helene lub ewentualnie pójdzie do lombardu. W kredensie stała jeszcze srebrna cukiernica...

Madame Helene była ulubioną kapeluszniczką warszawskiej klienteli. Ta szykowna, elegancka i bardzo atrakcyjna kobieta odznaczała się niewątpliwie dobrym gustem. Miała drobne usteczka, które malowała szminkami w różnych odcieniach czerwieni, blond włosy do ramion, zawsze modnie ufryzowane oraz figurę w kształcie klepsydry, którą podkreślała obcisłymi kostiumami. Była wdową, ale niespecjalnie obnosiła się tym stanem, wychodząc ze słusznego założenia, że skoro jej mąż zmarł, to widocznie tak właśnie miało być. Na szczęście zostawił jej okazałą sumkę na koncie oraz sklepik z kapeluszami dla mężczyzn, który ona błyskawicznie przerobiła na butik koedukacyjny, z wyraźniejszym ukłonem w stronę pań. Miała wprawdzie silną konkurencję w postaci salonu Maison de Couture Michaliny Koch, ale nie poddawała się tak łatwo. Mały, przytulny butik, w którym można było napić się kawy, idealnie wpasował się w warszawski krajobraz i duży udział miała w tym właśnie Lucyna. Madame Helene początkowo zatrudniła ją na czarno, co jakoś tak automatycznie trwało do dnia dzisiejszego. Z pewnością jednak pojawienie się Lucyny było strzałem w dziesiątkę. Właścicielka butiku za nic nie pozbyłaby się dziewczyny, ale postanowiła nie okazywać jej, jak bardzo jest cenna.

Sama Lucyna Makówna uważała zaś, że miała naprawdę dużo szczęścia, iż po tym wszystkim co wydarzyło się w jej rodzinie, Madame Helene nie wyrzuciła jej z pracy, tylko łaskawie przytknęła oko na mały skandal odebrania sobie życia. Co prawda, samobójstwa zdarzały się w tych czasach dość często, mimo to co innego o tym słyszeć, a co innego pracować z kimś, kogo ojciec powiesił się na sznurze od bielizny, a matka zmarła dwa lata później po przedawkowaniu alkoholu.

Inna sprawa, że Lucyna miała w dłoniach prawdziwy talent. To spod jej rąk wychodziły najmodniejsze kapelusze, berety, toczki z woalką, piórkami i wstążkami, w których kochały się miejscowe elegantki. Kiedy po roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym spódnice stały się krótsze niż kiedykolwiek wcześniej, gdy zniknęły te wszystkie pióra, koronki i kwiaty, numerem jeden stał się mały kapelusik, ciasno opinający głowę i mocno nasunięty na oczy. I to właśnie dwudziestoparolatnia Lucyna zaprojektowała pierwsze wzory takich nakryć głowy, a Madame Helene natychmiast ten pomysł podchwyciła. W jej butiku pojawiły się kapelusiki niemal we wszystkich barwach, zdobione efektowną broszką lub kwiatem w tym samym kolorze. Niektóre miały doczepione woalki na specjalne okazje, inne były owinięte sznurem delikatnych pereł. Każdy kapelusz był szyty na miarę i idealnie dopasowany do głowy swojej nowej właścicielki. Lucyna miała też doskonały zmysł smaku i świetnie wiedziała, kiedy doradzić jakiejś klientce, aby ta całkowicie schowała włosy (dotyczyło to kobiet o niezwykle proporcjonalnym kształcie czaszki), a kiedy warto pokazać kilka niesfornych kosmyków. Przełomową w jej karierze okazała się wizyta panny Chruścielówny, która miała

to szczęście, że papa przywiózł jej z Paryża małą czarną Chanel, nijak jednak niekomponującą się z dość dużą głową i odstającymi uszami właścicielki.

Panna Chruścielówna miała gęste, niesforne loki, które w zgodzie z panującą modą obcięła dość krótko, co było fatalnym błędem. Po pierwsze, całą uwagę przyciągały teraz jej uszy, a po drugie przypominała z wyglądu kudłatą owcę, dodatkowo porażoną prądem. Nawet mała czarna od Chanel nie była w stanie niczego tu uratować.

Panna Chruścielówna przyszła pewnej środy odebrać czarny toczek z woalką dla mamy, kiedy zniemacka podeszła do niej Lucyna, ukloniła się i zaproponowała przymiarzkę najnowszego modelu kapelusza, zdobionego czarnym piórkiem pośrodku czoła.

– Jeśli będę życzyła sobie nowe nakrycie głowy, sama się do was zgłoszę – oznajmiła panna Chruścielówna, która bardzo nie lubiła być zaczepiana przez służące, lokajów, pracowników sklepowych, ani tym bardziej zwykłych ludzi, urodzonych zdecydowanie w niższym przedziale majątkowym.

– Ma pani wyjątkowo piękny kształt głowy i gdyby dodatkowo podkreślić go przylegającym kapelusikiem, wyglądałaby pani lepiej niż sama Pola Negri.

To był jakiś argument.

Panna Chruścielówna pozwoliła przymierzyć sobie kapelusik, a kiedy z czystej ciekawości zerknęła w lustro, zaniemówiła. Jej loki zniknęły, podobnie jak odstające uszy. Mały, czarny kapelusik natchmiast znalazł wspólny język z małą czarną Chanel, a nawet stworzył z nią duet idealny. Głowa stała się zdecydowanie mniejsza, bardziej kształtna, a całą uwagę skupiały niebieskie oczy, otoczone gęstymi, ciemnymi rzęsami. Usteczka wymalowane w najmodniejszy kształt „łuku Kupidyna” oraz alabastrowa cera dopełniały całości. Panna Chruścielówna w ułamku sekundy z kudłatej owcy przemieniła się w kobietę wampa, na której warto było zawiesić wzrok. Przynajmniej do czasu ściągnięcia nakrycia głowy.

Od tego momentu butik Madame Helene dostał wiatru w żagle i z czasem stał się jednym z ulubionych sklepów żeńskiej części Warszawy. I dlatego właśnie Lucyna nie została zwolniona z pracy, choć o podwyżce na razie nie mogło być mowy. Ale ona nie myślała o dodatkowych pieniądzach, które i tak nie pozwoliłyby jej wprowadzić planu w czyn, tylko raczej o tych wszystkich dodatkach, które znajdowały się na zapleczu sklepu i które mogła ukradkiem wynosić, a potem wykorzystać przy szytych przez siebie strojach. Piórka, perły, sztuczne brylanty, broszki, siateczki na woalki, filcowe i skórzane kwiatki. Z pewnością udałoby jej się również uszyć kilka toczków i kapelusików na boku, a to już stanowiło jakiś procent potrzebnej garderoby. Wiedziała, że to tylko kropla w morzu potrzeb, ale lepiej zacząć od kropli, niż tylko zastanawiać się, czym zapełnić szklanekę.

Projekt „Luiza”, tak nazwała go w myślach. Projekt polegający na stworzeniu kogoś, kto będzie pasował do tych czasów równie idealnie jak czarny kapelusik do głowy panny Chruścielówny. Kto odpowie na zapotrzebowanie rynku i profesjonalnie wkomponuje się w tło warszawskiej śmietanki towarzyskiej. A potem wysunie się na plan pierwszy.

KIRA

Rozdział piąty

Związek z Joachimem trwał zaledwie sześć miesięcy, a jednak czegoś ją nauczył. Syndrom żurawia i czapli? Coś w tym było. Zdobywać niezdobyte lub przynajmniej trudne do odebrania komuś innemu. Całkiem przyjemne wyzwanie, rodzaj pojedynku z inną kobietą oraz chęć udowodnienia sobie, że „żaden mi się nie oprze”. Cudza własność pachniała zdecydowanie przyjemniej niż coś, co samo pchało się w ręce. No i wreszcie miałyby niezbite dowody na to, że jest piękna, atrakcyjna, seksowna i warta każdej ceny. Nawet rozbitego małżeństwa.

Kira zdawała sobie jednak sprawę, że nie wystarczy jedynie ponętne ciało czy dwukolorowe oczy, żeby owinać sobie wokół palca każdego, kogo by chciała. Do roli ponętnej uwodzicielki trzeba było porządnie się przygotować. Prześledzić historię związków, które się rozpadły, i skupić głównie na powodach tych rozstań. To, że mężczyźni mają problemy z wiernością, wiedziała od dawna. Jej zdaniem faceci szukali innych relacji głównie z trzech powodów – gdy przestawało im odpowiadać życie seksualne z obecną partnerką, gdy czuli się zepchnięci na dalszy plan (na przykład z powodu absorbującej pracy swojej żony) lub gdy jakakolwiek kobieta ograniczała im wolność i urządziła niekończące się sceny zazdrości. Trudno się dziwić, że w takiej sytuacji szukali wyjścia awaryjnego.

Na pierwszy ogień poszedł jej kolega z pracy, co w sumie było fatalnym posunięciem, po którym wyłądownała na dywaniku u samego szefa.

– Kira, zepsułaś mi jednego z najlepszych dziennikarzy. Facet jest kompletnie rozklejony, a ostatnio zamiast pięknego, przyjacielskiego i podtrzymującego na duchu artykułu o kobietach, napisał paszkwil. Zobacz zresztą sama – odwrócił w jej stronę ekran komputera.

„Ponad sześćdziesiąt procent badanych przeze mnie mężczyzn oraz ponad połowa kobiet zgodziła się z twierdzeniem, że «najczęstszym wrogiem kobiety jest druga kobieta». Uczestnicy badania anonimowo przyznawali, że słaba płęć jest nie tyle słaba, ile zawistna, złośliwa, wredna i mściwa. A co najgorsze – nielojalna.

Kruk krukowi oka nie wykole. Jedna baba drugiej – jak najbardziej. I to tępym narzędziem. Ale może i dobrze. Bo kobiety to czyste zło”.

– W sumie ma trochę racji, mówię oczywiście o damskiej niesolidarności – powiedziała Kira. – Ale nie nazwałabym nas czystym złem.

Maciej pokręcił głową.

– Wiem, że przez jakiś czas byliście razem. On zdaje się nawet zerwał zaręczyny ze swoją poprzednią dziewczyną...

Zerwał.

I wtedy właśnie Kira doszła do wniosku, że ich związek zaczyna tonąć niczym człowiek z przywiązaną do nogi ołowianą kulą. Szanse na wypłynięcie na powierzchnię równają się w takim wypadku zeru.

Kolega z pracy miał na imię Jan i był bardzo typowym przedstawicielem swojej płci. Trwał w niekończącym się narzeczeństwie, mieszkał z ukochaną już cztery lata i żył niczym pączek w maśle. Kira pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie fakt, że chwalił się na prawo i lewo swoją dziewczyną, jej arcytalentem kulinarnym, inteligencją oraz zachwycającą urodą. Nic dziwnego, że zapragnęła zniszczyć ten piękny rysunek albo chociaż trochę ochlapać go błotem.

Najpierw dokładnie przestudiowała profil swojego kolegi na Facebooku, wynotowała jego ulubione zespoły, filmy, książki oraz nietypowe hobby, jakim było strzelanie bąbelkami z folii. Faktycznie. Kira wielokrotnie zastanawiała się, co to za dziwny dźwięk wydobywa się z pokoiku Jana, ale jakoś nigdy nie zgłębiła tego tematu do końca. Aż do momentu, w którym stało się to istotne.

Kupiła więc folię bąbelkową, trzy płyty Scorpionsów, książkę Dumasa *Trzej muszkietierowie* oraz film *Gang dzikich wieprzy*. Z tego wszystkiego najbardziej spodobała jej się książka, zwłaszcza że metody uwodzenia niejkiej Milady przedstawiono tu zdecydowanie lepiej i bardziej szczegółowo niż w jakiegokolwiek filmowej adaptacji. Jan nie był przypadkiem szczególnie skomplikowanym. Zwykły mężczyzna, dziennikarz bez większego polotu, łatwo ulegający zachwytom, bo pozbawiony własnego zdania. Jednego dnia głosił poglądy potępiające adoptowanie dzieci przez pary homoseksualne, a dwa dni później śpiewał peany na cześć gejów, co wynikało głównie z faktu, że zorientował się, jakiej orientacji seksualnej jest jego własny szef. Kira nie lubiła takich osób, ale doszła do wniosku, że Jan idealnie nadaje się na królika doświadczalnego. Poza tym miał pewne zalety – był dość dowcipny, miał wypiełgnowanie dłonie i był przystojny. Niektóre kobiety skoczyłyby za nim w ogień i to bez gaśnicy.

Pstryk.

Kira nacisnęła cztery bąbelki naraz i była naprawdę zaskoczona, że zadziałały szybciej niż feromony partnerki na samca chomika.

– Strzelasz? – Jan zajrzał do niej z zaciekawieniem i kiwnął z uznaniem głową, widząc, jak Kira trzyma w dłoniach okazały zapas folii.

Helena miała więcej rozumu.

– Odreagowuję w ten sposób stres. Poza tym to chyba uzależnia – szepnęła konspiracyjnie.

Jan zatarł radośnie ręce i przysunął do niej krzesło.

– Nareszcie ktoś mnie rozumie! Moja dziewczyna nie cierpi tego strzelania.

Bingo!

Kira uśmiechnęła się wdzięcznie.

– Ale wiesz co, podobno jacyś kretyni wymyślili folię, która ma dokładnie tak samo zabezpieczać towar jak bąbelkowa, ale nie będzie już strzelać! – oznajmił oburzony.

– A to czemu? – zdziwiła się szczerze Kira.

Wzruszył ramionami.

– Podobno ta strzelająca zajmuje im zbyt dużo miejsca w magazynach. Nie wiem, cholera, co wtedy zrobić. Nigdy nie myślałem o tym, że folia bąbelkowa mogłaby się stać towarem deficytowym.

– Nie martwmy się na zapas. Zanim to wprowadzą globalnie, jeszcze sobie poużywamy. – Puściła do niego oko i oblizwała usta.

Prosty, normalny odruch, ale faceci jakoś zawsze wtedy spowalniają.

– Yyyy – zaplątał się nieco Jan. – Co to ja chciałem? Cieszę się naprawdę, że lubisz dźwięk pękającego bąbelka.

Kira z trudem powstrzymała się od wybuchu śmiechem i owinięcia mu folią tej przystojnej twarzy.

Na razie wystarczy. Dawała mu najwyżej kilka dni na zaproszenie jej na kawę, opowieści nad kawałkiem tortu oraz pierwsze zwierzenia, jak to nie zawsze w związkach człowiek odnajduje to, o czym marzy.

Od tego czasu minęły już cztery lata, a oni nadal razem pracowali. Co prawda, Jan ochłonął w końcu po gwałtownym zerwaniu z Kirą, a nawet przekonywał wszystkich, że wszystko jest już w porządku, mimo to ciągle na jej widok mocno zaciskał szczęki i uciekał wzrokiem. A potem głośniej niż zwykle strzelał folią bąbelkową, klnąc przy tym pod nosem. Kira uśmiechnęła się do tych wspomnień. Tyle czasu minęło, a Jan ciągle unikał jej wzroku.

Po pracy spotkała się z ojcem.

Adam w końcu pogodził się z jej mamą, wyraził zgodę na rozwód bez żadnych przeszkód i nawet przeprosił za swoje idiotyczne zachowanie. Po aferze sprzed kilku miesięcy Kirze ciągle chciało się śmiać, zwłaszcza kiedy wyobraziła sobie minę ojca spodziewającego się zastać w hotelowym pokoju Kalinę, lecz kompletnie zaskoczonego widokiem roznegliżowanej byłej żony Kosmy. Kira początkowo nie знаła tej historii, w końcu jednak udało jej się wyciągnąć od Adama pikantniejsze szczegóły.

– Przyznaję, dałem plamy. Kiedy dowiedziałem się, że twoja matka jest w ciąży i że spotyka się z innym facetem, coś we mnie strzeliło.

– Przecież ty też kogoś miałeś. I to zdaje się dużo wcześniej niż mama – słusznie zauważyła Kira. Adam westchnął.

– Wiem, ale wydawało mi się, że Kalina zawsze będzie sama. Znaczy z tobą i Konstancją. Ale, że... No wiesz...

– Że nie będzie uprawiać seksu? Wzdychać w ramionach innego faceta ani tym bardziej przeżywać orgazmu? – zapytała bez ogródek, zachwycając się szkarłatnym odcieniem skóry własnego ojca.

– Nie przesadzaj może – powiedział cierpko. – Ogólnie rzecz biorąc, chodzi mi o to, że odczułem coś w rodzaju zazdrości. No i zapragnąłem odzyskać twoją mamę. Doszedłem nawet do wniosku, że mogę adoptować Helenę, zresztą z prawnego punktu widzenia nawet nie musiałbym tego robić. Helena została poczęta, kiedy oficjalnie byliśmy jeszcze małżeństwem, więc formalnie była moją córką.

– Tato, to absurd – uznała Kira.

– Teraz to wiem. Ale wtedy wydawało mi się, że mam wszelkie prawa do twojej mamy, a ten Kosma z dziwną fryzurą tylko działał mi na nerwy. W końcu tak się wszystko zapętlilo, że Kalina nie miała innego wyjścia, jak tylko dać mi nauczkę. Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że czeka w hotelu.

– W Wiedniu – dopowiedziała Kira. – I nie wpadło ci do głowy, że kobieta w ósmym miesiącu ciąży raczej nie wybrałaby się do Wiednia i to tylko po to, by spotkać się ze swoim niezrównoważonym psychicznie mężem?

Adam obruszył się.

– Przypominam ci, że jestem twoim ojcem. A to nie były żadne zaburzenia psychiczne, tylko chwilowy zanik zdrowego rozsądku. Pojechałem więc do tego Wiednia, tyle że w hotelu nie czekała na mnie twoja matka, ale Marietta.

– Była żona Kosmy? – upewniła się Kira.

Kiwnął twierdząco głową.

– Ją też nabrali. Wcześniej rzeczywiście była tam z Kosmą, który miał jej towarzyszyć podczas jakichś badań. Ale ponieważ próbowała go uwieść, zwał.

„Źle się do tego zabrała”, pomyślała Kira.

– Koniec końców doszliśmy oboje do wniosku, że chyba nas poniosło i uznaliśmy, że nie będziemy się więcej mieszać w życie naszych dawnych współmałżonków. Nie możesz mi zresztą niczego zarzucić. Dwa miesiące temu dostaliśmy w końcu rozwód z Kaliną, bez orzekania o winie.

– A Marietta? Widujecie się czasem? – spytała Kira.

Adam podrapał się po głowie.

– Wiesz, to na razie nic zobowiązującego, ale od czasu do czasu wpadamy do siebie i nawet Lulutek już nie warczy na mój widok.

Lulutek. Dzielny york Marietty, który początkowo nie zapalał miłością do Adama. Najwyraźniej jednak postanowił mu odpuścić. Nic dziwnego. Nie od dzisiaj wiadomo, że psy są dużo bardziej stabilne emocjonalnie niż odepchnięci kochankowie.

LUIZA

Rozdział szósty

Warszawa lat trzydziestych miała w sobie tyle uroku, że Kwiryra nie potrafiła się nim nasycić. Choćby takie zakupy. Najsłynniejszym domem handlowym był ten prowadzony przez braci Jabłkowskich. Już wchodząc do niego, można się było poczuć kimś wyjątkowym. Potężne, dwuskrzydłowe drzwi otwierał portier zwany szwajcarem. Na sześciu piętrach znajdowało się wszystko, czego człowiek potrzebował do szczęścia oraz wszystko to, czego nie potrzebował w ogóle. Łyżwy polerowane ze stali szwedzkiej już za dziewięć złotych, wełny w rodzaju angielskim na okrycia i kostiumy za trzynaście złotych, grenadyna na suknie za siedem. Były sanki, narty, obuwie, ozdoby świąteczne, torebki, zegarki, zabawki i porcelana. Wszystko.

Ale tylko dla kogoś, kto miał na to pieniądze.

Lucyna pokazała Kwirynie inne miejsca, w których również można było zdobyć atrakcyjne podarunki, ale za znacznie mniejsze pieniądze. Kazała jednak starannie oglądać towar, żeby nie dać się naciągnąć jakiemuś oszustowi, który sprzedawał mleko rozcieńczone wodą, a do cynamonu dosypywał tartą bułkę. Na Nalewkach handel kwitnął już od połowy listopada, a sprzedawcom nie przeszkadzały nawet najbardziej siarczyste mrozy. Cytrusy kupowało się bezpośrednio z drewnianych wozów, reszta leżała albo na ziemi, albo na własnoręcznie skonstruowanych straganach. Czego tu nie było! Krawaty za złotówkę, stare romansidła po pięćdziesiąt groszy, katańskie pomarańcze, grzebienie, kadzidelka, środki czystości, odplamiacze do wszystkiego, czekoladki, landrynki, a nawet poznańskie „krówki”.

Kwiryna kupiła Lucynie dwie kolorowe bombki, konika i tancerkę, kilogram pomarańczy, karpia i orzechy. Cudownie było tak stać na mrozie, patrzeć, jak prószы śnieg, i przygotowywać się do pierwszych świąt w stolicy. Chciała, co prawda, pojechać do domu, ale matka napisała jej, że nie ma sensu wydawać na bilet, skoro dopiero co przyjechała do Warszawy. Niech oszczędza, urządzi się jakoś, to potem albo ona ją odwiedzi, albo się zobaczy. I niech koniecznie kiedyś zajdzie do tej znajomej na Woli, do której w końcu nie dotarła. Ale Kwirynie jakoś nie było tam spieszo.

– Po ile choinka? – spytała, patrząc z zachwytem na zielone drzewka, które pachniały kusząco, obiecując, jak co roku, cudowne święta.

– Panienska da dwójeczkę, to wybiorę najpiękniejsze – obiecał handlarz, ukazując w uśmiechu całkowity brak uzębienia. Wyglądał rozbrajająco, jak dziecko, które zgubiło wszystkie mleczone zęby i uroczo seplenilo.

Kwiryna szła przez ośnieżone miasto, nie czując zupełnie ani zimna, ani ciężaru drzewka. Była szczęśliwa, radosna i pełna nadziei na przyszłość. Może uda jej się tu skończyć jakąś szkołę szycia?

Może u Madame Helene również dla niej znajdzie się jakaś praca? Albo zostanie pielęgniarką? Co prawda, nigdy wcześniej o tym nie myślała, ale to taki piękny zawód. Pomagać innym, patrzeć, jak dzięki niej wracają do zdrowia. Podobno do szkoły pielęgniarskiej przyjmowano już piętnastoletnie dziewczęta, więc właściwie nic nie stało na przeszkodzie... Kwiryna widziała nawet takie piśmko „Pielęgniarka Polska” i pomyślała sobie wtedy, że matka byłaby z niej bardzo dumna.

Widmo trupa pojawiło się w jej głowie tak nagle i bez ostrzeżenia, że aż przystanęła na moment, tracąc oddech. A wszystko przez zwykłego przechodnia, który wyglądał niemal identycznie jak ten, który próbował ją zgwałcić dwa miesiące temu. Oparła się o choinkę i zamknęła oczy. Pielęgniarka? A skąd ona weźmie na to pieniądze? Lucyna i tak stawała na głowie, żeby jakoś wiązać koniec z końcem. Szyciem udawało im się trochę dorobić, ale z pewnością nie tyle, żeby posłać Kwirynę do szkoły. Lucyna miała jakiś plan i Kwiryna doskonale wiedziała jaki.

Ale przecież to okropny wstyd! A jeśli matka się dowie? A jeśli ktoś rozpozna Kwirynę i opowie o tym w jej rodzinnej wsi? Z drugiej strony to nie byłaby tak do końca ona sama. To tylko rola, jak na scenie, jak w teatrze. Przecież aktorki również przemieniają się w kogoś zupełnie innego, całują innych aktorów, jeśli wymaga tego rola, płaczą na zamówienie, tańczą i wkładają nie swoje kostiumy. No i wreszcie byłaby bogata.

Lucyna szczerze ucieszyła się na widok choinki.

– Zawsze kupowaliśmy drzewko z tatą. Jak byłem jeszcze dzieckiem, to pozwalał mi wybierać, ale teraz cieszę się, że to ty zdecydowałaś. Wiesz, że przez ostatnie lata nie miałam w ogóle choinki? Nie chciało mi się samej jej ubierać. – Uśmiechnęła się trochę smutno, a potem wyciągnęła z szafy dwa kartony i podała je Kwirynie.

Czego tam nie było!

Kolorowe bombki z dziurką w środku, bombki w kształcie sopli, bombki szyszki, koszyczki, jeżyki, łańcuchy ze słomy i bibuły oraz ptaszki przyczepiane do gałęzi specjalnymi klamerkami. Ptaszki miały cudne ogony, wykonane z cieniutkich, szklanych nitek. W blasku świeczek mieniły się i błyszcząły, aż trudno było oderwać od nich wzrok.

– Jest piękna – stwierdziła Kwiryna, kiedy choinka zatańczyła przed nimi w bombkowej sukience, pyszniąc się złotym czubkiem z trzech kul różnej wielkości.

– Nalepiłam pierogów i mamy karpia – powiedziała Lucyna. – Trochę śmierdzi mułem – dodała, powąchawszy rybę – ale mama zawsze wtedy nacierała mięso sokiem z cytryny i okładała plasterami cebuli. Wtedy było już dobre.

– Mogę upiec makowiec – zaoferowała Kwiryna.

– Nie mam maku. Ani bakalii. Ale możemy zwykłe drożdżowe zrobić, jeśli ci to nie przeszkadza. Wsadzę do środka migdał i wybierzemy migdałową królową, co ty na to? – Puściła do niej oko.

– Migdałową królową? – Kwiryna najwyraźniej nie znała tej tradycji.

– To wprowadzie zwyczaj, który obowiązuje podczas Świąta Trzech Króli, ale my możemy się zabawić już w Wigilię. Ukryję w placku migdał, a ta z nas, która go znajdzie, wygrywa. Możesz być wtedy panią wieczoru. Możesz sobie życzyć, czego chcesz, a ja to spełnię.

Kwiryna roześmiała się, przeganiając tym samym widmo trupa gdzieś poza granice własnej świadomości. Przynajmniej do czasu świąt. Wspólnymi siłami przygotowały z Lucyną kilka posiłków, w tym wyjątkowo smaczną zupę jeszcze ze starych zapasów suszonych grzybów, marynowanego śledzia z gorącymi kartoflami i pieczone jabłka.

To była miła Wigilia. Skromna, ale smaczna i pełna jakiejś magii. Kwirynie najbardziej smakowały kluski na słodko, ze śliwkami i gruszkami. Kiedy chciała posprzątać ze stołu, Lucyna chwyciła ją za rękę.

– Zostaw...

– Jeśli jesteś zmęczona, to się po prostu połóż, ja chętnie pomogę.

– To nie to... Mama zawsze zostawiała nieposprzątany stół. Dla zmarłych...

Kwiryna wzdrygnęła się.

Lucyna popatrzyła na nią smutno.

– Mama wierzyła, że nocą przychodzą duchy naszych przodków i częstują się okruchami ze stołu.

– To ładne – zgodziła się Kwiryna. – W takim razie niczego nie ruszam. A na pasterkę pójdziemy?

Tajemnica ciągle wisiała między nimi i wcale nie zniknęła wraz z pojawieniem się Nowego Roku. I chociaż Lucyna nigdy nie szantażowała Kwiryny i nigdy nie dała jej podstaw do strachu, to jednak w mieszkaniu przy Marszałkowskiej ciągle unosił się zapach krwi, brudu, przepoconego cielska oraz oddechu, który nagle się urwał. Jedno było pewne – Lucynie należało się odwdziaczyć. Kwiryna po prostu musiała odpracować tamtą noc, nawet jeśli takie żądanie nigdy nie padło z ust jej współlokatorki.

Kiedy nie wiadomo, jak rozwikłać dany problem, z pomocą przychodzi szara rzeczywistość. I chociaż nigdy nie ułatwia zadania, to w pewnym sensie podsuwa rozwiązanie. Nawet jeśli jest ono czterdziestodwuletnim facetem o nieprzyjemnym spojrzeniu, które wwierca się w ciebie coraz mocniej i mocniej, by w końcu uderzyć bez ostrzeżenia.

– Ja cię znam.

Lucyna była dzisiaj sama w butik, bo Madame Helene ulotniła się do Krakowa w odwiedziny do swojej ciotki. Spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

– Ja już wtedy wiedziałem, że jedną z was znam, ale teraz mam pewność. Ciebie zapamiętałem bardzo dobrze, bo moja żona kupuje tu czasem te swoje kapelusiki.

– Nie bardzo rozumiem...

– To wy zakatrupiłyście tego gościa parę tygodni temu!

I wtedy Lucyna zrozumiała, że świat bardzo lubi wkładać kij w szprychy i to najchętniej takim osobom, które z ogromnym trudem zdobyły rower.

– I co teraz zrobimy? – wyszeptała przerażona Kwiryna. Widmo więzienia przeraziło ją tak bardzo,

że prawie zemdlą, kiedy Lucyna powiedziała jej co się stało.

– Nie powie o nas, ale stawia warunki.

– Jakie?

– Takie, jak zwykle. Chce pieniędzy. Oczywiście takich, jakich nie mamy, zresztą my nie mamy żadnych – prychnęła rozzalona i usiadła do stołu, żeby dokończyć szycie. Teraz trzeba będzie chwycić się każdego zajęcia, żeby spłacić tego łotra.

Nie wspomniała Kwiryńce, że na razie udało jej się odroczyć zapłatę za milczenie w zamian za szybki numer na zapleczu sklepu. Mężczyzna zadowolili się nią dwa razy pod rząd, na szczęście na trzeci zabrakło mu sił.

– Daję wam cztery miesiące – powiedział. – Ale do tego czasu będę raz po raz cię odwiedzał. Albo tę drugą.

– Ona jest chora – powiedziała szybko Lucyna. Nie tknie Kwiryńcy, w przeciwnym razie skończy jak tamten w bramie.

– Chora?

– No wiesz... złapała coś.

Przełknął ślinę i spojrzał na nią z niepokojem.

Od razu go zrozumiała.

– Ja jestem czysta.

– Dobra, ale jak mnie czymś zarazisz, idę od razu na policję.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem czysta – powtórzyła tylko.

Kwiryńca nagle zerwała się na równe nogi i chwyciła Lucynę za rękę.

– Wiesz... Nie mamy już żadnego wyjścia. Zgadzam się.

Lucyna podniosła wzrok znad czarnego kapelusika, do którego doszywała pięćdziesiątą już chyba perełkę (specjalne zamówienie od hrabiny Torańskiej) i spojrzała pytająco na Kwiryńcę.

– Na co niby?

– No wiesz. Na ten pomysł, który masz w głowie.

Milczenie, które pojawiło się w pokoju, tylko pozornie było ciszą. Przez jego gęstość przebijał się lęk zmieszany częściowo ze wstydem, ale też ciekawość oraz nadzieja, że to może się udać.

– Nie mówisz poważnie...

Kwiryńca skinęła głową.

– Ja już wcześniej o tym myślałam. Ten mężczyzna, który prawie mnie zgwałcił... On mnie jednak jakoś zmienił, chociaż do niczego nie doszło. Znacząca sytuacja mnie odmieniła. Teraz to ja chciałabym być silniejsza. I bawić się nimi. I decydować, który będzie mógł i za ile. Skoro i tak większość z nich bierze, co chce i kiedy chce, to niech przynajmniej tyle mam z tego... Poza tym masz rację, długo tak nie pociągniemy. Ceny idą w górę, ledwo dajemy radę, a teraz jeszcze będziemy musiały zapłacić za milczenie. Nie mamy wyjścia – spuściła głowę.

Lucyna odłożyła igłę i nitkę. Jedną z perełek upadła na ziemię i potoczyła się aż pod okno. Obie

dziewczyny odprowadziły ją wzrokiem, a potem spojrzały na siebie.

– Jesteś pewna?

Kwiryna uśmiechnęła się niepewnie.

– Jeśli ty jesteś pewna, że mam jakiegokolwiek szanse, zrobmy to. Zrobmy ze mnie najpiękniejszą i najbardziej pożądaną kochankę warszawskich bogaczy. Jeśli się na to złapią, to znaczy, że widocznie taka rola była mi pisana. Choć oczywiście nie wykluczam, że kiedyś zostanę jeszcze pielęgniarką.

Lucyna podrzuciła garść pereł, które zatańczyły w powietrzu i opadły z wdziękiem na podłogę, wydając przy tym delikatny dźwięk. Nie poddadzą się. Spłacą dług i jeszcze będą bogate. Kwiryna zaśmiała się cicho, a jej współlokatorka stanęła na krześle i dumnie wypięła pierś.

– Będą cię wielbić. Będą płakać i błagać, żebyś na nich spojrzała. I będą za to wszystko dobrowolnie płacić.

Kwiryna zerknęła na swoje odbicie w szybie. Czy tylko jej się zdawało, czy naprawdę zobaczyła w nim zupełnie nową siebie?

KIRA

Rozdział szósty

Kira bardzo szybko została prawdziwym ekspertem w dziedzinie męskiej psychiki. Wiedziała o mężczyznach więcej niż pszczoła o miodzie i doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma jednego klucza do wszystkich drzwi. Jedni byli jak klucze magnetyczne, otwierali się już przy minimalnym zbliżeniu, inni przypominali klucze proste, a jednocześnie unikatowe, które pasowały wyłącznie do określonego zamka, a jeszcze inni zachowywali się niczym klucze mechaniczne, które wymagały właściwego podejścia, by odpowiednio dopasować się do zapadki.

Obserwacja plus doświadczenia empiryczne pozwoliły jej wysunąć kilka prostych, ale logicznych wniosków. Po pierwsze, nie wszyscy faceci przepadają za kobietami wyuzdanymi, które pokazują swoje cielesne wdzięki już na pierwszym spotkaniu, machając im przed oczami biustem lub nie daj Boże pośladkami. Takie gierki sprawdzają się tylko w odniesieniu do niektórych mężczyzn, tych prosto skonstruowanych. Dla większości jednak nie jest to ani słodkie, ani urocze, tylko odstrasza-
jące i niesmaczne. Podobnie jak nachalne komplementy, perwersyjne dowcipy lub wpakowanie kogoś języka do gardła w ramach tak zwanego wyzwolenia seksualnego.

Po drugie, mężczyźni mają głęboko zakorzenioną potrzebę otaczania opieką kobiet bezbronnych, zagubionych i delikatnych. Oczywiście głównie na początku znajomości. Prośba o pomoc jest niezwykle mile widziana, zwłaszcza gdy towarzyszy jej ociekające bezradnością spojrzenie. Nieuzbrojona kobieta wzbudza potrzebę opieki i Kira zawsze z powodzeniem stosowała tę metodę. Nie chodziło tu wcale o robienie z siebie idiotki, która nie wie, jak włączyć telefon. Ale już obsługa kserokopiarki, która naprawdę się zepsuła, była dobrym powodem do objawienia swojej niewiedzy.

– Jan? – zajrzała do pokoju kolegi. – Potrzebuję twojej pomocy.

Proste, idealne zdanie. Żadnych podtekstów, żadnego przymilania się ani robienia słodkich miniek. Kobieta prosi o pomoc mężczyznę, chyba największy kretyń nie próbowałby się w takiej sytuacji wykazać wiedzą. Jan również nie miał pojęcia, jak naprawić kserokopiarkę, której ostatnio używali coraz rzadziej, ale stanął na wysokości zadania. Zadzwoił po fachowców, osobiście dopilnował czy wszystko działa, a potem przyszedł do pokoju Kiry i uśmiechnął się zwycięsko.

– Kawa? – spytał pewnym głosem, bo przecież odpowiedź mogła być tylko jedna.

Godzinę i siedemnaście minut później wiedziała już o nim wszystko. Od nieśmiałego posłodzenia kawy i zamówienia torcika bezowego przeszli płynnie do wspomnień młodości, by przystanąć na chwilę przy opowieści o koncercie Scorpionsów w Berlinie (tak, ona też na nim była), a potem rzucić się na głęboką wodę i zrelacjonować swoje oczekiwania wobec życia, kończąc mocnym akordem – nie wiem, czy ktoś mnie rozumie tak dobrze jak ty.

– A twoja dziewczyna? – spytała niewinnie Kira, delektując się słodkim smakiem bezy i zgorzkniałą miną Jana.

– Alicja? Wiesz, jesteśmy już tak długo ze sobą, że chyba zaczynamy się mijać. Paradoks, prawda? Raczej rodzaj klucza magnetycznego. Wystarczyło go tylko przyłożyć, by zamek puścił.

– Nie zawsze partner jest naszym najlepszym przyjacielem. Czasem to zupełnie przypadkiem spotkane osoby stają się uzupełnieniem nas samych. Zupełnie jak w *Trzech muszkieterach* – dodała, zastanawiając się jednocześnie, czy to aby na pewno dobre porównanie.

Ale Jan najwyraźniej był zachwycony.

– Lubisz Dumasa?

– Kocham – zapewniła bez zająknięcia. W końcu to była naprawdę świetna książka, nawet jeśli Milady dość podle skończyła. Grunt, żeby wyciągnąć z tej śmierci odpowiednie wnioski.

Jan zapatrzył się na nią z nieco głupkowatym uśmiechem, a Kira stwierdziła, że nawet masło stojące przy kaloryferze stopiłoby się nieco wolniej. Trudno. Następnym razem wybierze sobie bardziej odporny metal. Taki chrom na przykład albo tytan.

To była pierwsza gwiazdka Heleny.

Kosma i Kalina zdecydowali, że podobnie jak w ubiegłym roku zaproszą całą rodzinę do siebie, choć z góry było wiadomo, że to się nie miało prawa udać. Najszybciej zgodziła się Kira, co bardzo ucieszyło Kalinę.

– Chwilowo mam wolne – powiedziała Kira, a Kalina zrozumiała, że chyba chodzi o związki. Na wszelki wypadek jednak nie zapytała, na co jej córka zareagowała charakterystyczną miną.

No, dobrze. Spróbuje się przełamać i może porozmawiają podczas świąt.

Tymczasem Kosma w dużym skupieniu czytał jakieś modne piśmko dla rodziców i widać było, że jest coraz bardziej przerażony. W końcu wstał, spojrzał na Kalinę z rezygnacją i odczytał:

– „Koniec ze wściekłą mieszanką kolorystyczną, motywami biedronek, kwiatków, motylków czy baloników. Koniec z przypadkowym łączeniem ubrań, gatunków materiałów i kolorów. Dziewczynka powinna wyglądać tak jak mama, jedyna różnica tkwi w skali, doprawionej szczyptą naturalnego dziecięcego wdzięku – przekonują projektanci. Jeśli więc mama gustuje w różach, Baby Dior podsuwa podobny cukierkowy zestaw dla dziecka – sukienkę, czapeczkę, majteczki i buciki w blad różową kratkę” – zamknął gazetę. – Kalina, czy nasza córka ma zestaw Baby Dior?

– Nie, ponieważ nie mieszkamy w złotej willi, tylko w bardzo zwykłym, trzypokojowym mieszkaniu. Zestaw Baby Dior jest droższy niż nasze szafki kuchenne, gwarantuję ci.

– Ale to nie przeszkodzi jej normalnie się rozwijać?

Kalina parsknęła śmiechem. Kosma potrafił największy kretynizm przedstawić w taki sposób, że nawet gdyby kiedykolwiek pojawił się w jej sercu żal, że nie stać ją na komplecik Baby Dior, dokładnie w tym momencie przestałoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Kocham cię, wiesz? – powiedziała jeszcze i odrobinę się zaczerwieniła, widząc spojrzenie Kiry,

w którym zamigotała wyraźna drwina.

Ale to i tak było niczym w porównaniu z miną Konstancji, którą Kalina spytała cicho i dość drżącym głosem, czy istnieje jakakolwiek szansa, by zasiadła przy wspólnym stole z Józefem.

– Niczego nie rozumiałaś?

– Mamo, wszystko jest dla mnie jasne. Ale znam też wersję taty, której ty w ogóle do siebie nie dopuszczasz. Mimo wszystko spróbujmy spędzić te święta razem. Dla Heleny – dodała.

Konstancja odpowiedziała wzrokiem, którego dobitność była czytelna nawet dla przelatującej właśnie muchy. Nie będzie wspólnych świąt. Jedynym ustępstwem, na jakie mogła pójść, było zaakceptowanie faktu, że Józef w ogóle pojawi się na Wigilii. Dokładnie godzinę po jej wyjściu.

Dwa dni później, kiedy spacerowała w pobliskim parku, jednocześnie próbując uporządkować własne myśli, zderzyła się z najgorszą z nich, co więcej zmaterializowaną i wyciągającą w jej stronę rękę z gorącymi kasztanami.

– Zdzielić cię torebką? – spytała grzecznie, choć odruchowo zgrzytnęło jej coś między zębami.

Józef postanowił, że tym razem nie odpuści. Muszą w końcu porozmawiać.

– Konstancja, proszę cię. Minęło już tyle lat.

Wzruszyła ramionami.

– To niczego nie zmienia. Może minąć kolejnych trzydzieści, czterdzieści, a nawet osiemset. Ziemia może przestać się kręcić, a mój kot zacząć mówić. Nic nigdy nie wpłynie na zmianę mojego stosunku do ciebie. Zabiłaś mnie dawno temu, a to, że jednak żyję, zawdzięczam tylko samej sobie.

– To raczej ty mnie zabiłaś – zauważył słusznie.

– Bo miałam powód. I doskonale wiesz, że zasłużyłaś nie tylko na taką umowną śmierć, ale prawdziwą. Bolesną i bardzo długą. Żebyś ją sobie zapamiętał również w innym życiu.

Józef wygrzebał z papierowej torebki kasztana i podał go Konstancji.

– Może się nim udław? – zaproponowała natychmiast.

Westchnął zrezygnowany. Wiedział, że na odpuszczenie win nie ma co liczyć, mimo zapachu świąt Bożego Narodzenia, ale po cichu liczył chociaż na promil zrozumienia. Co prawda, kiedy Kalina dowiedziała się, kim naprawdę była jego kochanka, też o mało co nie wyrzuciła go z domu, ale po jakimś czasie uporządkowała sobie wszystko w głowie i rozumiała, że wina Józefa wcale nie była tak oczywista.

– Powiedziałeś mi, że to przyjaciółka mamy! A to... to... Aż nie potrafię tego głośno powiedzieć! – krzyczała Kalina, która w końcu poznała prawdę.

Józef przyjechał wtedy w odwiedziny do Heleny, ale jego uśmiech zniknął zaraz potem, kiedy Kalina otworzyła mu drzwi. Nie zdążył spytać, o co chodzi, bo natychmiast się tego dowiedział. Oczekał pierwszy kwadrans krzyku i zarzutów, a potem spokojnie opowiedział swoją wersję. Tym razem bez żadnych kłamstw, niedomówień, oszustw i zniekształcania przeszłości. On naprawdę nie wiedział. A w tej kobiecie po prostu się zakochał.

Kalina w końcu ochłonęła i nawet próbowała go zrozumieć. Konstancja najwyraźniej postanowiła nienawidzić go do końca życia.

– A to jest cynamon – objaśniał Kosma, podsuwając Helenie pod nos brązową laseczkę.

– Myślisz, że ją to kręci? – spytała Kira.

Kosma kiwnął głową.

– Maleńkie dzieci uwielbiają zapachy. Zmysł węchu staje się precyzyjny już w ciągu kilku pierwszych dni życia dziecka. Noworodki na przykład doskonale potrafią rozpoznać zapach swojej mamy, odróżniając go od zapachu innych kobiet. Z zadowoleniem reagują też na zapach wanilii czy truskawek. Z czasem preferują oczywiście określone zapachy – swojego smoczka czy ukochanej przytulanki. Dlatego dziecku trzeba podsuwać różne rzeczy do wąchania: kwitnące róże, skoszoną trawę, pomarańczę czy właśnie cynamon. Im bardziej intensywne, tym większe zainteresowanie – wyjaśnił jak zwykle rzeczowo i na temat.

Kira przez moment poczuła maleńkie ukłucie zazdrości. Nie o Helenę. Ani nie o to, że ktoś jej podsunął pod nos laskę cynamonu. Pomyślała ze zdziwieniem, że zazdrości Kalinie Kosmy, który składając się z samych niedoskonałości, tworzył tym samym mężczyznę doskonałego. Przy nim nikt nie miał prawa się nudzić.

Wigilia podzieliła swój odświętny czas między Konstancję a Józefa i zrobiła to wyjątkowo taktownie. Ona wyszła o osiemnastej, on przyszedł godzinę później. Kira zaliczyła obie kolacje, podobnie zresztą jak pozostali domownicy.

– Naprawdę zjecie to wszystko raz jeszcze? – zdziwił się Józef.

Kosma z uśmiechem przytaknął.

– Podwójny barszcz, podwójne pierogi, podwójny makowiec. Jestem kontent.

– A cóż to jest? – wskazał palcem Józef, wyraźnie zaintrygowany różowo-białym dziełem sztuki.

– To moje osobiste dzieło – Kosma dumnie wypiął pierś. – Otóż, jak wszyscy wiemy, Wigilia bez ryby byłaby absolutnie podła. Na ogół na stół wjeżdża karp, ale odnoszę dziwne wrażenie, że większość ludzi jakoś go nie lubi. Bo ma ości, bo zalatuje mułem albo niezdrowo wygląda. Czytałem wprawdzie o dawnych metodach okładania go cytryną, ale sam nie podjąłem próby. Na szczęście mamy alternatywę – Barbie wśród ryb – czyli różowego łososia oraz Śnieżynkę – białego dorsza. Do tego figi oraz duszona cukinia. Kalina mówi, że to kompletnie nie pasuje do Wigilii, a Konstancja kategorycznie odmówiła nałożenia sobie tej potrawy, twierdząc, że mnie poniosło w złym kierunku, ale wiem, że ty z pewnością mnie nie zawiedziesz.

Józef roześmiał się. Sam uwielbiał eksperymentować w kuchni, dlatego kulinarno-święteczny odchył Kosmy tylko mu zaimponował. Podobnie jak choinka, której wielkość przerosła oczekiwania wszystkich, łącznie z samym pokojem. Gałęzie zaglądały więc do talerzy, przyduszały stojące w pobliżu meble, a nawet skutecznie zasłoniły wiszącą lampę. Najważniejsze było jednak, że Helena na widok choinkowych ozdób rozpromieniała się niczym świetlik i z zachwytem patrzyła na wszystkie te bombki, światełka i łańcuchy. Najbardziej podobały jej się ptaszki przyczepione do gałęzi specjalnymi klamerkami. To on, dziadek przywiózł je ze swojego rodzinnego domu.

– Ogony mają zrobione z cieniutkich, szklanych nitek, dlatego są dość delikatne. A jednak udało im się długo przeżyć – uśmiechnął się Józef. – Dostałem kiedyś te ozdoby od swojej mamy, a ona

od babci. To były kiedyś bardzo modne bombki...

Helena zaśmiała się uroczo i próbowała zjeść ptaszkowi główkę. Na szczęście Kosma w porę zareagował i zaproponował swojej córce trzy ziarenka maku.

– To twoje preludium do makowca – wyjaśnił. – Samego ciasta nie mogę ci dać skosztować, gdyż grzeszy posmakiem likieru pomarańczowego. Ale w zamian za to możesz pobawić się pomarańczą, którą sparzyłem osiemnaście razy i dla pewności wyszorowałem ryżową szczotką.

– Wpadniesz jutro? – Kalina uśmiechnęła się do Kiry i spojrzała na nią pytająco.

– Nie wiem – odrzekła córka. – Może zostanę z babcią w domu, bo słyszałam, że jutro też macie gości.

Kalina chrząknęła odrobinę niepewnie.

Jutro mieli wpaść rodzice Kosmy. Pierwszy raz od porodu Heleny.

LUIZA

Rozdział siódmy

– Patrz – Lucyna wyciągnęła stary numer czasopisma „Świat” z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku i przeczytała na głos fragment felietonu Stefana Norblina. – „Nareszcie doczekaliśmy się powrotu długiej sukni i z radością widzimy, jak kroczy tryumfalnie połyskująca wszystkimi barwami tęczy i aniliny, długa, powłóczysta, falująca i jak roztacza urok swej kobiecości. Jak uwodzi harmoniją linii, miękkością każdego ruchu, gracją każdej pozy. Jak w delikatnym uścisku spowija biodra i jak wstydlwym ruchem zakrywa w bajecznych fałdach skarb kobiecych nóg”. Trzeba przyznać, że gość potrafił pisać.

– Czyli nie pokazywać nóg?

Lucyna pokręciła głową.

– Nie tak od razu. Nogi niech sobie pokazują „chustkowe”, w końcu muszą czymś kusić. Ty masz być elitarna. Niech się tylko domyślają, co tam masz pod sukienką i niech tego potwornie pragną. Taki mężczyzna sypnie dwukrotnie więcej kasy. A jak mu na tacy podasz swoje wdzięki, to ci jeszcze przyłoży. Musisz go onieśmielać. Musi mieć na ciebie większą ochotę niż na wódkę, a jednocześnie wiedzieć, że będziesz smakować o niebo lepiej.

Kwiryna nie była pewna, czy podoła zadaniu, ale w ustach Lucyny wszystko brzmiało dość obiecująco. Najwyraźniej znała się na rzeczy, a przecież nie od dzisiaj wiadomo, że w biznesie ważny jest godny zaufania partner, który nie lawiruje niczym akrobata na linie, tylko pewnie stawia kolejne kroki.

– Wiesz co ich jeszcze kusi? – mówiła dalej Lucyna. – Te wszystkie jedwabie, mereżki, koronki. Na co dzień tego nie widzą, zresztą pewnie ich żony noszą płócienne koszule. Twoja bielizna musi ich rozpalać bardziej niż twoje nagie ciało. Głęboki dekolt, błyszczący materiał, powłóczysta suknia, przezroczysty szlafroczek, a pod nim... ty.

Kwiryna patrzyła na Lucynę z wypiekami. To wszystko brzmiało z jednej strony bardzo erotycznie, z drugiej zaś ciut baśniowo, nawet jeśli miało skończyć się seksem z nieznanym mężczyzną. Tylko jak ona pokona wstyd?

– Boję się, że nie podołam. Nawet imię mam jakieś takie beznadziejne – wyszeptwała.

Lucyna zaśmiała się.

– A Loda to tak naprawdę Leokadia. Myślisz, że kogoś obchodzi twoje prawdziwe imię? Wymyśl sobie jakieś, to zresztą całkiem dobry pomysł. Po co masz szargać własne?

Kwiryna zastanowiła się przez chwilę.

– Może też coś na literę „L”? Jak Loda. Leokadia...

– Luiza? – podsunęła jej Lucyna.

Kwiryna klasnęła w ręce, a Lucyna oznajmiła:

– Cudownie! Tajemnicza Luiza, rozkosznie i dyskretnie. Takie zrobimy ci wizytówki. Albo nie, lepiej „higienicznie i dyskretnie”, żeby klienci wiedzieli, że mają do czynienia z kimś z wyższej sfery, a nie ze zwykłą dziwką z bramy. Nawet nie wiesz, jak bardzo czystość jest w cenie.

– Czystość? – nie zrozumiała Kwiryna.

– No, taka prawdziwa. Chodzi o to, żeby nikt się nie bał czymś od ciebie zarazić. Wiesz, że niektóre prostytutki mają tak zwane czarne książeczki? Muszą wtedy regularnie stawiać się na badania kontrolne, a w przypadku syfilisu czy innej cholery poddać się leczeniu. Nie wolno im opuszczać miasta i tak naprawdę ciągle są kontrolowane. W życiu nie możemy dopuścić do takiej sytuacji.

Kwiryna tylko przelknęła ślinę, Lucyna zaś perorowała dalej:

– Musimy zrobić z ciebie kogoś wyjątkowego. Kogoś, kto będzie osiągalny, ale tylko za duże pieniądze. I to też nie dla każdego. Nic się nie bój, ja będę sprawdzać klientów, czy to nie są żadni szopenfeldziarze, których stać najwyżej na jeden numerek. Twoim celem muszą być nadziani goście, tacy, którzy będą do ciebie wracać. I którzy będą marzyć, żeby przynosić ci prezenty. Obsypywać kwiatami. Kupować futra, brylanty i zapraszać do Savoya lub Bristolu. Patrz! – Lucyna podała Kwirynie pogięte menu. Czytaj tylko.

– Łosoś wiślany na ruszcie, sandacz po parysku, curry z baraniny z ryżem, mózdzek smażony ze szpinakiem, kotlet z jagnięcia, bryzol z kapłona z groszkiem, comber z zająca z borówkami, perliczka z sałata włoską, indyczka z kompotem, kwiczoły z jałowcem i dudą. Ależ to musi smakować – Kwiryna oblizwała się.

– A zobacz desery!

– Gruszki imperiale, ananas melba, sałatka z pomarańczy, puchar z mandarynkami. Lucyna, myślisz, że kiedyś tam pójde?

– To tylko kwestia czasu. Ale najpierw przed nami ciężka praca. Nie możesz od razu wystartować, najpierw musisz się wszystkiego nauczyć. Chodzenia, siadania, sztuki makijażu, a nawet mrugania.

– Źle mrugam?

– Zwyczajnie. A powinno być zalotnie. Jakby motyl trzepotał skrzydłami, ale w zwolnionym tempie. Podobno są techniki, które uczą, jak się pohamować przed nadmiernym mruganiem powiekami. Chodzi o to, żeby nie poruszać nimi, jakby się na nerwy chorowało. Rysujesz więc sobie kółko na czubku nosa i musisz na nie tak długo patrzeć, aż doliczysz do stu. Wtedy dopiero wolno ci mrugnąć. Rozumiesz?

Kwiryna kiwnęła głową, choć nie do końca była pewna, czy spełni wszystkie oczekiwania koleżanek.

– Dobra. To zaczynamy. Jak masz na imię?

– Kwi... – Kwiryna urwała w połowie, widząc na sobie groźne spojrzenie Lucyny. – Luiza – poprawiła się natychmiast.

– Luiza. Higieniczna i dyskretna. I już niedługo bardzo bogata.

Plan był niewątpliwie doskonały, problem leżał jednak w jego realizacji, a dokładniej w środkach. Lub ich braku. Lucyna zdawała sobie sprawę, że stworzenie elitarnej damy do towarzystwa, której nikt nie ośmieli się nazwać kurwą, będzie wymagało niemałych nakładów finansowych. Kwiryna vel Luiza musiała się nauczyć wszystkiego. Musiała też mieć eleganckie ubrania i to nie żadne garsonki z najtańszego materiału, tylko najwyższej jakości dżersej, muślin, no i koniecznie przynajmniej jeden kołnierz z lisa. A najlepiej futro od Chowańczyka. Do tego kapelusiki, rękawiczki i buty na obcasie. Dwie suknie wieczorowe – jedną z mocno wydekoltowanym stanikiem, a drugą najlepiej wężową, kusząco opinającą ciało, bez rękawów i szytą z tak zwanego skosu. Wyjątkowo silnie działało to na mężczyzn. Konieczne było też zadbanie o włosy, cerę, a nawet dłonie, które zdecydowanie nie były najmocniejszą stroną Kwiryny. Czerwone, spierzchnięte, z połamanymi paznokciami. Kobieta, która miała być boginią, nie może odstraszać takimi rękoma. Trzeba jej będzie jakąś miksturę przygotować z żółtek i mleka. Albo zaparzyć siemię lniane i potem moczyć ręce w wywarze. I przyda się też trochę soku z cytryny, żeby ciut rozjaśnić skórę, zwłaszcza na dekolcie.

Lucyna westchnęła.

Cholernie dużo pracy i jeszcze więcej pieniędzy. Nie wszystko da się załatwić domowymi sposobami, prędzej czy później będą potrzebowały trochę grosza. A nawet więcej niż trochę. Ich szantysta na razie nie upominał się o pieniądze, ale brał Lucynę za każdym razem, kiedy miał na to ochotę. Oczekiwał, kiedy Madame Heleny nie było w butik, a dwa razy wystarczył mu szybki numer w bramie.

– Masz jakiś plan? – spytała ją Kwiryna, siadając obok na kanapie i podkurczając nogi. Najchętniej przytuliłaby się do współlokatorki, zasnęła i obudziła w lepszym świecie, w którym nie straszyloby widmo trupa i winy, którą należało spłacić.

Ale trup był. Na całe szczęście tak bardzo nieżywy, że on sam w żaden sposób nie mógł już Kwirynie zaszkodzić. Tylko ten cholerny świadek... Gdyby nie Lucyna, byłoby z nią teraz bardzo krucho, musiała o tym pamiętać. Nie ma wyjścia, ta tajemnica wiąże je dożywotnio, a obowiązkiem Kwiryny jest odwdziżyć się za to, że nie trafiła do więzienia. Przymknęła oczy.

– Musimy szybko zarobić trochę pieniędzy. To znaczy nie trochę, lecz całkiem sporo. Problem polega na tym, że chyba należy zapomnieć o uczciwej pracy, bo wtedy prędzej się zestarzejemy, niż doczekamy kołnierza z lisa – dobiegł ją głos Lucyny. – Chciałabym już spłacić nasz dług.

– Co chcesz zrobić? – Wystraszona Kwiryna usiadła prosto, chowając głowę w ramionach. Chyba nie będą kraść?

Lucyna siorbnęła gorzkiej herbaty i zatopiła się w myślach. Jak wyjść na ulicę, jednocześnie nie sięgając bruku? W kurestwie najgorsze jest poczucie upodlenia, świadomość, że twoje własne odbicie w lustrze patrzy na ciebie z pogardą. Tego musiała Kwirynie oszczędzić.

Do dziś miała w głowie ciało Zośki Kalafior, które znaleziono nad Wisłą i bez specjalnego żalu

przykryto starym kocem do czasu, aż w końcu zabrano je do prosektorium. Zośce nikt nie współczuł, w końcu była najtańszą uliczną dziwką, jaką można było dorwać w Warszawie. Była chyba nawet tańsza od dworcówek, oddających się niemal za darmo. Lucyna nigdy nie mogła pojąć, jak ktoś może się sprzedawać za cenę trzech kilogramów cebuli. Ale Zośka nie narzekała. Czasem dostawała pieniądze, czasami coś do jedzenia, a niekiedy po prostu flaszkę wódki. W zasadzie było jej wszystko jedno, grunt, że prawie codziennie miała co do gęby włożyć. Nikt tak naprawdę nie wiedział, ile ma lat. Równie dobrze mogła mieć trzydziestkę, jak i więcej niż pięćdziesiątkę. Od kiedy Lucyna ją pamiętała, Zośka wyglądała tak samo. Szara twarz, małe oczy i ten nos, który wszystkim przypominał kalafior. Cienkie, liche włosy, związane byle jak gumką i prochowiec, z którym się niemal nie rozstawała. Jej wzrok był nieobecny, a myśli błądziły pewnie po tych rejonach marzeń, w których nikt Zośki nie wykorzystywał, tylko naprawdę ją kochał.

I wtedy nadszedł dzień, w którym Zośka Kalafior przebudziła się jak z najgłębszego snu i zobaczyła na ulicy mężczyznę, na widok którego jej sercem coś szarpnęło. Edward M., właściciel niewielkiego folwarku pod Łodzią, zatrzymał się w Warszawie na kilka dni i kiedy stał na ulicy Chmielnej, pozwalając czyścić sobie buty, Zośka Kalafior podeszła do niego pchana odwagą, zauroczeniem i prawdopodobnie chwilowym zamroczeniem alkoholowym. Trudno powiedzieć, który z tych bodźców ostatecznie zwyciężył, faktem jest jednak, że chwyciła Edwarda za rękaw marynarki, a potem przyłgnęła do niego całym ciałem, wydzielającym zapach najgorszej części Warszawy, doprawionym aromatem śledzi, które niosła zawinięte w papier.

W zasadzie eufemizmem byłoby stwierdzenie, że Edward M. nie odwdzieczył tego gestu uwielbienia. Zośka, oprócz wspomnianych śledzi, doniosła do domu wykręconą rękę oraz nieprzyjemne pieczenie w okolicach prawego policzka. Ale było już za późno. Zakochała się w tym mężczyźnie, w jego lśniących butach, tweedowej marynarce i popielatym spojrzeniu, nawet jeśli było ono dodatkowo wzgardliwe i pełne obrzydzenia. Miłość jest bowiem ślepa. Jak kura, kret czy też mroczny zaulek.

Następnego dnia Zośka postanowiła odciąć się od swojego poprzedniego życia i spróbować chociaż liźnąć szczęścia, które musiało smakować jak sznycel ministerialny. Zośka wprawdzie nigdy go nie jadła, ale słyszała, że jest niebiański. Edward M. mieszkał w Savoyu, o czym doniosły jej usłużne koleżanki z ulicy, mające cichą nadzieję na wdzięczność ze strony Zośki, na wypadek, gdyby się udało.

Do środka jej nie wpuszczono, czego bardzo żałowała, bo marzyło jej się zobaczyć te słynne dwieście pięćdziesiąt żarówek, które rzekomo świeciły w sali głównej. Ale i tak najważniejszy był Edward M., opuszczający hotel o godzinie dziesiątej w brązowym płaszczu, brązowych butach i wyjątkowo twarzowym kapeluszu. Zośka też była tego dnia wystrojona. Miała na sobie drelichową sukienkę w kratę, czarne półbuty i nową fryzurę. Sama obcięła się na pazia, formując z przodu grzywkę, którą potraktowała kawałkiem słoniny, żeby włosy nabrały blasku.

– Jestem znowu – oznajmiła zdumionemu Edwardowi M., który po pierwsze w ogóle jej nie pamiętał, a po drugie pamiętał by nie chciał.

– Z drogi – powiedział tylko i stanowczym gestem przesunął Zośkę Kalafior o jakieś dobre pół metra, nie zważając kompletnie na jej chwilową utratę równowagi.

– Nie szkodzi, sama się potknęłam – powiedziała jeszcze, otrzepując sukienkę i przyglądając grzywkę, która straciła wcześniejsze, misterne ułożenie.

Edward M. szedł dalej Nowym Światem, aż pod numer dwadzieścia trzy/dwadzieścia pięć do kawiarni Swann, do której jednak nie dane było mu wejść, a przynajmniej nie od razu.

– Jestem znowu – szepnęła Zośka Kalafior i tym razem stanęła blisko ściany, by po raz drugi tego samego dnia nie stracić równowagi.

Edward M. zdębiał, po czym zaczął się rozglądać na boki, zastanawiając się, czy nie padł ofiarą żartu, a nawet prowokacji ze strony jakiegoś konkurenta z branży.

– Czego chcesz ode mnie? – syknął w końcu mocno już zniecierpliwiony.

– Kawy? – odparła Zośka, szczęśliwa, że zawiesił na niej wzrok dłużej niż przez trzy sekundy.

Edward M. zaśmiał się gardłowo, a nawet uderzył dłońmi w kolana, a potem otarł dłonią załamane oczy. Co za natrętna dziwka. Bo to, że była dziwką, nie ulegało żadnej wątpliwości. Nie pomogła ani grzywka natłuszczona słoniną, ani sukienka zakrywająca mocno już zużyte ciało.

– Dobra. Kupię ci kawę, ale musisz rozwiązać zagadkę.

Zośka przelknęła ślinę, bo nawet jeśli nigdy nie piła kawy w takim miejscu, to teraz prawie poczuła jej smak. Dorzuciła w myślach trzy kostki cukru do filiżanki i oblizała usta. Zagadka?

– Dlaczego „Swann”? Pewnie dużo czytasz, więc to nie będzie trudne, co? – Zaśmiał się nieprzyjemnie i pstryknął palcami. – Nie wchodź do środka, dopóki nie będziesz znała odpowiedzi – wyszczał jeszcze i wzdrygając się z obrzydzeniem, minął ją, zanim zdążyła mrugnąć.

Przez kolejne dwie godziny Zośka zaczepiała niemal wszystkich przechodniów, błagając o pomoc. Ale nie udziela się pomocy kobiecie brzydkiej, zaniedbanej i śmierdzącej tłuszczem. I dlatego kiedy Edward M. wyszedł w końcu z kawiarni, ona ciągle tam stała, patrząc na niego z rozpaczą i znikającym smakiem kawy w ustach, której nigdy nie piła.

– Czyżbyś nie czytała Prousta? – spytał nonszalancko.

Nie odpowiedziała.

Podszedł do niej bliżej, zatykając ostentacyjnie nos i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj, kurwo.

Zośka Kalafior usłyszała nie tyle trzaśnięcie pękającego serca (w końcu to nie był romans), ile szum zalewającego ją upokorzenia, które w połączeniu z wodą Wisły utopiło ją na zawsze i na wieki wieków.

Nie ma nic gorszego, niż zostać upodlonym przez mężczyznę, którego jedyną przewagą jest tweedowa marynarka i możliwość noclegu w Savoyu. Lucyna Makówna nie ukończyła wyższych szkół, ale tę wiedzę posiadała. Jeszcze kilka lat temu przy ulicy Marszałkowskiej znajdował się dom schadzek, o którym wszyscy wiedzieli, choć nigdy oficjalnie. Tutaj nie przychodziły zwykłe dziwki, ale tak zwane kapeluszone, najczęściej młode, ładne i stanowiące łakomy kąsek dla zamożniejszych, starszych mężczyzn, którym własna żona nudziła się najpóźniej dwa dni po ślubie. Te dziewczęta

miały w sobie tę odrobinę szyku, która pozwalała im uprawiać seks w czterech ścianach, a nie tylko pod mostem, w bramie czy na ulicy. Gorzej, że ponad połowę zarobku oddawały właścicielce, która dodatkowo potrącała im za zmianę pościeli czy upranie sukienek. W Warszawie było też kilka ekskluzywnych domów publicznych, do których chadzała najbogatsza klientela, ale Lucyna wiedziała, że również nie tędy droga. Jej Luiza nie miała być jedną z wielu, tylko wyjątkową, niepowtarzalną i najbardziej atrakcyjną damą do towarzystwa w stolicy. Już za samo pojawienie się z nią na kolacji mężczyźni musieliby słono płacić, nie wspominając o ostatecznej przyjemności, jaką miał być seks.

– Musimy to wszystko urządzić odwrotnie niż do tej pory – tłumaczyła Kwiryne. – Teraz jest tak, że jak gość ma kasę, to kobieta automatycznie rozkłada nogi. Z tobą będzie inaczej. To ty będziesz decydować, z kim spędzisz noc. Chodzi o to, żeby mężczyzna nigdy nie był pewny, czy jest wystarczająco dobry, byś pozwoliła mu się dotknąć.

Kwiryne obgryzała nerwowo paznokcie.

– Jesteś pewna, że się nadaje?

Lucyna wzruszyła ramionami.

– Nawet Zośka Kalafior by się nadawała, gdyby ktoś wpakował w nią najpierw forszę zamiast fiuta.

KIRA

Rozdział siódmy

Naturalność i swoboda. Żadnych sztucznych zachowań. Żadnych odniesień do śpiących czy też obudzonych królewien. I żadnych Czerwonych Kapturków, które tak bardzo boją się wilka. Mężczyźni nie lubią bajek i nawet jeśli nigdy nie zrozumieją różnicy między dwunasto- a osiemnastoprocentową śmietaną, to z pewnością od razu wyczują idiotkę.

Kira po przetestowaniu Jana i oderwaniu go bez większego wysiłku od narzeczonej postanowiła stopniowo podnosić sobie poprzeczkę. Żadne kupione jabłko, choćby najdroższe i najpiękniejsze, nie smakuje tak dobrze, jak to ukradzione z ogrodu sąsiada. Ale do każdej kradzieży, nawet tej błahej, należało porządnie się przygotować.

Już po paru miesiącach, gdyby tylko chciała, mogłaby z marszu napisać *Encyklopedię mężczyzn*, uwzględniając każdy najdrobniejszy szczegół. Poznała ich doskonale. Wiedziała na przykład, że chociaż nie znoszą trucia, to sami też potrafią nieźle przynudzać. Oczywiście w pracy pozostają profesjonalistami, ale ile razy zdarzało się jej, że po całkiem udanym seksie zaczynali narzekać. Na sąsiada, na kolegę z pracy, na wysoko oprocentowane kredyty i na jogurt, w którym miały pływać całe truskawki, a była tylko szypułka. Niesmaczna na dodatek. A jak okropnie bolały ich wspólne zakupy!

Oni naprawdę ich nie znosili. Wypad po zwykłą kurtkę przeciwdeszczową stawał się dla nich absurdalnym polowaniem na trendową szmatkę, ale temu najczęściej winne były właśnie kobiety. To ich zdaniem kurtka powinna być dobrana pod kolor spodni, mieć modny krój i pasować do szalik, a najlepiej również bokserek. Przy okazji mogła ewentualnie chronić przed deszczem, choć niekoniecznie. Co gorsza, zakup jednej, nawet najbardziej prozaicznej rzeczy trwał zazwyczaj kilka godzin i na ogół kończył się kłótnią. I dlatego Kira pokazywała swoim mężczyznom, jak może wyglądać wspólne robienie zakupów, ale robiła to tylko jeden, jedyny raz, zdobywając tym samym ich dozgonny szacunek.

– Poproszę czarny biustonosz, model Elipse, rozmiar siedemdziesiąt pięć D – mówiła z uśmiechem, podając ekspedientce kartę.

– Nie przymierzasz? – pytał oszołomiony aktualny partner, nieprzyzwyczajony najwyraźniej do tak szybkich i sprecyzowanych decyzji, a nawet wietrzący w tym pewien podstęp.

– Wypróbuję w sypialni – odpowiadała wtedy zupełnie normalnie.

W sklepie z ciuchami brała najwyżej dwie sukienki, znikwała w przymierzalni na trzy minuty, a potem z uśmiechem wychodziła i kierowała się prosto do kasy.

– Nie powinienem ci doradzić, czy dobrze wyglądasz? Czy leży idealnie i która tak naprawdę le-

piej pasuje do koloru twoich oczu? – To były przecież pytania standardowe.

Kira odpowiadała krótko i na temat:

– Lepiej wyglądam w niebieskiej, choć obie leżą świetnie. Ale niebieska bardziej mi się podoba. A do moich oczu pasuje tak naprawdę wszystko. Kupuję i znikajmy stąd, szkoda życia na centra handlowe.

Każdy normalny facet po takim oświadczeniu był skłonny nie tylko zapłacić za wszystkie zakupy, ale także podarować tak cudownej kobiecie zaręczynowy pierścionek. Problem polegał jednak na tym, że większość z nich miała już żony, a żonę mimo wszystko łatwiej było zdradzić, niż w tajemnicy zastąpić drugą.

Kirę fascynowało zjawisko zdrady. Podobno myślenie ewolucyjne w ogóle nie zakłada, że mężczyźni muszą zdradzać, ale zakłada, że istnieją takie mechanizmy psychologiczne, które zmuszają płęć męską do ciągłego poszukiwania różnorodności. Coś w tym było. Największym zabójcą każdego związku prędzej czy później okazywała się nuda. Słynne motyle przepoczwarzały się w zwykłe szare ćmy codzienności, których trzepotu skrzydeł nikt już nie słyszał.

To nie miłość była ślepa. To zakochanie. Obserwując kolegów z pracy, znajome pary czy wreszcie własnych rodziców, Kira dość szybko dokonała analizy statystycznego związku. Zakochanie trwało ponad rok, namiętność – maksymalnie dwa lata. Po euforii i burzy hormonów przychodził czas stabilizacji i przyzwyczajenia. I tylko od głównych aktorów zależało, czy związek miał szanse przetrwać swoje najgorsze momenty, czy też z hukiem rozpadał się na tysiące kawałków.

Kira początkowo trafiała na mężczyzn, którzy pierwszy stan ekstazy dawno mieli już za sobą. Nie byli trudnym wyzwaniem, jeśli w ogóle nim byli. Sami pchali się w jej ręce, niemal prosząc, by uwolniła ich ze związku, który pachniał zupą szczawiową, szmatą do wycierania kurzu oraz pretensjami, że „już nie jesteś taki, jak dawniej”. Im szybciej się jej nudzili, tym szybciej przechodzili z rubryki „do zdobycia” na stronę „zwolniony”. Kira potrzebowała zdecydowanie większych wyzwań. Zawiądnęła kimś, komu smakował dotychczasowy związek, a o zdradzie myślał bardziej w kategorii zjawiska socjologicznego niż własnego doświadczenia.

Paweł K. był wyrachowany, bezczelny, a kobiety traktował jak dodatek do marynarki. Typowy korpofacet, który żył według pewnego schematu współczesnego człowieka sukcesu. Żadnych nadmiernych emocji, żadnych długofalowych obietnic. Kira poczuła, że to dobry obiekt. Tym razem nie chodziło nawet o to, by go odebrać aktualnej partnerce, ale raczej doprowadzić do stanu, w którym by kwilił niczym porzucone pisklę i rozpaczliwie błagał o miłość. Żeby szlochał, odchodził od zmysłów, nie potrafił zrozumieć, dlaczego został odepchnięty, lamentował żenująco, a nawet z lekka pobekiwał. Zazwyczaj to właśnie takie zachowania najbardziej denerwowały ją w porzucanych facetach, ale tym razem dla odmiany zapragnęła łez. Chciała też rozkochać go w sobie naprawdę. Tak, żeby poczuł to aż w trzewiach. To było wyjątkowo trudne zdanie, zmuszenie zwykłego mężczyzny do zerwania z siebie szat twardziela udaje się bowiem tylko w wyjątkowych sytuacjach. A już przemiana Pawła K. w galaretę emocji wymagała prawdziwego mistrzostwa.

Paweł K. był właścicielem niewielkiej, ale dość prężnej agencji reklamowej, z której usług korzy-

stało ich pismo. Był to pomysł Maćka, jej szefa, który postanowił rzucić rękawicę internetowym wydaniom magazynów i udowodnić, że ich papierowy poradnik utrzyma się na rynku, nawet jeśli wirtualny świat pożre wszystkich dookoła.

– Kira, podjedziesz do KJ&V, zapoznasz się z ich ofertą, a potem powiesz mi, co o tym myślisz – powiedział Maciek i podał jej adres. – Facet ma łeb na karku, ale chciałbym poznać również twoją opinię, bo twardo stąpasz po ziemi. Nie wciśnie ci żadnych głupot, których od razu byś nie wyczuła. Liczę też na to, że na widok twoich oczu troszkę zmiękną warunki oferty oraz jej cena, która podobno nie jest do negocjacji.

– Wszystko jest do negocjacji – uśmiechnęła się Kira.

Maciek w duchu podziękował sobie za dzień, w którym ją zatrudnił, oraz za fakt, że jest gejem.

Agencja mieściła się w starej willi, schowanej w jeszcze starszym ogrodzie. Podobno znaczna jej część ocalała w czasie wojny i wystarczyły niewielkie przeróbki, by doprowadzić ją do stanu użyteczności. Początkowo miała jednego właściciela, który zapisał dom w spadku swojemu synowi, a ten wykorzystał ją na powojenny dom schadzek. Niestety przeliczył się w interesach, a nawet popłynął w nich na kwotę, za którą państwo nasłało na niego komornika całkowicie pozbawionego skrupułów. Zabrał dom, ogród, a nawet bieliznę z dodatkiem lycry oraz piórek, którą zostawiły w pokojach przebywające tam damy. Ostatecznie willa przeszła na własność Skarbu Państwa, następnie doszło do publicznego przetargu, o którym wiedziało jednak niewiele osób, i koniec końców dom kupił pewien bogaty biznesmen. A teraz podnajmowała go firma KJ&V, w której pewnego słonecznego dnia pojawiła się brązowo-niebieskooka Kira.

Paweł K. od razu ją zauważył i to w kontekście erotycznym. Jego wyostrzony zmysł węchu momentalnie wyczuł zapach kobiety inteligentnej, niełatwej do zdobycia, z dużą dawką lekceważącego stosunku wobec mężczyzn. Lubił takie wyzwania. Wychodził z założenia, że współczesne czasy sprzyjają szybkim, intensywnym i gwałtownym związkom, które jednak szybko się kończą. I dobrze. Przynajmniej człowiek się nie nudził. Kira natychmiast wpadła mu w oko. Podszedł więc do niej i powiedział, teoretycznie tylko bez związku:

– Lekarstwem na złamane serce jest... zakochanie się w kimś innym. Lekarstwem na chore serce jest Cardioman. Uzupełnia dietę, zapobiega dolegliwościom sercowo-naczyniowym, skurczom mięśni i uczuciu mrowienia w rękach i nogach. Stawia serce na nogi. Również po to, by znowu mogło się zakochać. Zastanów się – czy twoje serce nadąża za tobą?

Kira zmrużyła oczy i spojrzała na niego pytająco. Musiała przyznać, że Paweł K. mocno ją zaskoczył, ale nie dała tego po sobie poznać.

– To tekst reklamowy naszej najnowszej kampanii. Podoba ci się? – spojrzał na nią drapieźnie.

A kiedy drapieznik odsłania się zbyt szybko, należy go odstraszyć lub zachęcić do dalszych działań. Lub jedno i drugie, pod warunkiem że jest inteligentny i się nie pogubi. Kiedy wilk atakuje woła pizmowego, ten celowo wystawia rogi i proponuje pojedynek. Jednocześnie jest też przygotowany do ewentualnej ucieczki. Kira nachyliła się w stronę Pawła i oznajmiła:

– Siedemdziesiąt dwa uderzenia na minutę. W takim rytmie przeciętnie bije nasze serce. W tym

czasie pewna mieszkanka Malborka zwinęła w rulon cztery patelnie i trafiła do Księgi Rekordów Guinnessa. Inna natomiast wydoiła ponad trzy tysiące litrów mleka. Czasem wystarczy zaś mniej niż minuta, abyśmy mogli się w kimś zakochać. Jedno jest pewne. Każda chwila warta jest tego, by przeżyć ją maksymalnie. Pod warunkiem jednak, że twoje serce nadaża za tobą.

Paweł K. otworzył ze zdziwienia usta i zapatrzył się na Kirę dość tępawym wzrokiem. Wyglądał jak drapieżnik, któremu ktoś wyrwał zęby i który stał teraz z rozdziawioną paszczą i bezbronnymi dziąsłami.

– Yyyy – wyraził się mało konkretnie i dość ogólnie.

Kira odrzuciła do tyłu włosy i powiedziała:

– Twoja wersja była dość nudna. Pozwalam ci zatem skorzystać z mojej, w zamian za rabat.

– Jaki rabat?

– Przysyła mnie Maciej. Twoja firma miała przygotować ofertę reklamową dla naszej gazety. Proponuję, żebyś od razu zmniejszył tę kwotę, bo przecież moja propozycja reklamy tego leku na serce jest dużo lepsza od twojej, prawda?

Paweł K. powoli odzyskiwał pewność siebie oraz wrodzoną bezczelność. Owszem, zrobiła na nim wrażenie, ale to przecież kobieta, a kobiety podobno statystycznie dużo częściej przegrywają w warcaby. Tak, w warcaby! A to chyba jedna z prostszych gier planszowych, przynajmniej dla niego.

– Pomyślę, ale niekoniecznie tak, jakbyś sobie tego życzyła. Moglibyśmy to też omówić dzisiaj na kolacji, ale pech chciał, że jestem już umówiony.

Kira uśmiechnęła się miło, z domieszką złośliwości. Tego zestawu mężczyźni bardzo nie lubią, kompletnie bowiem nie wiedzą, czy właśnie zdobyli jakiś punkt, czy wręcz przeciwnie.

– Pech chciał, że ja mam czas tylko dzisiaj.

Tak naprawdę nie miała najmniejszej ochoty się z nim umawiać, z drugiej jednak strony bardzo skutecznie ją do tego zachęcił. Umówiony. Zajęty. Sytuacja prawie patowa.

Paweł K. zmarszczył brwi.

– Tylko dzisiaj? – upewnił się.

– Wyłącznie.

– Ale ja...

– Wiem – przerwała mu. – Jesteś zajęty. Zaklepany. Nie możesz pójść w lewo, bo przecież ktoś wytyczył ci już inny kierunek. I dlatego nie możemy się spotkać.

Klasyczna odwrócona psychologia. Nakłonić drugą osobę do zrobienia czegoś, prosząc ją o coś całkowicie przeciwnego do tego, co chce się od niej uzyskać.

– To ja sam wytyczam sobie kierunki i zmieniam je według własnego uznania – Paweł K. natychmiast połknął haczyk. – Dzisiaj o dwudziestej w Blue Cafe?

W ten sposób Kira rozpoczęła owijanie sobie wokół palca właściciela agencji reklamowej z wyraźnym celem doprowadzenia go do tego punktu, do którego to on zazwyczaj doprowadzał zakochane w nim kobiety.

Miał się jej oświadczyć, choć gołym okiem było widać, że na dźwięk słowa „ślub” dostawał podejrzanej wysypki. Kira doskonale знаła ten typ, dlatego zawsze wyraźnie i chętnie podkreślała, że wszelkiego rodzaju zaobrączkowane związki kompletnie jej nie kręcą. Facet wpatrywał się w nią niczym lew w podskakujące dziecię antylopy i nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Czyżby nareszcie ktoś go rozumiał? Przecież nie od dzisiaj wiadomo, że związki nieformalne są o wiele bardziej udane. Poza tym ta cała cholerna szopka związana z przygotowaniem – kretyńskie kursy tańca, konsultacje, czy lepsze będą niebieskie, czy białe serwetki i czy aby na pewno masa truskawkowa nie gryzie się z czekoladową. A statystyki rozwodowe? Po co się żenić, skoro i tak trzeba będzie się rozwieść? A potem płacić horrendalne sumy na swoją byłą, aby zagwarantować jej wciąż ten sam, niezmiennie wysoki standard życia. I w końcu rzecz najważniejsza – żadne małżeństwo nie gwarantuje lepszego seksu. Jeśli w ogóle po jakimś czasie będzie seks.

Tak. Paweł K. zdecydowanie nie chciał się żenić.

– Lubię, kiedy nie mówisz o przyszłości. Kiedy nie zapraszasz mnie do swoich rodziców i nie oglądasz ze mną mebli – szeptał jej do ucha.

Typowe. Brał wszystko, a w zamian dawał firmową koszulkę i seks rozładowujący napięcie.

I wtedy Kira zaczęła wymykać mu się z rąk, odwoływać spotkania, zapominać o tym, że się umówili, wreszcie nie odzywać się przez kilka dni. Paweł K. wpadł w popłoch, bo po raz pierwszy nie chciał takiego zakończenia. W końcu runął przed nią na kolana i krzyknął:

– Zrobię to! Zrobię! Wygrałaś! Ożenię się z tobą!

Spojrzała wtedy na niego z wyraźną drwiną w oczach i oznajmiła:

– To był gwóźdź do trumny naszego związku. Czyżbyś nie wiedział, że miłość jest nieuleczalna do czasu zawarcia małżeństwa?

Paweł K. przełknął głośno ślinę.

– Nie chcesz ślubu?

– Gorzej. Nie chcę ciebie.

No i zakwilił, zaszlochał, załkał, a katar popłynął mu z nosa. A na złamane serce nie pomógł mu nawet Cardioman.

Kira przypomniawszy sobie Joachima i nawet przez moment nie poczuła żalu.

LUIZA

Rozdział ósmy

Lucyna narysowała na kartce umowy plan miasta i wyjaśniała Kwirynie zasady funkcjonowania w tym zawodzie. Ogólnie rzecz biorąc, prostytutki pojawiały się wszędzie tam, gdzie miały największą szansę zarobić. Centrum było oczywiście najlepszym miejscem, a im dalej od niego, tym mniejsze było prawdopodobieństwo złapania klienta. Co nie oznaczało, że kumulowały się one wyłącznie w Śródmieściu. Można je więc było spotkać na terenie Czystego, Ochoty, Koła, praskiej strony Wisły oraz Powązek, szczególnie w rejonie Dzikiej, Bagna i placu Grzybowskiemu razem z Graniczną. Większość z nich nie porywała swoją urodą, a z wyglądu bardziej przypominała warzywa (stąd pseudonimy – Kalafior, Pomidor, Kalarepa, Cebula) niż atrakcyjną kobietę, ale ich główną zaletą była wyjątkowo niska cena.

– Robią to za litr śmietany albo dwadzieścia papierosów. Nigdy nie dojdą do żadnych większych pieniędzy i nigdy nie wskoczą na wyższy szczebel dziwkarskiej hierarchii – wyjaśniała Lucyna.

– Za litr śmietany? – wyszeptała Kwiryna.

Lucyna uniosła brwi i dodała:

– Wierz mi, jest jeszcze gorzej. Na przedmieściach pracują też takie kobiety, które są już mocno przechodzone lub schorowane i doskonale wiedzą, że mają zakaz wstępu do centrum. To jest mniej więcej tu – pokazała palcem na rysunku. Rejony Bielana, Powązek i Gołędzinowa. Totalna biedota. Puszczają się w barakach, do których lepiej w ogóle nie zaglądać. Smród, nędza, wszy i patologia.

Kwiryna skuliła się w sobie.

– Musisz to wszystko wiedzieć, żeby zdawać sobie sprawę, że w tym zawodzie, aby do czegoś dojść, trzeba być elitarnym – Lucyna spojrzała na nią badawczo.

Na obrzeżach Warszawy znajdowały się wprawdzie także ekskluzywne lokale, do których bogatsi klienci byli zazwyczaj dowożeni. Takie domy schadzek mieściły się między innymi w Konstancinie i w Wawrze, najczęściej w willach położonych dość malowniczo wśród starego drzewostanu. Z zewnątrz wyglądały po prostu na zabytkowe domy, ale wtajemniczeni wiedzieli doskonale, co kryje się za rzeźbionymi drzwiami. Czasem przykrywką dla burdelu były też salony fryzjerskie, w których tak naprawdę czesanie i strzyżenie schodziło na drugi plan. W katalogach trudno było znaleźć zdjęcia modnych fryzur, za to pełno było fotek rozebranych dziewcząt, które klient „zamawiał” u właściciela.

– Podobnie jest w centrum. W rejonie dworców Wiedeńskiego i Głównego znajdziesz sporo tego typu przybytków, choć oczywiście trzeba wiedzieć, gdzie dokładnie się znajdują. Jeszcze kilka lat temu sama miałam lupanar pod nosem. Tu niedaleko, gdzie znajduje się magazyn maszyn do szy-

cia Singera oraz redakcja „Kurjera Porannego”, rządziła „ciocia” Krauze. Musiała zatrudniać trochę lepsze dziewczyny, bo ruch miała całkiem spory i widać było po gościach, że biedy nie klepią. Nadal funkcjonuje też podobny lokal przy Hożej i w alei Szucha. Zasadniczo ważne jest, abyśmy nikomu nie podpadły i nie wchodziły w drogę. Dlatego musimy być niezależne i tak ekskluzywne, że żadna „ciocia” nam nie podskoczy. Bo to nie będzie jej sfera.

Kwiryna kiwnęła głową na znak, że rozumie, choć coraz bardziej przerażała ją wizja wejścia w świat, który tylko z pozoru wydawał się niegroźny. Prostyucja była zjawiskiem powszechnym, ale pewnie do czasu, kiedy nikt nikomu nie podbierał klientów.

– My nie będziemy podbierać – uspokoiła ją Lucyna. – My uderzymy tak wysoko, że żaden sute-ner nie odważy się tam sięgnąć. Dlatego potrzebne jest nam albo własne mieszkanie, albo pokój w drogim hotelu. Nie będziemy się pojawiać w Astorii i Litewskim, zresztą one są raczej nędzne, odpuszczamy też Royal i dom kąpielowy Diana na Nowym Świecie. Jest dość mocno oblegany, a my przecież nie chcemy wojny. Wprawdzie nie są to żadne oficjalne domy publiczne, ale każdy wie, że można tam spotkać trochę lepsze prostytutki, z których część może mieć mało tolerancyjnych opiekunów.

– To co robimy?

– Wszystko zależy od pieniędzy. Moim zdaniem najlepiej byłoby się dogadać z kimś z Bristolu. Mają tam dwa pokoje awaryjne, których prawie nigdy nie wynajmują. Gdyby tak doprowadzić do tego, że jakiś porządnie zakochany w tobie klient zapłaci za cały rok z góry, będziemy miały świetną miejscówkę.

– A do tego czasu?

– No... – zawahała się na moment Lucyna – to chyba tutaj.

– Ale wolałabyś nie?

– Wiesz... to mieszkanie moich rodziców, ale z drugiej strony głupotą byłoby nie skorzystać z jego możliwości. Jest dość porządnie urządzone, musimy tylko trochę ulepszyć sypialnię, nadać jej bardziej zmysłowy charakter... Może kupimy nawet łóżko z baldachimem albo chociaż ciemniejsze zasłony? Poza tym mieszkanie jest w samym centrum Warszawy i nikt nie musi o niczym wiedzieć.

Kwiryna chciała jeszcze o coś zapytać, ale nie bardzo wiedziała jak. Lucyna jednak od razu się domyśliła.

– Będę wtedy wychodzić, to żaden problem. Madame Helene dała mi klucze od pracowni, bo czasem zostają przecież po godzinach, a ona ostatnio coraz częściej wyjeżdża „służbowo”. – Puściła oko do Kwiryny. – Tam jest wystarczająco dużo miejsca, żeby się zdrzemnąć. Nawet jakaś kanapa stoi. A z czasem odłożymy tyle, że może uda się wynająć coś lepszego. Albo wypali z tym pokojem w Bristolu. Na razie nie martwmy się na zapas. Grunt, to dobrze się przygotować i wystartować od razu z najwyższej półki.

Lucyna wiedziała, o czym mówi.

Prostyucja w Warszawie była dość łakomym kąskiem dla wielu kobiet, które w tym procederze

widziały możliwość szybkiego zarobienia kilku złotych. Zresztą nie tylko te najbiedniejsze parały się tym zajęciem. Sporo tancerek i podrzędnych aktorek było utrzymankami bogatszych mężczyzn, dzięki którym chodziły w eleganckich ciuchach, jadły w porządnych restauracjach, a nawet stać je było na prawdziwą biżuterię. Dama z półświatka nie musiała być piękna, dobrze urodzona i wybitnie inteligentna. O wiele bardziej liczył się wdzięk, zaraźliwy śmiech i swobodne zachowanie. Czyli wszystko to, czego większość mężczyzn nie miała we własnym domu. Była to jednak ryzykowna praca i od czasu do czasu kończyła się mało przyjemnie. Lucyna do dziś pamiętała opowieść matki o niejkiej Nimfie, którą znaleziono z poderżniętym gardłem tylko dlatego, że dla żartu zasugerowała jednemu ze swoich klientów, żeby dodatkowo płacił jej za milczenie.

– Zabawa zabawą, ale moje usługi obejmują również dyskrecję. A dyskrecja kosztuje – oznajmiła z czarującym uśmiechem, który zastygł na jej ustach na zawsze jakieś dwie godziny później. Mężczyznę wprawdzie złapano i na komisariacie wszystko wyśpiewał, fakt jednak pozostawał faktem – nimfie w niczym to nie pomogło.

Lucyna doskonale zdawała sobie sprawę, że wprowadzenie w czyn projektu „Luiza” z pewnością nie będzie łatwe, ale jeśli wszystko się uda, jeśli krok po kroku wykonają to, co sobie zaplanowały, już za jakiś czas zaczną odcinać kupony od swojego szczęścia.

Najważniejsze to wszystko dokładnie zaplanować. Rozpuścić wici, ale jednocześnie zachować dyskrecję. Ileż to razy jedna czy druga kochanka oberwały od wściekłych żon, które były zdolne biegać z młotkiem po mieście i przywalić tylko za to, że ktoś podkradł im męża. Co gorsza, znajdowały pełne zrozumienie w społeczeństwie, które z usług erotycznych korzystało wprawdzie na prawo i lewo, ale oficjalnie stało na straży świętej rodziny. Mąż niejkiej Marii Sykuckiej, najpierw czterokrotnie przekładał ślub, a potem zdradził małżonkę miesiąc po złożeniu przysięgi. Nic dziwnego, że zraniona kobieta najpierw przytrzasnęła mu przyrodzenie w żelaznej rurze gazowej (a dokonała tego, kiedy smacznie spał i najwyraźniej śnił o kochance, na co wskazywał jego gotowy do działania członek), a potem zaciąła się pod domem rudej metresy i wylała na nią wiadro nieczystości. Czy ktoś ukarał Marię Sykucką? Broń Boże, ona przecież broniła tego, co najważniejsze – małżeństwa. I chociaż jej mąż potrzebował interwencji chirurgicznej, a kochanka nabawiła się paskudnej wysypki, nikt nie ośmielił się krytykować Marii, ani tym bardziej oddawać sprawy do sądu.

Faktem było, że nawet najbardziej luksusowa utrzymanka musiała na siebie uważać i Lucyna doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Nie będzie przecież narażać przyjaciółki. Ani siebie samej.

KIRA

Rozdział ósmy

Oczywiście, że życie na własnych warunkach, dość egoistyczne i niespecjalnie przejmujące się losem innych, musi od czasu do czasu zboleć. Kiedy wydaje ci się, że masz wszystko, że możesz przebierać wśród facetów i wyluskiwać same ulubione cukierki, jak z mieszanki wedlowskiej, nagle okazuje się, że w paczce nie ma już ani jednego Pierrota, tylko zwykłe Bajeczne. Kira doskonale zdawała sobie sprawę, że kiedy w rozmowie pojawia się słówko „ale”, należy natychmiast odwrócić się na pięcie i uciec, ile sił w nogach. Inaczej może mocno zboleć.

– Jesteś cudowna i piękna, i taka inna niż wszystkie kobiety, które do tej pory znałem, ale...

– Nie – przerwała kiedyś ostro.

– Co nie? – Facet poczuł się nieco wytrącony z rytmu, wskutek czego pogubił wątki.

– Cudowna i piękna jest Matka Boska na obrazkach i zapewne również inna niż wszystkie pozostałe kobiety. Ja zaś jestem wyjątkowa, bez żadnego ale.

– Chodziło mi o to...

– Wiem, o co ci chodziło. I dlatego właśnie nasza rozmowa, jak również cokolwiek innego właśnie dobiegły końca.

Typowe. Za słówkiem „ale” zawsze stała żona, o której nagle przypominali sobie ci wszyscy zakochani na śmierć i życie. Kira nie miała najmniejszej ochoty wysłuchiwać ich tłumaczeń.

W ubiegłym roku pomyślała przez moment, że chyba pora sobie odpuścić. Przestać bawić się w te śmieszne polowania, po których zawsze następowało znużenie. W końcu ile razy można w życiu gonić lisa? Patrząc na Kalinę i Kosmę, obserwując ich nie do końca poukładane, ale jednak szczęśliwe życie, doszła do wniosku, że chwilowa stabilizacja być może również jej wyjdzie na dobre. Skoro matce się udało, skoro nawet ona zaczęła w końcu normalnie funkcjonować i to bez udziału Konstancji, to może warto było spróbować. Pokusić się o przynajmniej chwilowe zakotwiczenie i zafundowanie sobie rozdziału pod tytułem rodzina. Na razie bez pieska rasy golden retriever. Jeszcze przed pojawieniem się Heleny na świecie spotykała się z pewnym starszym mężczyzną, który sprawiał wrażenie tak bardzo zakochanego, że kiedy mimochodem wspomniała o ewentualnym rozwodzie, nawet nie drgnęła mu powieka. Nie padło też słówko „ale”.

„To dobry znak” – pomyślała Kira. „Nie będzie się wahał”.

Pierścionek już miała. Drogi, złoty, z prawdziwym rubinem, do którego dobrała pasujące kolczyki, a gdyby zechciała – pewnie również kolie, tyle że kolii akurat nie lubiła.

Facet był zachwycony, że potrafiła zrezygnować z kolejnej błyskotki i to bez cienia żalu. W ogóle podobał mu się fakt, że niczego od niego nie chciała, nie domagała się prezentów i nigdy nie na-

ciągała go na najdroższe restauracje. Sam ją tam zabierał. Sam, z własnej woli.

– Rozwód... – bardziej powtórzył, niż zapytał i spojrzał badawczo na Kirę.

Uśmiechnęła się kusząco. W zasadzie mogłaby spróbować właśnie z nim. Przemysław Nadolski. Siedemnaście lat po ślubie, najwyraźniej mocno znudzony rolą męża i ojca dwóch dorastających synów, którzy przychodzili do niego tylko po wypłatę. Spełniał wszystkie jej zachcianki, nigdy nie spieszył się do domu, momentami bywał zabawny. Nie do końca umiała go jednak rozgryźć i być może to podobało jej się w nim najbardziej. Teoretycznie był dość łatwym obiektem i wszystko wskazywało na to, że propozycja Kiry będzie dla niego równie łakomym kąskiem jak tłusta mucha dla wygłodniałego pająka.

Jego żona była typową przedstawicielką swojego gatunku, która z małżeństwa utkała bajkę o zaborczej królownie i niedorozwiniętym giermku. Dzwoniła zawsze w najmniej odpowiednich momentach. Spotkanie służbowe, ważna kolacja, praca, podczas której musiał się skupić. W takiej sytuacji mężczyźni nie bardzo wiedzą, jak zareagować na pieszczotliwe zdrobnienia typu „misiu, kotku, pampusiu” oraz pytania, czy tęsknią straszliwie, okropnie i bardziej niż miś za miódkiem. Zamiast udzielić wyczerpującej odpowiedzi, mówią zazwyczaj krótkie „tak” i dorzucają rzeczową informację, że są bardzo zajęci. Kobiety czują, że między nimi coś się psuje i zamiast odłożyć słuchawkę, chcą koniecznie wiedzieć, co się stało i dlaczego pampus jest nieczuły. Ileż to razy Kira była świadkiem takich właśnie rozmów, podczas których facet aż zaciskał pięści i wyglądał, jakby obrączka parzyła go w palce.

Nic dziwnego. Żona namiętnie grzebała też w jego rzeczach, na czym wielokrotnie ją przyłapał. I chociaż prosił, by nie przeszukiwała jego kieszeni, torby ani korespondencji, ona jakoś nie potrafiła oprzeć się pokusie „sprawdzenia” go. Na szczęście nigdy nie znalazła żadnych dowodów na istnienie Kiry. Wiecznie nazywała go dziubaskiem i ukochanym pimpulkiem, z drugiej jednak strony była ciągle zmęczona. Nie miała ochoty na spontaniczne wypadki w góry czy choćby zwykłą wycieczkę na rowerze.

– Ale rower, dziubasku? Ja nie lubię pedałowac, bo mam zadyszke.

Często bywała rozdrażniona i najlepiej czuła się w porozciągany dresie. Nie gotowała, bo nie lubiła, i nie sprzątała, bo kurz wpadał jej do noska. Na szczęście dziubasek zarabiał wystarczająco dobrze, by gotowali i sprząkali inni.

– Nie rozwiodę się – oznajmił nagle, czym zaskoczył Kirę bardziej niż śnieg w czerwcu. I był równie nieprzyjemny.

Wzruszyła ramionami, udając, że tak naprawdę niewiele ją to obeszło, choć w głębi duszy poczuła silne szarpnięcie. Odmowa? Ten facet naprawdę rezygnuje z możliwości spędzenia reszty życia z Kirą na rzecz swojej nudnej, męczącej i dziubaskowej żony?

Przecież ta kobieta nie miała w ręku żadnych atutów! Najwyraźniej Kira trafiła na kogoś, kto chciał wyłącznie rozrywki oraz dobrego seksu. Tacy faceci zazwyczaj traktują zdradę bezosobowo, jak rodzaj sportu, w którym kochanka stanowi trofeum. Nie wiążą zdrady z zaangażowaniem uczuciowym, dlatego rzadko decydują się na skok w bok, jeżeli istnieje obawa, że zostaną przyłapani.

Lub zmuszeni do zmiany swojego dotychczasowego życia. Role bardzo szybko się odwróciły. Teraz to ona była zdobywcą, a on trzymał w ręku strzelbę. Nie spodobało jej się to, ale najwyraźniej na inny scenariusz było już za późno.

– To tylko taka luźna propozycja z mojej strony – uśmiechnęła się sztucznie. – I tak naprawdę wcale nie myślałam o tym poważnie.

– I słusznie. Jesteś najbardziej atrakcyjną kobietą, jaką znam. Każdy facet marzy, żeby cię mieć. Ale nie jako żonę – roześmiał się nieprzyjemnie i klepnął ją w pośladek. No i doczekała się kolejnego „ale”.

Odwróciła się, odgarnęła włosy z czoła, spojrzała na niego bez cienia uśmiechu, a potem wspięła się na palce i szepnęła do ucha:

– Spierdalaj.

Kilka tygodni później urodziła się Helena i kiedy Kira po raz pierwszy wzięła ją na ręce, postanowiła, że też kiedyś będzie żoną. I mamą. Żaden facet nie będzie klepał jej w pośladek, zaznaczając tym samym podział na kobiety, z którymi należy się żenić, i takie, które można tylko klepać. I aby upewnić się, że nadal ma w sobie tę siłę i zdolność przyciągania płci męskiej, upolowała kolejną ofiarę, która podarowała jej gwiazdkę z nieba. To nie było na serio, po prostu musiała odreagować.

Ale potem przyszedł styczeń i Majka z tą cholerną książką, i Kira wpadła jak komar w zapachową świeczkę, która zadusiła go swoim podstępny aromatem.

Rodzice Kosmy przyjechali z magicznego Podlasia (tak miejsce ich zamieszkania określał sam Kosma) w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, z pełną gotowością zaakceptowania wszystkiego, co zobaczą i kogo spotkają. W końcu była to ich jedyna wnuczka i chociaż matka Kosmy nie zapalała jakąś szczególną miłością do Kaliny podczas ich pierwszego spotkania, to jednak teraz postanowiła dać jej jeszcze jedną szansę.

– Przepraszamy, że dopiero teraz was odwiedzamy, ale musieliśmy sobie wszystko uporządkować w głowach – oznajmiła i dodała, że można zwracać się do niej Joanno.

Kalina pomyślała, że porządkowanie trwało dość długo, ale najwyraźniej na magicznym Podlasiu czas zwalnia i płynie swoim niezależnym rytmem.

Ojciec Kosmy wyglądał na bardziej surowego niż ryba w sushi, a jego groźny wyraz twarzy potęgowały krzaczaste brwi, połączone w jedność oraz haczykowaty nos przywodzący na myśl najbardziej paskudne postaci z bajek dla dzieci.

– Pelagiusz.

Kalina z trudem pohamowała wybuch śmiechu, pokrywając go nerwowym chichotem oraz kaszlem.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Ziarenko maku wpadło mi do gardła.

Pelagiusz zachrząkał bez żadnego podtekstu i oznajmił, że również lubi makowiec.

– Nałożyć panu?

– Owszem. To jedyna postać maku, jaką spożywam. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, że Słowianie stosowali mak do łączności z zaświatami. Chodzi tu oczywiście o jego właściwości halucynogenne. Ale w makowcu to niebezpieczeństwo mija. No, a sam mak jest przecież symbolem dobra i pomyślności, w połączeniu zaś z miodem zapewnia szczęście i powodzenie życiowe.

No tak. To teraz już wiedziała, po kim Kosma odziedziczył zdolności oratorskie.

Pani Joanna była zdecydowanie mniej rozmowna, za to bardzo lustrująca. Najpierw prześwieciła więc wzrokiem pokój, w którym się znajdowali, a kiedy usłyszała pisk Heleny, która właśnie się obudziła, wstała i bez słowa udała się w kierunku sypialni.

– Chyba jest jej zbyt ciepło – oznajmiła po chwili.

Kalina przyłożyła rękę do czoła córki i sprawdziła dłonią temperaturę na karku.

– Nie, na szczęście nie jest rozgrzana – uśmiechnęła się niepewnie.

Pani Joanna zmrużyła oczy i oznajmiła:

– Owszem, wyczuwam nadmierną ciepłotę.

Kalina przygryzła wargi.

– Ja z kolei wyczuwam zupełnie normalną temperaturę ciała, być może odrobinę wyższą po spaniu.

Joanna triumfalnie klasnęła w dłoń.

– Widzisz! Jest cieplejsza niż być powinna.

Kalina poszukała spojrzeniem Kosmy, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że przyszła pora na jego wsparcie.

– Myślę, że z pewnością nie możemy tu mówić o hipertermii – powiedział natychmiast. – O udarze również nie – dodał niepewnie.

Kalina wzięła Helenę na ręce i kręcąc głową poszła do kuchni, natykając się na Pelagiusza pałaszującego w najlepsze siódmy kawałek makowca.

– Uważaj, żeby się nie zaziębiła – wymruczał z pełną buzią. – Chłodno tu u was, a mała wygląda, jakby jej było zimno.

Kalina w podziękowaniu poczęstowała go synonimami zwrotu „różnica zdań”.

– Kontrowersja, niezgodność stanowisk, rozbieżność opinii, spór, sprzeczność sądów.

Pelagiusz zastygł z makowcem w połowie drogi do ust i na wszelki wypadek już się nie odezwał. „Dziwna kobieta”, pomyślał tylko.

LUIZA

Rozdział dziewiąty

– Dlaczego oni to robią?

Lucyna pstryknęła palcami.

– Kiedy mężczyzna ma świadomość, że kobieta, do tego bardzo atrakcyjna, jest w jakiś sposób od niego zależna, czuje się lepszy niż inni. Ma też większą iluzję władzy, niż kiedy posuwa własną żonę. Zobacz, żona jest na każde zawołanie, a ty – będziesz dostępna tylko dla gościa z grubym portfelem, co pozwala mu wierzyć, że jest kimś wyjątkowym. Poza tym jako ekskluzywna dama do towarzystwa dostarczysz mu też innych przyjemności – będzie można miło z tobą spędzić czas, a nawet się czegoś nauczyć.

– Niby czego?

– Tego jeszcze nie wiem, ale coś wymyślimy. A wiesz, co jest najważniejsze? Że ten klient będzie do ciebie przychodził tylko po przyjemność, zostawiając za drzwiami wszystkie te swoje duże i małe problemiki. Będzie chwalony, rozpieszczany, traktowany tak, jak lubi najbardziej. Ale ty, moja droga, będziesz tak kusząca, tak apetyczna i tak inna niż wszystkie kobiety, które do tej pory spotkał, że chcąc nie chcąc, porządnie się zaangażuje i zapragnie mieć cię tylko dla siebie. A za iluzję wyłączności słono zapłaci.

Kwiryna przygryzła wargi. Ona ma w sobie tak strasznie rozkochać mężczyznę? Doprowadzić do tego, że będzie jej pragnął najbardziej na świecie?

– Ja nie umiem – powiedziała szczerze.

Lucyna poklepała ją po ramieniu.

– Wiem. Ale moja w tym głowa, żebyś wszystkiego się nauczyła. Poza tym na początek wystarczy, że nie będziesz robiła tego wszystkiego, co robią żony.

– Chyba odwrotnie?

– A właśnie nie. Większość kobiet krótko po ślubie przemienia się w mało urokliwe hetery, które zatruwają innym życie. A najbardziej swojemu mężowi. Robią więc wszystko to, czego mężczyźni nienawidzą.

– Skąd o tym wiesz?

– Od Madame Helene. Ostatnio stała się jakaś bardziej rozmowna i dużo mi opowiada i o mężczyznach, i o tym, jak ich usidlić. Moim zdaniem ona też ma jakiegoś dochodzącego „klienta”. Oczywiście chętnie ją o wszystko podpytuję, bo to przecież idealne i darmowe źródło wiedzy.

– I czego się na przykład dowiedziałas?

Lucyna zastanowiła się przez chwilę.

– Po pierwsze, żony nieustająco krytykują swoich mężów. Że źle jeżdżą samochodem, że palą, że się nimi niewystarczająco interesują, że ich znajome mają lepsze futro i droższe kolczyki, a na drugą rocznicę ślubu dostały pieska. Po drugie, nie śmieją się z ich dowcipów, a nawet krytykują publicznie, czego żaden mężczyzna nie jest w stanie znieść. Narzekają na służbę, na dzieci, na pogodę, na stres, a nawet na bóle menstruacyjne. Jeśli zaś chodzi o seks, to mają przy tym takie miny, jakby okrutnie cierpiały. Nic dziwnego, że mąż spieprza jak najdalej, a już najchętniej w ramiona takiej kobiety, która jest po prostu piękna i miła. I chętna.

– W sumie dość proste.

– No właśnie – potwierdziła Lucyna. – I dlatego tak trudne do zrozumienia. A teraz zobacz, co załatwiłam... – Efektownie zawiesiła głos, a potem wyjęła z torebki małą paczuszkę.

Kwiryna rozpakowała papier, a wtedy jej oczom ukazały się śliczne różowe wizytówki, na których starannie wykaligrafowano:

Luiza

dyskretnie i higienicznie

– Skąd masz?

– Od znajomego z Domu Prasy. Właściwie to był jeszcze znajomy taty, więc zrobił je dosłownie po kosztach.

– Ale tu nie ma żadnego adresu. Ani telefonu. Jeśli ktoś znajdzie tę wizytówkę, to chyba nie będzie wiedział, o co chodzi.

– Będzie. Poza tym doszłam do wniosku, że nie możemy rozdawać tych wizytówek na prawo i lewo. Nigdy nie wiadomo, w czyje ręce trafią i jaki zbrojeniec będzie chciał cię wykorzystać.

– To co zrobimy?

Lucyna zastanowiła się przez chwilę. W każdej branży największym problemem była dystrybucja, również w tej. To, że ktoś miał dobry towar, nie znaczyło jeszcze, że na pewno go sprzeda. Poza tym chodziło tu raczej o dystrybucję selektywną, w której produkt miał trafić do ograniczonej liczby klientów. Ważna była również zgodność oczekiwań między sprzedawcą a nabywcą.

– Zostawimy kilka wizytówek w Bristolu, tam, gdzie zadebiutujesz. Oczywiście trzeba będzie zapłacić szefowi sali restauracyjnej, ale nie sądzę, by stawiał jakikolwiek opór. Tacy ludzie uwielbiają dorabiać na boku. Jednocześnie tylko on dostanie numer skrytki, pod który zainteresowany będzie musiał napisać liścik. A potem zaaranżujemy pierwsze spotkanie.

– A jeśli nikt się nie zgłosi?

Lucyna roześmiała się.

– Dziewczyno, ty chyba naprawdę dawno nie patrzyłaś w lustro. W świecie podgniętych jabłek będziesz niczym dorodna kosztela. Albo raczej rajskie jabłuszko z niebiańskiego ogrodu. – Puściła do niej oko.

Ułożyły się wygodnie na kanapie, podłożyły pod plecy miękkie poduszki i nakryły kocem. Było im ciepło i przytulnie. Kwiryna najchętniej zwinęłaby się w kłębek niczym kot i smacznie zasnęła, ale musiały przecież przestudiować bardzo ważne rzeczy. Każdy myśliwy przed polowaniem opracowuje jakąś strategię.

Lucyna przewróciła kartkę jakiejś dziwnej książki i z wypiekami na twarzy zaczęła czytać:

– „Intensywność rozkoszy jest w znacznej mierze zależna od ułożenia przy spółkowaniu. Zależność ta zresztą jest wieloraka, gdyż jakość podniet i miejsca ich działania zmieniają się jednocześnie z ułożeniem ciał podczas stosunku. Skala odmian rozkoszy spółkowania jest więc bardzo duża”.

– Nie rozumiem – Kwiryna była przerażona.

Lucyna nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Do tej pory nie zaprzętała sobie głowy słowem „rozkosz”. Ważniejsza była zapłata. Ale najwyraźniej seks mógł również być przyjemny. Ciekawe, ile kobiet o tym wiedziało.

– Z dalszego opisu wynika, że nie powinnaś tylko leżeć na plecach. Tak robi większość żon, a ty przecież nie będziesz żoną. Posłuchaj: „Pozycja leżąca – mężczyzna na kobiecie – jest naturalną pozycją ludzi podczas spółkowania. Zdarza się jednak często, że wskutek stałego stosowania tej samej pozycji następuje przesyty”.

– A jak można inaczej?

– Na pewno od tyłu. Oni to lubią. – Przypomniała sobie akcję w bramie, po której stała się właścicielką błyszcząka do ust. – Chodzi o to, że jeśli będziesz uprawiać seks normalnie, to im się szybko znudzi. Normalność to oni mają na co dzień.

– Lucyna... – Kwiryna pociągnęła nosem i spuściła wzrok na podłogę. To oczywiście bardzo ważne, że o wszystkim dokładnie rozmawiają, w końcu podstawą każdego sukcesu jest dobry plan, ale...

– Co jest? – Koleżanka spojrzała na nią pytająco.

– Chodzi o to, że ja o tych rzeczach niewiele wiem... I jeszcze nigdy...

– Wiem – przerwała jej Lucyna. – Jesteś dziewicą. To rzeczywiście jest mały problem, którego musimy się jak najszybciej pozbyć.

Kwiryna z wrażenia aż wstała z kanapy i okrągłymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w swoją współlokatorkę.

– Jak to pozbyć?

– Normalnie. Chodzi o to, że ty jako Luiza będziesz już znaną damą do towarzystwa, o względy której mężczyźni mają się zabijać. Nie możesz więc być kompletnie zielona w tych sprawach, a na dodatek krwawić podczas pierwszego razu.

Kwiryna wzdrygnęła się.

– To co mam zrobić?

Lucyna wstała i omijając dywan, poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Adres do akuszerki, doktor, która odbierała poród jej siostry, ciągle miała gdzieś zapisany. Wystarczy przeszukać sekretarzyk. Co prawda, dziecko wtedy nie przeżyło, ale za to doktor Stefania uratowała jej matkę. Gdyby nie ona, mama Lucyny z pewnością wykrwawiłaby się na śmierć. A wszystko przez jakieś dziwne ułożenie płodu. Lucyna strasznie się wtedy bała, a potem było jej okropnie żal, że jednak nie będzie miała małej siostrzyczki. Najważniejsze jednak, że mama przeżyła.

– Zrobi to lekarka – zawołała z kuchni, wyciągając z szafki dwie szklanki, po czym ułożyła na spodeczku kruche ciastka z cukrem. Jak człowiek zje coś słodkiego, to rzeczywistość od razu wydaje się mniej gorzka.

– Co zrobi lekarka? – Kwiryna podeszła do Lucyny tak blisko, że ta aż odrobinę się zachwiała.

– Kwiryna, daj spokój. I wierz mi, będzie to zdecydowanie mniej nieprzyjemne, niż gdyby rozdziewiczył cię jakiś klient.

– Ale czym ona to zrobi? – Dziewczyna niemal krzyknęła.

– No... dildo.

Z przytulnej chwili wspólnego siedzenia pod kocem na zielonej kanapie pozostała wizja mechanicznego rozdziewiczenia, co było równie romantyczne jak wypas świń na polu rzepaku.

KIRA

Rozdział dziewiąty

Siedziała dzisiaj od rana w biurze i odpisywała na zaległe listy. To niesamowite, jakie problemy miały jej czytelniczki. Jak oryginalnie udekorować tort? Westchnęła.

„Co za bzdury”.

Wyprostowała się na krześle i zaczęła pisać.

„Kto powiedział, że bita śmietana lub krem na torcie powinny być idealnie gładkie? Wystarczy nałożyć odrobinę więcej masy, a następnie łyżeczką odciskać na niej tak zwane muldy (jedna przy drugiej). Dzięki temu uzyskamy efekt chmurzastego nieba”.

„Jak zostać idealną panią domu, mając kota i psa?”.

Roześmiała się i w przypiływie natchnienia napisała:

„Po pierwsze, kupa kota, nawet w kuwecie, nie ma prawa znajdować się w ubikacji, z której czasami korzystają goście. To w zasadzie dyskwalifikuje gospodynię i z góry skazuje przyjęcie na porażkę. Po drugie, psy nie powinny kłaczyć, zwłaszcza w kuchni, na kanapach i w okolicach sypialni. Po trzecie, tort trzeba zawsze udekorować wstążką, bez tego nie smakuje, a po czwarte, ktoś, kto regularnie nie odkurza kabła za pralką, jest idiotą. Należy również segregować pocztę i wrzucać ją do specjalnych pojemniczków z napisami «dla mamy», «dla taty», «ogólne». Dobrze by było, aby szufladki miały różne kolory. Koszulę składamy metodą sklepową, czyli na tekturce formatu A4, a kołdrę zawsze kupujemy trochę większą niż łóżko, dzięki czemu zyskujemy efekt «przytulności»”.

Kliknęła przycisk „wyślij” i posłała plik do korekty.

Koszmarne czasy. Nikt nie potrafi decydować o sobie i zrobić czegokolwiek bez całego sztabu doradców. Z niesmakiem oglądała te wszystkie programy z udziałem profesjonalnych stylistów, którym co chwila udawało się znaleźć setki niezdecydowanych kobiet, za to zdecydowanie źle ubranych. Wszystkie miały ohydne i nieodpowiednio dobrane staniki, majtasy jak namioty, sukienki pamiętające czasy przedszkolne i buty żelazka, czyli niekształtne i toporne, tyle że użyteczne. Jak to żelazka. Owe kobiety reprezentowały przeróżne zawody i poziomy wykształcenia, a ich wspólnym mianownikiem był całkowity brak wizji samej siebie. Wybrano kilka sfrustrowanych uczestniczek, którym nie tylko wytłumaczono, jak się mają ubierać, czy też raczej nie ubierać, ale także zasugerowano usunięcie włosów z brodawki na brodzie, a docelowo i samej brodawki. W tym celu należało przeskoczyć na program o urodzie, makijażu, pięknie ogólnym i szczegółowym.

Kira zaśmiała się. Bez sugestii kogoś trzeciego większość kobiet nie kupowała nawet kwiatów, bo nie wiedziała, jakie najbardziej pasują do kwadratowego wazonu, nie umiała wybrać koloru ani

fasonu butów i zupełnie zapomniała, jak się robi pomidorową. W każdej dziedzinie szukała wsparcia i wskazówek.

Czasem wydawało jej się, że te kobiety stawały się bezradne krótko po wyjściu za mąż. Nagle z niczym sobie nie radziły, ciągle prosiły o pomoc swoich facetów, nie potrafiły same wybrać sukienki i tysiąc razy upewniały się, czy dobrze wyglądają. A gdzie stanowczość, pewność siebie, wiara we własne siły i urodę? Czy naprawdę ciągle trzeba było czekać na przytaknięcie swojego męża? Na jego aplauz i poparcie? Nic dziwnego, że to do niej lgnęły.

Że szukali kobiety z własnym zdaniem, która nie przeprasza za to, że ogórkowa tym razem nie jest tak smaczna jak ostatnio. I która nie pyta nieśmiało, czy aby na pewno jej piersi są ciągle atrakcyjne.

Spotykała się z nimi w hotelach, co wbrew pozorom stanowiło dla nich dodatkową atrakcję. Lubili wymykać się z domów i spotykać w anonimowych miejscach, gdzie nikt o nic nie pytał i niczego nie chciał wiedzieć. Za drzwiami hotelowych pokoi byli rozpieszczani i traktowani tak, jak najbardziej lubili. Żadnych zakazów, nakazów, wstydu, nieśmiałości, chowania się pod kołdrą lub otulania ciemnością. Czysty układ z doskonałym seksem. W świecie nieporadnych, przemęczonych i wiecz- nie narzekających żon była jak pierwsza truskawka, przepelniona aromatem, smakiem i słońcem.

– Niechętnie stąd wychodzę, wiesz? – Ile razy to już słyszała i ile razy udawało jej się zatrzymać śpieszącego się do pracy lub domu faceta.

Kręciło ich to, że mogą z nią spać, a jednak w jakimś sensie była dla nich nieosiągalna. Nie nalegała na kolejne spotkania, nie narzucała się, nie domagała komplementów. Czasem lubiła się też wymykać z rąk, co doprowadzało ich do białej gorączki.

– Spotkamy się jutro?

– Nie wiem.

– Pojutrze?

– Wyjeżdżam.

– Sama?

I wtedy właśnie nie odpowiadała. Prosty zabieg, skręcający narządy wewnętrzne w wielki supeł zazdrości.

Czym Kira tak naprawdę przyciągała mężczyzn? To były proste rzeczy. Zdolność do zachwycania się drobiazgami. Naturalność, spontaniczność, brak wewnętrznego spięcia. W przerwie obiadowej potrafiła siedzieć godzinę w parku na ławce, jeść hot doga i oglądać ptaki. Nie miała poczucia zmarnowanego czasu i nicnierobienia. Wolą krowistego steka od wegańskiego burgera, choć te ostatnie jadaliby przecież wszyscy. W kawiarni zamykała oczy i myślała o czymś przyjemnym. Delektowała się marzeniami, planami lub tym, co było tu i teraz. Kobieta bez focha. Obserwujący ją mężczyźni nie potrafili oderwać od niej wzroku. Wreszcie trafili na kogoś, kto nie pudrował infantylnie noska, nie czytał obcojęzycznej gazety, kłując w oczy modnym tytułem, nie machał sztucznie rzesami, rozglądając się na boki, nie rozmawiał głośno przez komórkę i nie pytał czy może zjeść serniczek. Jej aura obejmowała ich mózgi i zaciskała na nich swoje macki, nic dziwnego więc, że tak bardzo pra-

gnęli ją poznać. I była naprawdę piękna.

Kordian również zwrócił na nią uwagę, sam zaskoczony, że tak od razu mu się spodobała. Zazwyczaj nie zwracał uwagi na inne kobiety, nawet jeśli ich uroda kłuła w oczy jak marcowe słońce. Tym razem jednak poczuł, jak mocno nim szarpnęło.

A ona? Czy gdyby wiedziała, że to się tak skończy, kazałaby Majce wypchać się książką i samej dostarczyć ją kuzynowi?

Był początek stycznia i miasto powoli zapominało o świętach. Z wystaw znikaly dekoracje, choinki lądowały w kontenerach na śmieci, śnieg padał zwyczajnie, bez tej całej magii.

– Kira, mam prośbę – do pokoju weszła jej koleżanka Maja i machnęła w powietrzu jakąś książką. – Umówiłam się z moim kuzynem, że mu to dzisiaj oddam, ale nie wyrwę się z pracy. A wiem, że ty zesłałaś już swoje porady i o tej porze zwykle uciekasz na coś do jedzenia. Podjedziesz na Rynek?

Nie chciało jej się, ale z drugiej strony rzeczywiście miała już wychodzić. Zerknęła na tytuł. *Mitologia germańska. Opowieści o bogach z mroźnej Północy.*

– Ciekawe – powiedziała pod nosem.

– Kordian robi doktorat z filologii germańskiej i pisze coś o krainie mgieł i ciemności, Odynie, walkiriach i innych dziwadłach.

Kira włożyła książkę do torebki.

Godzinę później jej „oczy nabrały zaskakującego blasku, a ciało zaatakowała emocjonalna grypa”. Kordian był pierwszym mężczyzną, na którego popatrzyła zupełnie inaczej. Nie chłodno, oceniając zdolności do flirtowania oraz stopień spełniania jej zachcianek. Nie pod kątem ewentualnego odbicia go partnerce i zawieszenia kolejnego trofeum na swojej prywatnej ścianie zdobytych. Ona naprawdę zmiękła na jego widok i poczuła niewygodną suchość w gardle, przez którą nie mogła powiedzieć niczego dowcipnego, śmiesznego czy choćby zaskakującego.

– Maja prosiła o oddanie książki – powiedziała nienaturalnie miękkim głosem i wyciągnęła w jego kierunku rękę.

Uśmiechnął się, a ona zamknęła oczy.

Biochemia. Podobno nieuleczalna. Ale przecież ona umie nad tym zapanować!

Z nieba zaczęło coraz mocniej sypać, a ona topiła się na samo wspomnienie spojrzenia kogoś, kto pisał doktorat z mitologii germańskiej.

LUIZA

Rozdział dziesiąty

Wiosna nadeszła tanecznym krokiem, nie oglądając się nawet na wysłużoną zimę, która resztkami sił zbierała brudny śnieg i mruczała coś pod nosem. Na drzewach pojawiły się pierwsze pąki, powietrze pachniało przedzierającymi się przez chmury promieniami słonecznymi, a na klombach nieśmiało rodziły się tulipany. Tymczasem w głowie Lucyny pomysł dojrzywał coraz bardziej i był gotowy przyjść na świat jeszcze przed Wielkanocą. Była ku temu już najwyższa pora. Ich szantażysta powoli miał dość wyłącznie seksu i chciał wreszcie zobaczyć pierwszą ratę.

– Postaraj się słonko, w przeciwnym razie nie nacieszysz się długo tą wiosną.

Pomyślała jeszcze przez chwilę i powiedziała:

– Długo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że nie możemy się rozmieniać na drobne. Nie możesz mieć żadnego szefa, nie możesz pracować jako tancerka ani sprzedawać swoich zdjęć w Fotoplastikonie. To wszystko tylko niepotrzebnie zabierze nam czas, a co więcej – ktoś kiedyś może cię rozpoznać i zdradzić, że dorabiałaś jako fordanserka.

Kwiryna kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Nie sądzę wprawdzie, by był jakiś problem z zatrudnieniem cię w lokalu, ale moim zdaniem nie tędy droga. Na pewno słyszałaś o głośnej aferze „sprośnego Turka” zatrudniającego w swojej cukierni tylko te dziewczyny, które mu się oddawały. Jeśli nie przeszłaś przez jego łapy, a raczej coś innego przez ciebie nie przeszło, to wylot. I chociaż zamknięto w końcu dupka, to gwarantuję ci, że takie zasady obowiązują w niejednym lokalu. Tak mówię na wypadek, gdybyś myślała, że istnieją księżęta z bajek.

Kwiryna wprawdzie skrycie marzyła o księciu właśnie, choć niekoniecznie ze szlacheckim tytułem, uznała jednak, że lepiej się do tego nie przyznawać.

– A ile można dostać za nagie zdjęcia? – spytała cicho.

– No właśnie niewiele. Podejrzewam, że zapłaciliby ci maksymalnie dziesięć złotych, a potem opchnęli setki twoich fotek po siedemdziesiąt groszy za sztukę. Nie opłaca się. Lepiej byś oczywiście zarobiła jako tancerka występująca przed projekcją filmu, ale po pierwsze – nie umiesz tańczyć, a po drugie – ludzie chętniej płacą za znane twarze. O, taka Iga Korczyńska na przykład wyciągała nawet kilkaset złotych miesięcznie, ale co z tego, skoro zastrzelił ją własny mąż.

Kwiryna wzdrygnęła się.

– Nie możemy też okradać klientów, bo to ma krótkie nogi – dodała Lucyna, drapiąc się po brodzie.

Jeszcze kilka lat temu cała Warszawa żyła historią kulawej Staśki, która obrabiała niemal wszyst-

kich swoich klientów, upijając ich wcześniej do nieprzytomności. Staśka miała w ręku dwa poważne argumenty, które powodowały, że na brak pracy nie mogła narzekać. Mimo krótszej prawej nogi, potrafiła wyczyniać w sypialni prawdziwe cuda, doprowadzając mężczyzn do stanów, o które nigdy się nie podejrzewali. Poza tym posiadała własne lokum i chociaż był to zimny pokój, brzydki i niedbale urządzone, to jednak klienci nie byli skazani ani na szybki numer w bramie, ani na konieczność płacenia za wynajem pokoju na godziny. Było to też zdecydowanie bardziej dyskretne rozwiązanie, choć kulawa Staśka chętnie opowiadała na prawo i lewo o swoich zdobyczach.

Dopóki brała pieniądze tylko za seks, wszystko jakoś funkcjonowało, z czasem jednak nabrała apetytu na znacznie więcej. Dogadała się więc z właścicielem lokalu przy Nowogrodzkiej, który pozwolił jej przesiadywać przy barze i wyhaczać co zamożniejszych klientów. Czasami dawał jej też cynk, kiedy zauważył, że gość zamawia duże ilości alkoholu, a jego portfel jest przyjemnie wypukły. Kulawa Staśka przystępowała wtedy do akcji przejęcia delikwenta – oplatała go swoimi nogami i szeptała do ucha tak sprośne rzeczy, że rzadko który z nich nie miał ochoty przekonać się, czy naprawdę to wszystko potrafi. Koniec końców lądowali w jej pokoju, a po skończonym numerku Staśka poiła swoje ofiary tanią wódką, po której dość szybko zapominali kim są, gdzie są i dlaczego tak bardzo chce im się spać. Rankiem, wraz ze straszliwym kacem opuszczali pokój Staśki ubożsi o wszystko to, co znajdowało się w ich portfelach. Zanim połączyli fakty, gdzie i przez kogo zostali obrobieni, mijało kilka dni, poza tym pałący wstyd nie pozwalał im się przyznać, że stracili wszystko przez... kurwę. Proceder trwał prawie dwa lata, w końcu jednak kulawa Staśka popełniła błąd, decydując się na podobny numer z stróżem prawa. Policjant (choć w cywilu) miał twardy łeb i tania wódka nie pozbawiła go całkowicie świadomości. Przyłapał więc Staśkę na grzebaniu w jego ubraniach, po czym zamknął ją i za kradzież, i za prostytutkę.

– Nie, my musimy uderzyć od razu z grubej, ale stabilnej rury. Żadnych przejściówek, żadnego dorabiania na boku, żadnego złodziejstwa. Ojciec opowiadał mi kiedyś o jakimś Tadku, który ubezpieczał się w różnych towarzystwach asekuracyjnych, a potem sam zadawał sobie rany. Obciął palec, kawałek ucha, celowo złamał rękę, a nawet był skłonny poparzyć swoją twarz. No, ale wszystko się wydało i mocno poturbowany wylądował w końcu w więzieniu. Mówię to tylko dlatego, abyśmy nie pokusiły się czasem o podobny przekręt. Musimy wymyślić coś lepszego. Bo jednak ta inwestycja będzie nas trochę kosztować – westchnęła Lucyna i zanotowała w zeszycie najważniejsze wydatki.

– Ile?

– Na moje oko to potrzebujemy jakieś trzy, cztery tysiące. Plus tysiąc dla... – zawiesiła głos.

– Ile? – powtórzyła Kwiryna, tym razem znacznie głośniej.

Nigdy w życiu nie widziała tak wielkiej sumy pieniędzy, nie mówiąc o tym, że mogłaby ją chociaż przez chwilę posiadać.

– Niestety. I tu zaczynają się schody, choć mam pewien plan...

Plan był dość prosty – pytanie tylko, czy miał szansę się udać.

Pomysł podsunęła jej sama Madame Helene, choć oczywiście zupełnie nieświadomie. Pewnego

dnia Lucyna zauważyła, jak jej chlebodawczyni wyjątkowo wylewnie wita się z pewnym mężczyzną, który bez skrępowania chwycił ją za pupę i mocno do siebie przyciągnął. To, że Madame z kimś się spotykała, nie było ani żadnym skandalem, ani też czymś zaskakującym. O wiele istotniejszym okazał się jednak fakt, że człowiek ten był dość znanym w Warszawie przemysłowcem i miał żonę. Uchodził też za wzór cnót wszelakich, więc spółkowanie na boku z właścicielką butik z kapelusza-
mi z pewnością nie byłoby dobrze odebrane. Takich jak on było z pewnością wielu. Wystarczyło tyl-
ko zebrać na ich temat odpowiednie informacje, a potem napisać list.

Nic osobistego, zwykła prośba o kilka złotych, w zamian za milczenie. Przy kwotach, które zara-
biali, wydatek rzędu kilkuset złotych zabolalby ich o wiele mniej niż utrata reputacji lub atak
wścieklej żony. Lucyna uśmiechnęła się pod nosem.

Nasionko zaczęło kiełkować. W końcu same wpadły w szpony szantażysty...

Każdy człowiek kryje w sobie jakieś tajemnice, czasem są one niewiele znaczące, ot kradzież czegoś
w sklepie, czasami dotyczą skoku w bok, a niekiedy potrafią być zaskakująco sprośne. Lucyna unio-
sła ze zdumienia brwi i zastygła w takiej pozie, dopóki nie poczuła, że odrobinę cierpnie jej twarz.
Madame Helene pod kapelusikiem ze swojego butik kryła główkę, w której najwyraźniej kotłowało
się całe mnóstwo większych i mniejszych świństw. Oczywiście Lucyny nie zraziły one w ogóle,
a nawet ucieszyły, gdyż zupełnie przypadkiem weszła w posiadanie materiałów, które bardzo mo-
gły jej się przydać.

Książki.

Czasopisma.

Gadżety, o których nawet niektórzy mężczyźni nie mieli pojęcia, do czego służą.

Gdyby nie przypadek, Lucyna pewnie nigdy by się nie dowiedziała, co kryje sypialnia jej praco-
dawczyni. W pewną środę jednak Madame Helene oznajmiła, że musi wyjść krótko po szesnastej,
a wróci dopiero następnego dnia. Poprosiła więc, aby pracownica zamknęła butik, a w czwartek
zjawiła się już o godzinie dziewiątej, przetarła podłogi i przygotowała sklep na wizytę klientek.

– Wyjeżdża pani? – spytała Lucyna, zastanawiając się, czy ta wycieczka nie ma czasem związku
z samochodem zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, na który Madame Helene zerknęła
z uśmiechem na pomalowanych ustach. Było krótko przed szesnastą.

– Służbowo – powiedziała tylko, a potem zupełnie niesłużbowym krokiem, kręcąc zalotnie tyłecz-
kiem i oblizując bordowe usteczka, podeszła do samochodu, z którego wysiadł znany i szanowany
przemysłowiec, oczywiście bez żony.

Lucyna pokiwała głową. Współczesna kobieta, która sama musiała się utrzymywać, miała dwa
wyjścia. Albo stawiała się zwierzyną, na którą polowali przelotni amatorzy seksu na godziny, albo
to ona była myśliwym i zdobywała dokładnie tego lwa, którego wcześniej sobie upatrzyła.

Po godzinie osiemnastej Lucyna miała właśnie zamknąć butik z kapelusza-
mi, kiedy nagle w jej
głowie zaświtała pewna myśl, a raczej obudziła się wrodzona ciekawość, co też inna kobieta prze-
chowyje w swojej szafie. Sypialnia Madame Helene, mieszcząca się w niewielkim mieszkanku nad
sklepem, była doprawdy imponująca. Przede wszystkim kusila różowym kolorem, który osiadł nie

tylko na ścianach, ale także na suficie. Łóżko stało pośrodku, było dość sporych rozmiarów, a co najważniejsze – miało baldachim. Po prawej stronie znajdowała się toaletka z pięknym, okrągłym lustrem i całym zestawem kosmetyków, na widok których Lucyna aż jęknęła. Zdaje się, że Madame Helene też posiadała błyszczący Max Factor, a dodatkowo róż na policzki, kilka pomadek w najróżniejszych odcieniach czerwieni, puder do twarzy, kredki do brwi oraz zestaw kremów Falkiewicza. Był tam oczywiście jego słynny „Śnieg Tatrzański”, który rzekomo stosowała sama Pola Negri. Lucyna powąchała mazidło z niemy zachwytem. Ona w swojej szafce miała tylko „Krem sportowy Tokalon”, którego użycie gwarantowało kobietom, że nigdy nie zostaną starymi pannami. Widocznie Lucyna trafiła na produkt przeterminowany.

Po lewej stronie łóżka stała bielizniarka i o ile dwie pierwsze szuflady były pełne zmysłnej bielizny – Lucyna z zachwytem oglądała tiulowe koszulki, mięciutkie staniki oraz muślinowe majteczki – o tyle w ostatniej znajdowały się prawdziwe skarby.

– Magnus Hirschfeld i Ryszard Linsert *Zapobieganie ciąży. Środki i metody* – przeczytała głośno tytuł Lucyna i z zaciekawieniem otworzyła książkę na chybił trafił.

„Dokładniejsze badania wykazały, że chodzi o gałki masturbacyjne, rozpowszechnione na Wschodzie, znane każdemu etnologowi (...). Wprowadzone do pochwy uderzają jedna o drugą, wywołując wstrząs i działając tym samym podniecająco”.

Lucyna zachichotała pod nosem i zerknęła raz jeszcze do szuflady w nadziei, że owe gałki być może tam się znajdują. Zamiast nich natrafiła na słynny masażer od bólu głowy, który – jak wiadomo – masował zupełnie inne części ciała. Znalazła też opakowanie prezerwatyw Vulkan, o których pisano, że „prędzej pęknie serce” niż one same, oraz kilkanaście numerów „Amorka” i „Nowego Dekameronu”, pisemek erotycznych zdecydowanie zakazanych w porządnym domu.

Ale Madame Helene mieszkała przecież sama i mogła czytać, co jej się żywnie podobało. Mogła też używać masażera i gałek, choć trudno było powiedzieć, co miały one wspólnego z antykoncepcją.

Lucyna pomyślała, że jej chlebodawczyni zupełnie przypadkiem weźmie udział w projekcie „Luiza”, a także nieświadomie dostarczy obu kobietom niezbędnej wiedzy z wnętrza alkowy. Było to bardzo potrzebne, zwłaszcza młodej Kwirynie, która o tych rzeczach wiedziała tyle, ile o tłokach i średnicy cylindra Austina 7.

Czyli nic.

Lucyna zabrała ze sobą dwa egzemplarze „Amorka” oraz schowaną na samym dnie szuflady książkę Pawła Klingera *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*. Postanowiła, że przeczytają ją wieczorami bardzo dokładnie, zrobią odpowiednie notatki, a potem Lucyna podrzuci z powrotem książkę i być może „pożyczy” jedną parę muślinowych majtek. Było ich tam naprawdę sporo, to niemożliwe, żeby Madame Helene pamiętała o nich wszystkich.

Zanim wyszła z mieszkania i starannie zamknęła za sobą drzwi butiku, nałożyła na twarz odrobinę „Śniegu Tatrzańskiego”, pociągnęła brwi brązową kredką, a usta pomalowała różową pomadką.

Kobietom czasem niewiele trzeba, żeby w ich sercu rozmytym przez życiowe niepowodzenia cho-

cięż na chwilę zaświeciło słońce.

KIRA

Rozdział dziesiąty

Jeszcze kilka miesięcy temu, zanim poznała Kordiana, wydawało jej się, że ma całkiem ciekawe życie. Robiła to, co chciała, nie miała żadnych zobowiązań i nie musiała się z nikim liczyć. Co prawda, Przemysław Nadolski trochę zachwiał jej światem, a ją samą zepchnął z piedestału uwodzicielki doskonałej, ale ciągle to do niej należało ostatnie zdanie.

Swoją drogą, jakie to niesprawiedliwe... Lola Montez zwykła mawiać, że skosztowała absolutnie wszystkiego, co świat miał jej do zaoferowania. Żyła wprawdzie w czasach wiktoriańskich, ale to nie przeszkodziło jej zostać najbardziej niegrzeczną, wyuzdaną i jednocześnie pożądaną kobietą swojej epoki. Podobno kąpała się w kwiatach lawendy, piła tylko najdroższe trunki, a za spotkania z sobą kazała płacić mężczyznom niebagatelne sumy. Wmówiła Hiszpanii, że jest najlepszą tancerką flamenco, choć tańczyć w zasadzie nie potrafiła, ale wystarczyło, że założyła na siebie koronkowe suknie i podkreśliła swój apetyczny biust, by każdy we wszystko uwierzył. Była piękna. Miała jasną cerę, ciemne włosy i błękitne oczy. Kiedy Kira patrzyła na jej zdjęcie w albumie, widziała siebie, tyle że kilkaset lat później.

O tej kobiecie mówiło się, że jest niepokorna, krnąbrna, niezależna i fascynująca. A przecież robiła dokładnie to, co Kira – uwodziła mężczyzn, by osiągnąć swoje cele. Nieważne, czy chodziło o władzę, uznanie, dowartościowanie samej siebie, czy też pieniądze. Robiła to, co chciała, wypełniała życie wyłącznie swoimi potrzebami, nie oglądając się na innych. Egoistyczne? Być może. Jedni dowartościują się, pomagając innym, drudzy muszą najpierw pomóc sobie. Lola chciała być gwiazdą, Mata Hari szukała w mężczyznach uznania, którego nigdy nie dostała od własnego ojca, a Barbara Palmer pragnęła udowodnić mężczyznom, że jest od nich mądrzejsza. Kira potrzebowała uwielbienia innych ludzi. Dowodu, że nie można jej się oprzeć, że jest kimś wyjątkowym. Szukała w nich tego, czego nie dała jej Kalina. I wtedy padły słowa, które rozwały wszystko to, co do tej pory udało jej się zbudować. Kiedy wyszeptała czule „spierdalaj” facetowi, który wybrał dziubaska, ten odwrócił się jeszcze w drzwiach i powiedział:

– Przecież ty jesteś taką trochę dziwką. Przyznaję, najbardziej luksusową z możliwych, ale jednak dziwką – oznajmił mężczyzna, którego prawie zobaczyła w roli swojego męża.

– Wynoś się – wyszeptała i spojrzała na niego w taki sposób, że na wszelki wypadek próbował się jakoś ratować.

– Kotek, nie gniewaj się, ja nie chciałem cię przecież obrazić. To nawet był swego rodzaju komplement. Po prostu zaskoczyłaś mnie tą swoją propozycją. Mam już żonę i nie szukam nowej. Ty jesteś absolutnym numerem jeden, jeśli chodzi o przyjemnie spędzony czas i doskonały seks.

– Bo jestem dziwką?

– Chodziło mi o to, że przecież jednak jakoś ci płacę. – Wzruszył ramionami. – Może to nie jest gotówka, ale opłacam hotel, kupuję ci drogie prezenty, zabieram na wycieczki. Może źle się wyraziłem, ale przecież w jakimś sensie jesteś moją utrzymanką.

Kira zastanowiła się, czy gdyby udusiła go jego własnym, drogim krawatem w złote romby na granatowym tle, byłaby to zbrodnia w afekcie, czy raczej zupełnie normalne morderstwo, bez żadnej taryfy ulgowej. Wołała nie ryzykować, więc na wszelki wypadek zdjęła z palca pierścioneł z rubinem i rzuciła nim prosto w zadziwioną gębę swojego „sponsora”.

– Histeria? – spytał zniesmaczony.

– Nie, skurwysynu, po prostu kolejny przekaz, że masz się stąd wynosić. Nawet dziwki mają po jakimś czasie dość takich facetów jak ty.

Zmarszczył brwi i obrócił się w jej kierunku, stając jednak w bezpiecznej odległości.

Rozjuszona kobieta jest gorsza od wygłodniałej hieny.

– Czyli jakich?

– Skurwiałych, kiwniętych dzięciołów. Spermoludków bez żadnej fantazji – mówiła, co jej ślina na język przyniosła, choć zdawała sobie sprawę, że tylko się tym pograża i robi z siebie kompletną idiotkę. Bez sensu i bez żadnej klasy.

– Jakoś dotąd nie narzekałaś! – podniósł głos, próbując jednocześnie ustalić etymologię kiwniętego dzięcioła.

– Po prostu nie słyszałaś. To normalne u megalomanów z bardzo przeciętnymi zdolnościami erotycznymi. – Wzruszyła ramionami, a potem wypchnęła go z pokoju i starannie zamknęła drzwi. Oparła się o ścianę i spłynęła z niej bez czucia i siły. Powietrze całkowicie z niej uszło.

Co za kutas!

I jakie to typowe!

Niektórzy faceci mają chyba we krwi obrażanie kobiet. Jednym słowem potrafią wdeptać w ziemię, choć jeszcze jakiś czas temu wznosili je pod niebiosa. Strącali z gwiazd szybciej, niż na nich sadzali. Pewnie dla równowagi w przyrodzie.

Kira postanowiła na jakiś czas przerwać swoje eksperymenty na facetach, odpocząć, złapać oddech i nabrać dystansu. To, że trafił jej się jeden dupek, nie znaczy jeszcze, że wszyscy myślą podobnie. Z pewnością znalazłaby kilku, którzy bez zastanowienia porzuciliby swoje dotychczasowe partnerki, byle tylko z nią być.

Czyżby?

Zamknęła oczy i nabrała powietrza, które powoli z siebie wypuszczała, zupełnie jakby była pod wodą. A jeśli w przypadku tych wszystkich mężczyzn działa wyłącznie syndrom „zamykających się drzwi”? A jeśli to tylko chwilowa panika, że małżeństwo odarło ich z atrakcyjności, że znaleźli się w klatce, z której nie ma wyjścia? Może uciekają z niej tylko po to, by udowodnić samemu sobie, że ciągle mogą wszystko. Chociaż na chwilę, na moment, na te kilka nocy zapomnieć o zobowiązaniach. I mieć pewność, że to oni trzymają w ręku klucz i mają wpływ na te cholerne drzwi.

Dlaczego tak chętnie zdradzali swoje żony? Dla seksu? Tego lepszego, ciekawszego, tego, którego nie wypada robić z własną partnerką, bo przecież ona jest „lepszą”? Bo nie mieli do końca życia ochoty jeść lodów czekoladowych i kusilo ich, by chociaż raz spróbować nowego smaku? Bo zdrada podnosiła ich ego i pokazała im, że znowu wrócili do gry? Bo żona i jej trucie przyprawiało ich o ból głowy, a najlepszą aspiryną okazywała się inna kobieta?

Kira nie była już taka pewna, czy rzeczywiście jest dla nich numerem jeden. Role myśliwego i zwierzyny nie były z góry ustalone i co chwila się zmieniały. Pewien fotograf uchwycił kiedyś moment polowania lwicy na ciele bawołu afrykańskiego. Walka rozegrała się w Botswanie, w delcie Okavango i kiedy sprawa wydawała się już przesądzona, młode nagle uciekło, a w jego miejsce pojawił się byk. Zaatakował lwicę i tak ją poturbował, że po kilku dniach zdechła. Zdechł również byk, bo jego obrażenia i rany były zbyt duże.

Kto wygrał?

Kira pozbierała własne rzeczy, spakowała torbę i pojechała do domu. Najchętniej wyzaliłaby się komuś, ale babcia z pewnością by jej nie pochwaliła ani tym bardziej współczuła, a matka nie odezwałaby się ani słowem. Poza tym sama była sobie winna. Pakowała się w związki na trzeciego, niszcząc wszystko to, co dwójka ludzi próbowała zbudować. Nie obchodziły jej konsekwencje, nieprzespane noce i wypłakane zbiorniki łez. Lubiła wygrywać, stawiać na swoim i udowadniać sobie za każdym razem, że może wszystko.

Usiadła przy biurku i otworzyła komputer. Maciej przesłał jej kolejną porcję listów, na które miała odpowiedzieć do końca tygodnia. („Tylko nie pisz, że ktoś, kto nie odkurza kabła za pralką, jest idiotą”).

„Jak idealnie wyprasować koszulę mężowi?”

Upiła łyk gorącej herbaty, podkulila nogi w fotelu i odpisała:

„Prasowanie rozpinanych koszul należy zaczynać od prawego rękawa. Kolejne elementy to kołnierzyk i listewka, a następnie karczek. Od karczka prasowanie przenosi się na lewy rękaw. Kolejno należy wyprasować plecy i szwy boczne koszuli, po czym część przodu z guzikami, zaczynając od listewki, następnie drugą część przodu. Koszule prasuje się po prawej stronie”.

Po namyśle dodała:

„Ale gdybyś choć jeden raz zrezygnowała z prasowania koszul i jej debilnych kołnierzyków, listewek czy też karczków i zamiast tego poprosiła o porządne zerżnięcie cię na kuchennym blacie, twój mąż już do końca życia wołałby nosić pogniecione koszule”.

„Wyślij”.

Wzruszyła ramionami, zachichotała i przesłała pliki do redakcji.

LUIZA

Rozdział jedenasty

– Mam jeszcze to – Lucyna wyjęła książkę Klingera. – Tu piszą, że Polacy mają obsesję na punkcie nóg, więc jednak musisz je pokazywać, choć oczywiście nie tak nachalnie. Ale taka suknia z pęknięciem, to ich dopiero rozpali – rozmarzyła się. – Zresztą popatrz na rysunki w „Amorku”. – Stuknęła palcami w gazetkę. – Wszystkie te kobiety mają podciągnięte spódnice i pokazują podwiązki. No i pończochy. I to mi się jeszcze podoba. – Podsunęła Kwirynie rysunek.

Dziewczyna zarumieniła się.

Na obrazku w dość wyzywającej pozie siedziała młoda kobieta, całkiem naga, ubrana wyłącznie w czarne pończochy. Miała rozpuszczone włosy, błąkający się uśmiech na wargach i wzrok skierowany na swoje nagie piersi. Widać było, że wie, do czego służy kobiece ciało i jak należy je ekspozycjonować.

– A spójrz na te ogłoszenia! – Lucyna zachichotała. – „MADAME Shara przewiduje wszystko od jednego złotego do pięciu”.

– Co znaczy wszystko? – zdumiała się Kwiryna.

– Nie mam pojęcia, ale z pewnością drogo u niej nie jest. O, a to jest jeszcze lepsze!

„PRZEKORNE, Dwudziestodwuletnie wścibidełko chce poznać chłopczyka, do lat 32. Zgłoszenia sub: «Czarnula», Warszawa, Ogrodowa 8–2, «Fortuna Versal»”.

– My też będziemy musiały się jakoś ogłosić, prawda?

– Tak. Ale zrobimy to w „Kurjerze” i podamy numer skrytki. Żadnych adresów, telefonów, niczego, co mogłoby na nas naprowadzić. Musimy też coś wymyślić, aby sprawdzić twojego potencjalnego kochanka.

– Sprawdzić?

– No jego dochody, wykształcenie i oczywiście status w środowisku. Przede wszystkim powinien być bogaty. Ale nie może być idiotą, bo tacy za szybko zaczną się tobą chwalić. A Luiza ma być przede wszystkim owiana tajemnicą. I absolutnie niedostępna dla zwykłego mężczyzny. To musi być ktoś z wyższych sfer, ktoś kulturalny, kto chadza do teatru i ma coś do powiedzenia w naszym mieście.

Lucyna coraz bardziej była przekonana, że ich plan ma duże szanse na powodzenie. Kwiryna wydawała się wyjątkowo rozsądną uczennicą, która większość uwag starannie notowała w zeszycie. Sama podsuwała też pewne rozwiązania, a nawet wpadła na pomysł, żeby Luiza posiadała jakiś nietypowy gadżet albo umiejętność, dzięki której będzie jeszcze bardziej charakterystyczna.

– To niegłupie – zgodziła się Lucyna. – Trzeba o tym pomyśleć. A teraz posłuchaj, co wymyśliłam, żeby zdobyć potrzebne nam pieniądze! – powiedziała i dumnie wypięła pierś.

– Szantaż? Przecież my same jesteśmy ofiarami szantażu – wyszeptała przerażona Kwiryna. – A jak ktoś się dowie? Albo nas złapie? Pójdziemy obie do więzienia i, co gorsza, zupełnie zasłużenie.

Lucyna wzruszyła ramionami.

– To nasze jedyne wyjście. Poza tym umówmy się, nie będę pisała listów do świętoszków. Każdy z wybranych przeze mnie adresatów ma sporo na sumieniu, a najwięcej aptekarz z Chmielnej. Nie zaszkodzi mu, kiedy odstąpi nam trochę swojego grosza, zwłaszcza że ożenił się dopiero kilka miesięcy temu. Nie sądzę, aby jego młoda żona była zachwycona faktem, że leczenie w aptece jej męża było bardzo dosłowne. Leki plus kuracja doustna, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kwiryna nie wiedziała, a Lucyna uznała, że na razie nie trzeba jej aż tak bardzo wtajemniczać.

– Co mu napiszesz?

– Taki apel do jego sumienia. Przypomnę, co musiałam robić w piątki po osiemnastej na zapleczu apteki, nawet w okresie jego narzeczeństwa. Wspomnę, że mam chore płuca, a leczenie kosztuje. Podobnie jak milczenie. U Madame Helene stoi maszyna do pisania, to zdecydowanie lepsze niż pisanie odręczne. No i bardziej anonimowe. Ale najpierw potrzebuję listy niewiernych małżonków. I już wiem, od kogo ją zdobędę. – Uśmiechnęła się tajemniczo.

Mama Lucyny oprócz szycia potrafiła też przyrządzać najlepsze nalewki w całej Warszawie. W swojej domowej aptece miała więc mikstury z procentami pomagające przy przeziębieniach, migrenie, bólach brzucha i serca, na bezsenność oraz nerwy, chandrę i melancholię lub łagodzące skutki przejedzenia i przepicia. Do dzisiaj Lucyna słyszała w głowie jej głos, kiedy przygotowywała kolejne specjały, po które zgłaszało się wiele chętnych klientek.

– Owoców, ziół i korzeni nie wolno zalewać czystym spirytusem ani zbyt słabą wódką. Spirytus zwarzy owoce, a słaba wódka nie wydostanie z nich pełnego smaku i aromatu – powtarzała zawsze. – Suche składniki używane do nalewek, takie jak zioła lub przyprawy korzenne powinny być przed zalaniem rozdrobnione przez kruszenie lub mielenie, aby alkohol mógł optymalnie wydobyć z nich smak i aromat.

No i wydobywał. Ze starych zapasów zostały jeszcze orzechówka, nalewka z przywrotnika, nalewka korzenna oraz kminkówka. Zaopatrzona we wszystkie cztery buteleczki oraz zbolałą minę, Lucyna pojawiła się w butiku Madame Helene w pewien piątkowy rano. Tego dnia słońce zupełnie zapomniało o Warszawie, zakrywając się granatowo-sinymi chmurami.

Madame Helene była typową kobietą światłolubną, wskutek czego brzydka pogoda zawsze wywoływała u niej minimalne stany depresyjne oraz ogólną apatię.

– Coś taka skrzywiona? – spytała jednak, widząc jak na twarzy Lucyny pojawia się od czasu do czasu grymas, wraz z towarzyszącym mu ciężkim westchnieniem.

– Kłopoty trawienne i przygnębiecie mnie jakieś męczy – przyznała pracownica, zapewniając jednocześnie, że nie planuje wziąć wolnego, gdyż praca zdecydowanie jej pomaga. – A później podkuruję się nalewką mojej mamy – dodała, wysilając się na nikły uśmiech.

Madame Helene ożywiła się. Zanim matka Lucyny dostała poplątania zmysłów po śmierci swojego męża, zanim zaczęła popijać te swoje nalewki w ilościach jednoznacznie wskazujących na przedawkowanie i zanim w końcu wypła czysty spirytus, czego jej organizm po prostu nie udźwignął, Madame Helene nieraz delectowała się wyborną wiśnióweczką czy malinówką, po której czuła się wyjątkowo odprężona.

– A masz coś ze sobą?

Lucyna kiwnęła głową i wyjęła z torby cztery buteleczki.

– Tej nie znam – Madame Helene wskazała na napis: „Nalewka z przywrotnika”.

– Bardzo smaczna, ziołowa. I co najważniejsze, uspokaja żołądek. Są w niej kwiaty przywrotnika, mielone nasiona kopru włoskiego, kwiaty jasnoty białej i bylicy piołun. No i wódeczka, czterdzieściprocentowa.

– A na te bóle, też będzie dobra?

Menstruacja. Jasne. Największa, comiesięczna zmora każdej kobiety.

Szybko pokiwała głową.

– Jak najbardziej. Ładniutko uspokaja i człowiek od razu czuje się lepiej.

Madame Helene pozwoliła sobie zatem na jeden kieliszek, koło południa drugi i trzeci, a o godzinie siedemnastej była już całkiem przyzwoicie wstawiona. Spróbowała wszystkich czterech nalewek przyniesionych przez Lucynę i ciągle nie mogła się zdecydować, która smakuje najlepiej. Godzinę później, kiedy zamknęły już sklep, Madame Helene ochoczo odpowiadała na każde pytanie zadawane jej przez zdecydowanie bardziej trzeźwą pracownicę.

– Każdy moja kochana, absolutnie każdy zdradza. No, może są tam jakieś wyjątki, ale to albo mężczyzna ma za dużo do stracenia, albo jest impotentem.

– Aptekarz z Chmielnej? – podsunęła Lucyna. Co prawda, wszyscy o nim wiedzieli, ale lepiej było mieć dowody w rękę.

Madame Helene parsknęła śmiechem.

– To chyba cud, że ta jego młoda żonka nie ma o niczym pojęcia. Wiesz, ile kobiet przewinęło się przez jego zaplecze? Więcej niż wszy w barakach na Bielanach. Poza tym aptekarz ma specyficzne wymagania. Nie wystarcza mu zwykły seks, więc zmusza kobiety do... fellatio – zniżyła głos.

Lucyna wzdrygnęła się. O tym wprawdzie też słyszała, ale dopiero kiedy Madame Helene potwierdziła te plotki, poczuła dziwne zgorznienie.

– A inni? Też mają jakieś specjalne życzenia?

– No wiesz, każdy ma jakieś odchyły, w końcu nie szukasz u prostytutek tego, co możesz sobie wziąć we własnej alkowie. Niektórzy lubią na przykład całować „tam” kobietę. Fachowo to się nazywa drażniące pocałunki, ale jak wiadomo, nie każda z nas jest na tyle odważna, by sobie na takie drażnienie pozwolić. Wiesz, gdzie jest Skład Tiulu, Koronek i Wstążek?

Lucyna przytaknęła.

– Podobno właściciel tego miejsca robi zdjęcia swoim kochankom. Oczywiście nago i zawsze od tyłu. Ma obsesję na punkcie kobiecych pup.

– A mecenas Macko?

Madame Helene upiła jeszcze jeden łyżeczek kminkówki i uderzyła dłońmi w kolana.

– Zalicza wszystko – od chustkowych po te najdroższe, którym jednorazowo płaci miesięczną pensję nauczyciela. Ciągłe szuka urozmaiceń i prowadzi badania nad kobiecym ciałem, zarówno tym cuchnącym, jak i pachnącym perfumami.

– Jan Leber?

– Ten kupiec? Ma całkiem pokaźną gromadkę nieślubnych dzieci, do których jednak niechętnie się przyznaje. – Madame Helene wyciągnęła się na szezlongu i odchyliła głowę do tyłu. Zanim zachrapała uśpiona procentami naleweczek w czterech smakach, podała jeszcze dwa tuziny innych nazwisk, ze szczegółowym opisem ich seksualnych upodobań, anomalii, a nawet zbrodni. Lucyna zanotowała wszystko starannie na świstku papieru, a kiedy Madame Helene odpłynęła w fazę REM, przeniosła ją do sypialni, zdjęła jej buty oraz ubranie i starannie przykryła kołdrą.

– Dziękuję – wyszeptała na do widzenia i ściskając w dłoni listę nazwisk, już podliczyła w głowie, ile uda im się na nich zarobić. – Drażniące pocałunki szybko wyjdą wam bokiem, kiedy tylko poczujecie zapach strachu ściskającego wasze jaja.

KIRA

Rozdział jedenasty

Po brutalnym zerwaniu z Przemysławem ubrała się, spakowała swoje rzeczy i pojechała prosto na basen. Uwielbiała to. Woda zmywała z niej wszystkie niedoskonałości, niedobre myśli, nieprzyjemne rozmowy i ewentualne wyrzuty sumienia. Było to dość dosłowne oczyszczenie, ale najważniejsze, że spełniało swoje zadanie. Zawsze, kiedy miała jakiś problem albo nastrój bardziej do dupy niż do tańca, wymykała się na basen i nurkowała tak długo, aż brakło jej oddechu. A potem pływała przez godzinę niemal bez przerwy, do utraty sił. Paradoksalnie właśnie to nakręcało ją do dalszych działań i dawało niezłego kopa.

– Naprawdę nazwałam go kiwniętym dzięciołem? – zapytała samą siebie i nerwowo zachichotała w ręcznik. Strasznie infantylne. I głupie, ale przynajmniej gościa zatkało. Pewnie nie do końca ją nawet zrozumiał. Ale najważniejsze, że ma go z głowy.

„Albo on ją” – pomyślała natychmiast i znowu zrobiło jej się jakoś przykro. Dlaczego kobieta, która nie udaje cnotki i która z góry ciastek wybiera swoje ulubione, od razu musi być dziwką? No dobrze, może odbijanie cudzych mężów nie do końca było czynem chwalebny, ale ona przecież nie zabierała niczego na siłę. Brała tylko to, co samo wpadało jej w ręce, czasem tylko używając drobnych sztuczek.

– Ma pani bardzo dziwne oczy – z dołu dobiegł ją głos małej dziewczynki, która wpatrywała się w nią z dużą ciekawością.

Kira kiwnęła głową.

– Wiem. Moje oczy nie umiały się zdecydować, który kolor wolą, dlatego wybrały oba. Niebieski i brązowy.

– Ja mam zielone. Ale nie umiem zdecydować, czy wolę pływać żabką, czy na plecach.

– Misia, nie zaczepiaj pani – obok Misi i na wprost Kiry wyrósł ojciec małej i z dużym apetytem spojrzał na zgrabne ciało dziewczyny.

Najwyraźniej Misia po nim odziedziczyła ten brak zdecydowania, gołym okiem było bowiem widać, że facet nie potrafiłby jednoznacznie odpowiedzieć, czy woli wrócić z Misią do domu, czy może jednak pomóc Kirze wytrzeć się do sucha.

– Często tu pani bywa? – spytał zupełnie mimochodem.

– Tak, ale wolę kobiety – szepnęła mu do ucha i poszła w stronę szatni.

Zdecydowanie nie był w jej typie, ale mimo wszystko poczuła się ciut lepiej.

Tegorocznego sylwestra Kira postanowiła spędzić samotnie. Bez żadnych facetów, mniej lub bardziej zajętych, bez imprezy i fajerwerków. Gdyby wtedy wiedziała, kto pojawi się na domówce u Majki, zapewne podjęłaby inną decyzję, ale najwyraźniej Kordiana miała poznać dopiero w styczniu. Wszystko ma swój czas i swoje miejsce, nawet jeśli wydaje nam się, że jest zupełnie inaczej.

– Babciu, posiedzimy razem? – zajrzała do pokoju Konstancji, która rozgrywała właśnie partyjkę szachów.

Kirę zawsze fascynował fakt, że babcia potrafiła grać zarówno czarnymi, jak i białymi figurami, i nigdy nie faworyzowała żadnego koloru.

– Nie wychodzisz nigdzie? – zdziwiła się Konstancja. Od czasu kiedy Kalina wyprowadziła się z domu, jej walka o to, by mieć wszystkich przy sobie, znacznie osłabła. Kira zastanawiała się nawet czasem, czy to nie rodzaj jakiejś depresji, ale babcia tylko ją wyśmiała.

– Na depresję chorują osoby, które nie radzą sobie z życiem. Jak ten cały Kosma. Ja natomiast doskonale wiem, co chcę robić i jakie mam plany. Oczywiście byłoby mi znacznie łatwiej, gdyby nie pętał się tu twój dziadek i gdyby Kalina okazała chociaż odrobinę wdzięczności za to, co dla niej przez całe życie robiłam, ale najwyraźniej źle ją wychowałam.

– Raczej zbyt intensywnie – powiedziała Kira.

Konstancja przerwała na moment ruch czarną wieżą i spojrzała badawczo na wnuczkę.

– Nie można nikogo kochać zbyt intensywnie, pamiętaj o tym. Można natomiast wpaść w inną skrajność i kochać różne osoby, które staną na naszej drodze.

No tak. Babcia znowu wracała do tematu Józefa. Ale przecież on ją zdradził wieki temu! I już odpokutował za swoje przewinienia. Poniósł całkiem paskudną karę, a jednak wybaczył Konstancji i nawet próbował się do niej zbliżyć. Gdyby babcia wiedziała, ilu rzekomo zakochanych na śmierć i życie mężczyzn zdobyła bez większego wysiłku jej wnuczka, pewnie byłaby bardzo zdziwiona.

– Babciu, nawet w świecie zwierząt monogamia jest trudna i nieopłacalna. Podobno najwierniejsze są gibony, a cała reszta zmienia partnerów jak rękawiczki.

Konstancja narzuciła na ramiona sweter i mruknęła pod nosem:

– Szach, mat. Białe wygrały, trzeci raz z rzędu. A ty, moja droga, pamiętaj, że ludzie mają jednak więcej rozumu niż zwierzęta i zdecydowanie silniejszą wolę. Jeśli zdradzają, to dlatego, że są słabi, a słaby facet jest gorszy od dziury w zębie.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziała Kira i pocałowała babcię w policzki. – Właśnie wybiła dwunasta. Życzę ci, żebyś się pogodziła z dziadkiem. Jego słabość już dawno minęła, skoro ciągle chce mu się o ciebie walczyć.

– Prędzej umrę na trąd – oznajmiła Konstancja i poklepała wnuczkę po ręce. – Chodź, zagramy w remika.

Pół godziny później ktoś zadzwonił do drzwi. Kira spojrzała pytająco na babcię, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

– Mama? – zdziwiła się dziewczyna, przepuszczając w drzwiach odrobinę przemoczoną Kalinę.

– Pada – powiedziała tylko i podała córce płaszcz. – Kosma zasnął z Heleną i Józefem na kanapie, a ja pomyślałam, że może razem napijemy się szampana.

Po dziesięciu minutach wspólnego siedzenia przy stole i wsłuchiwania się w monotonne tykanie zegara, któremu chyba było wszystko jedno, że właśnie zaczął odliczać godziny nowego roku, pierwsza odezwała się Konstancja:

– Dobranoc – powiedziała krótko, ale konkretnie. W końcu było już dość późno.

Kalina westchnęła ciężko.

– Ona chyba już nigdy nie będzie ze mną normalnie rozmawiać. Szkoda, że w życiowych puzzlach zawsze musi brakować jakiegoś elementu.

Kira wzruszyła ramionami.

– Inaczej byłoby nudno.

– Myślisz? – Kalina spojrzała na nią pytająco. – Ale przecież kiedy układasz normalne puzzle, to zawsze cieszysz się, gdy poszczególne elementy ułożą się w końcu w całość.

– Tak, ale potem ją rozwalasz, żeby po jakimś czasie zacząć układać od nowa. Nikt nie trzyma w nieskończoność gotowego obrazka.

– Kosma też uważa, że mamy w sobie jakąś dziwną skłonność do psucia rzeczy idealnych. Kiedy jest za głośno, nagle doceniamy ciszę, kiedy dopada nas smutek, przypominamy sobie stan, w którym odczuwaliśmy idiotyczną radość. To jego słowa. Bo nigdy nie jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy.

– Ale mnie to zupełnie nie dziwi – powiedziała Kira. – Najgorsza w życiu jest nuda. Przewidywalność. Łączenie kropek w linie, po kolei, systematycznie, od jednego do tysiąca. Sama wiesz o tym najlepiej. Uciekając w zeszłym roku z domu, tylko potwierdziłaś to, o czym teraz mówię. Monotonia jest gorsza nawet od geriatrycznej ciąży.

Kalina zmarszczyła brwi, a Kira zachichotała.

– No, przyznasz sama, że nie jesteś już najmłodszą mamusią. Ale spokojnie, dajesz radę.

– Bo mam Kosmę.

– Możliwe – Kira strzeliła palcami i upiła szampana.

– A ty...? – zaczęła niepewnie Kalina.

– A ja nie mam Kosmy – odpowiedziała jej córka, patrząc, jak matka zaczyna się czerwienić i nerwowo pocierać ręce.

– To wiem, ale myślałam, że jest może ktoś...

– Bywa.

– Jak to bywa? – nie zrozumiała Kalina.

– Widzisz mamo, ja chyba nie wierzę w idealne związki albo zbyt mocno przerażają mnie idealnie ułożone puzzle. Babci nie wyszło, tobie z ojcem także nie, pół świata zdradza, a drugie pół ma na to ochotę.

Kalina popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– To jakaś koszmarowa wizja.

– Nie, mam. Dziadek jest supergościem, a jednak bzyknął na boku inną panienkę, za co babcia ukarała go przymusową śmiercią. Wprawdzie dzięki tobie zmartwychwstał, ale z babcią pewnie już nigdy nie dojdzie do porozumienia. Ciebie ojciec też zostawił i wymienił na Ewę. A rok temu z kolei zostawił Ewę i stwierdził, że chce być z tobą. I to tylko dlatego, że byłaś już zajęta. Koniec końców zdecydował się na byłą Kosmy. Przyznasz sama, że to wszystko nie zachęca do angażowania się w związku na serio, bo prędzej czy później i tak coś pierdolnie. A ja nie mam ochoty na jakieś dziwne fazy, docieranie się, budowanie gniazda i tolerancję. Chcę tkwić w stanie permanentnego unoszenia się w powietrzu i chcę być traktowana wyjątkowo.

„Choć czasem zdarzają się wyjątki” – skrzywiła się na samo wspomnienie rozstania z właścicielem rubinowego pierścionka.

Kalina słuchała jej z coraz większym niepokojem. To niemożliwe, żeby jej córka była tak wyrachowana.

Kira tymczasem mówiła dalej:

– Przyznasz sama, że te wszystkie przykłady jakoś słabo zachęcają do założenia rodziny. Czy nie lepiej zamiast zastawiać sidła na jednego faceta, wypróbować kilku, kilkunastu, a może jeszcze więcej? Nazwijmy to poszerzaniem horyzontów.

– Nie będziesz szczęśliwa – powiedziała Kalina i natychmiast dodała: – Oczywiście, to twoje życie i ja nie mam prawa...

– Masz. W zasadzie to czekam na to od ponad dwudziestu lat. Aż mi czegoś zabronisz, pogroźysz palcem, opieprzysz i wyjaśnisz, że jestem niemoralna.

– A jesteś? – zapytała cicho Kalina, dolewając sobie szampana, który zdecydowanie rozluźniał nie tylko przepływ krwi w żyłach, ale także ją samą. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak długo rozmawiała z własną córką.

Kira uśmiechnęła się przekornie.

– Jestem bardzo niemoralna, ale teraz jeszcze bardziej śpiąca. Dlatego pójdę już się położyć, mamusi, i obiecuję, że jeszcze do tego wrócimy. Na razie jednak jestem zbyt przejęta tym dialogiem, bo to chyba nasza najdłuższa rozmowa od lat. Upiłam się tym słowotokiem bardziej niż szampanem – dodała jeszcze i odrobinę chwiejnym krokiem poszła do swojego pokoju.

Kalina posiedziała jeszcze chwilę przy kuchennym stole, wylała resztki szampana do zlewu i zabrała do lodówki.

Jabłecznik z pianką i bezą.

Konstancja nadal piekła ich ulubione ciasto, chociaż Kalina od ponad roku nie usiadła z nią przy stole i nie wypła popołudniowej kawy.

Ten jabłecznik był jak ułożone puzzle. Kira miała rację. Od czasu do czasu trzeba rozwalić obrazek, żeby potem znowu chcieć ułożyć go od nowa.

Dwa tygodnie później zdanie Kiry na temat związków, które zawsze źle się kończą, uległo małej modyfikacji. Co prawda, spotkanie z Kordianem trwało jakieś dwie minuty, mimo to sporo namieszało w jej głowie.

Podobnie zresztą jak w jego.

Książka *Mitologia germańska. Opowieści o bogach z mroźnej Północy* leżała na stole, a Kordian wpatrywał się w nią już od godziny. Bardzo dziwne było to uczucie, które zawładnęło jego ciałem. Spotkanie kilka godzin temu dziewczyna powracała w dziwnych obrazach. Raz jako bogini Freya, innym razem jako walkiria. Czasem nie myślał o niej wcale, ale potem znowu mu się śniła.

Wstał, podszedł do komputera i wpisał hasło: różnobarwność tęczy.

Heterochromia to niezwykle rzadka wada, dotykająca około jednego procenta populacji. Polega na innym położeniu barwnika na przynajmniej dwóch częściach tęczy jednego oka oraz na odmiennym zabarwieniu oczu. Heterochromia nie jest uciążliwa i nie powoduje wady wzroku. Różnobarwne tęcze mają Jane Seymour oraz Dan Ackroyd. Różne kolory tęczy miał również David Bowie.

– I ona – dodał cicho, a potem wyłączył laptopa i otworzył książkę bez patrzenia na strony.

„Tak Odyn zdobył piękną Rind. Po nocy pełnej miłosnych uciech bóg przepowiedział, że z jego nasienia narodzi się chłopiec. (...) Oto jak został poczęty Wali”.

– I na tym się skup. Na opowieściach z prawnika i ery złotej – mruknął Kordian do siebie i zatopił w historii Odyna.

LUIZA

Rozdział dwunasty

Szanowny Panie,

pewnie nigdy nie doświadczył Pan biedy i zawsze był wystarczająco bogaty, żeby kupić sobie jedzenie. Tak musi być, skoro kupuje Pan również miłość. Jest Pan poważany wśród ludzi, a także cieszy się Pan dobrym mniemaniem u innych. Pamiętam, że lubił Pan moje ciało i chętnie się nim zabawiał, wspominając jednocześnie, że żona Pańska jest zimna jak meduza. Niepochlebnie Pan też mówił o teściowej, sugerując, że najbardziej kobiece w jej wyglądzie są wąsy. Wszystko to zapamiętałam w mojej głowie, jak również to, że za usługi cielesne, o których mówił Pan, że są «rozkoszne», nie dostałam należytej zapłaty.

Nie pisałam do Pana, gdyby nie sytuacja, w której się znalazłam. Mam chore płuca, muszę się leczyć. Muszę też zdrowo się odżywiać. Nie chcę uchodzić za żebraczkę, proszę tylko o zapłatę za pieczytka, którymi Pana obdarzyłam. Nie chcę informować Pana żony o tym, jak cwałował Pan na golasa po pokoju, każąc się dosiadać i uderzać szpicrutą oraz sztybletami, gdy bywał Pan nieposłuszny. Pan wie, że nigdy nie było żadnej fuszerki, a Pan dostawał wszystko, co chciał.

Teraz ja muszę coś dostać.

Trzysta złotych polskich, a usta me zamilkną i nigdy nie wspomną, jak udawał Pan, że ujeżdża teściową, jak śmiał się z własnej żony, która tylko po ciemku i po zmówionym pacierzu. I że woli Pan zwykłe tufty i lampucery, bo one przynajmniej nie wstydzą się swojego ciała.

Trzysta złotych polskich. Nie będzie skandalu, rozwodu, mecenasów. Gwarantuję dożywotni spokój i grobowe milczenie. Pieniądze prześlij Pan w liście do redakcji «Kurjera» jako odpowiedź na ogłoszenie: «Przekorne wścibi-delko chłopczyka szuka». Masz Pan czas do końca tygodnia.

Takich anonimów Lucyna wysłała dokładnie dwadzieścia trzy. Wszystkie do wysoko postawionych mieszkańców Warszawy, dobrze sytuowanych i poważanych w środowisku. Byli wśród nich mecenasi, handlowcy, właściciele sklepów, dyrektorzy, były wojskowy, a nawet prałaci i jeden proboszcz. W zależności od stopnia ich seksualnych przygód oraz dochodów, Lucyna zmieniała kwotę, nigdy nie przekraczając jednak pięciuset złotych. Wiedziała bowiem, że list ze zbyt wysoką sumą mógłby trafić w ręce prawnika, a następnie policji, która z pewnością prędzej czy później namierzyłaby jego autorkę.

– Myślisz, że zapłacą? – Kwiryna nie do końca była przekonana, czy całe to przedsięwzięcie rzeczywiście wypali.

Lucyna wzruszyła ramionami.

– Muszą. Mają za dużo do stracenia, a dzięki Madame Helene wiem, że nie wysłałam tych listów

pod żaden trefny adres. Wszyscy nasi adresaci mają sporo na sumieniu i te kilkaset złotych nawet ich nie zaboli. Wierz mi, nie będą się fatygować, żeby szukać nadawcy. Zapłacą, mając nadzieję, że tym samym kupili sobie święty spokój.

Nie myliła się. W piątek odebrała z redakcji „Kurjera” dwadzieścia dwie grube koperty, w których jedyną odpowiedzią były banknoty. W sumie sześć tysięcy czterysta złotych.

– Brakuje tylko jednego, więc albo ich właściciel nie odebrał listu, albo będzie próbował grać na zwłokę. Nie szkodzi. Prędzej czy później zapłaci, wystraszony moim milczeniem.

– Nie napiszesz do niego po raz drugi? – spytała Kwiryna.

– Nie wiem do kogo. Wszystkie te listy przyszły bez nadawcy, zobacz sama. – Pokazała dziewczynie koperty. – Nie mam pojęcia, kto jeszcze jest naszym dłużnikiem. Ale spokojnie, zapłaci. Nikt nie potrzebuje skandalu, zwłaszcza za cenę kilkuset złotych.

– A jak to się wyda?

Lucyna pokręciła przecząco głową.

– Nie ma takiej możliwości. Za bardzo się boją, że sprawa wyjdzie na jaw. Po charakterze pisma też nas nie rozpoznają – mrugnęła do Kwiryny i pogłaskała starą maszynę do szycia, której Madame Helene chętnie się pozbyła.

Jeszcze tego samego dnia usiadły przy stole i starannie podzieliły pieniądze na kilka kupek. Pierwszy tysiąc przeznaczyły od razu na spłatę całego długu. Nie będzie żadnych rat ani żadnego seksu więcej. Koniec z tym cholernym szantażystą. Część pieniędzy miała zostać przeznaczona na ubrania i kosmetyki, część na materiały źródłowe, czyli poradniki z zakresu seksu i erotyki, część na dopieszczenie sypialni w mieszkaniu Lucyny, a część na tak zwane doświadczenia empiryczne, czyli naukę jedzenia w drogich lokalach, zwłaszcza tych potraw, o których tylko słyszały. Niczego nie wolno było zlekceważyć, Luiza miała być bowiem kobietą z wyższych sfer, której nikt nie mógł przyłapać na tym, że nie wie, co to kawior czy anchois.

– Będę jeść kawior? – zapytała zdumiona.

– Dziesięć złotych za pięć dekagramów, nieźle co? – odparła ze śmiechem Lucyna. – Musisz też poznać inne smaki alkoholu niż tylko moje nalewki czy piwo. Czyli bernardine imperial, monastique, curacao blanc. Kiedy mężczyzna zaprosi cię do eleganckiej restauracji, nie wolno ci zamówić wódki, tylko na przykład mandarin ginger. Wtedy od razu wiadomo, że się na tym znasz.

Kwiryna skinęła głową na znak, że rozumie i nawet się uśmiechnęła.

– Myślisz, że ktoś weźmie mnie do Adrii?

Adria. Kultowa kawiarnia przyciągająca warszawskie elity. Jedna z sal mieściła aż trzysta osób, a na dole znajdowała się sala dansingowa z obrotowym parkietem.

Lucyna strzeliła palcami.

– Nie tylko tam. Będiesz chodzić wszędzie, uwierz mi. Będziesz uwielbiana, kochana, podziwiana, a co najważniejsze pożądana. O to przecież nam chodzi, prawda? Pokażę ci coś, co moja mama zachowała z dawnych czasów. Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, ale mama zawsze wydawała mi się kobietą niezależną. Tata jej słuchał i nigdy nie krytykował. Myślałam, że po jego śmierci ja-

koś się z tego otrząśnie, stanie na nogi, w końcu była silna, ale wtedy właśnie to wszystko, w co wierzyła, pękło jak bańka mydlana. Nie rozumiem, dlaczego. – Spuściła głowę, a potem nagle wstała, podeszła do kredensu w kuchni i z szuflady, w której znajdowały się ściereczki, wyjęła starą gazetę z tysiąc dziewięćset piątego roku.

– Co to? – zainteresowała się Kwiryna.

– Mama zachowała wydrukowane fragmenty referatu, który w tysiąc dziewięćset piątym roku wygłosiła Zofia Nałkowska. To był jakiś ogólnopolski zjazd kobiet i ona mówiła takie rzeczy, za które każdy mężczyzna najchętniej by ją powiesił.

– Przeczytaj.

Lucyna chrząknęła, rozpostarła złożoną stronę i zwróciła się w stronę Kwiryny:

– „Kobieta stając się niezależną, traci cechy nabyte w niewoli i przestaje być dodatkiem do zakłamanego świata mężczyzn. Cały ustrój dzisiejszego świata erotycznego opiera się na jawnej poligamii”. Widzisz? Już tyle lat temu to było wiadomo. Musisz uwierzyć Kwiryno, że nie będziesz żadną prostytutką, tylko niezależną kobietą, która sama zdecyduje o tym, kogo wpuści do swojego świata. Na własnych warunkach.

Kwiryna kiwnęła głową na znak, że rozumie. Wprawdzie jeszcze nie tak dawno myślała, że jednak zostanie pielęgniarką, ale najwyraźniej życie napisało dla niej inny scenariusz, w którym nie było miejsca na ratowanie ludzi lub choćby robienie im zastrzyków. Trudno. Widocznie została stworzona po to, by zostać gwiazdą innej branży.

Nawet jeśli ciężko będzie się tym pochwalić przed własną matką.

Lucyna spotkała się z nim po raz ostatni i wręczyła odliczoną sumę.

– Nieźle – uniósł brwi. – Widzę, że jak chcesz, to umiesz sobie poradzić.

– Podpisz – powiedziała i podsunęła mu kartkę papieru.

– A co to takiego?

– Pokwitowanie.

Wzruszył ramionami. Może podpisać, jeśli ją to uspokoi. I tak jeżeli będzie chciał, przyjdzie po więcej, a ona tego pokwitowania nikomu nie pokaże.

– I tu jeszcze – wysunęła spod spodu drugą kartkę. – Chcę to mieć w dwóch egzemplarzach.

– Mogę nawet w pięciu – zaśmiał się nieprzyjemnie. – I jeszcze coś na pożegnanie – popatrzył na nią łakomie.

Lucyna zacisnęła zęby i po raz ostatni rozłożyła przed nim nogi.

KIRA

Rozdział dwunasty

Minął ją na ulicy i tak szybko odwrócił wzrok, że o mało się nie przewrócił! I na dodatek przeszedł na drugą stronę, zupełnie jakby się bał, że ona go ugryzie.

Kiwnięty dzięcioł. Żenujący przykład faceta, który nie ma w sobie nawet odrobiny taktu, żeby się przywitać. Kira poczuła, jak krew zaczyna płynąć w jej żyłach ze zdwojoną szybkością, a temperatura skóry zdecydowanie przekracza trzydzieści sześć i sześć stopni Celsjusza.

Natychmiast wybrała jego domowy numer telefonu, który jej dał nie wiadomo po co („tylko do mnie nigdy nie dzwoń, kotku”) i kiedy usłyszała głos żony, popłynęła rwącą rzeką zemsty i spontanicznego rewanzu.

– Pajączku, zostawiłeś u mnie bokserki. I teraz nie wiem, czy wyprać, czy wolisz, żeby zajęła się nimi żona? Halo, halo? Coś przerywa – postukała ręką w telefon i zaszeleściła rękawem płaszcza, a potem najzwyczajniej w świecie się rozłączyła.

Nie wszystkie związki kończą się z klasą. Są też takie, które należy splukać w publicznym szalecie.

Po pierwszym spotkaniu z Kordianem przyszło chwilowe ochłonięcie, a nawet pojawił się taki moment, kiedy Kirze wydawało się, że wcale o nim nie myśli. Ale potem mignął jej na ulicy ktoś podobnie ubrany i wszystko wróciło, a serce zaczęło uderzać jak Thor młotem. Był luty, miesiąc zakochanych, którego to święta szczerze nie znosiła. Serduszka rozdawane na prawo i lewo, w większości przypadków po to, by uspokoić własne sumienie. Tym razem jednak wszystko wyglądało inaczej. Początkowo Kira chciała odesłać wspomnienie kuzyna Majki do tych zakamarków mózgu, w których zostałyby ono uśpione, ale ponieważ po raz pierwszy nie myślała racjonalnie, nie mogła też rządzić swoim ciałem. Był to bardzo nieprzyjemny stan, albowiem odnosiła wrażenie, że nie ma na nic wpływu. Zupełnie jakby mózg pracował bez jej zgody i samoistnie wysyłał sygnały do wszystkich części ciała. Serce biło szybciej, ręce się dziwnie pociły, w gardle czuła suchość, a w głowie szumiało.

– Co za absurda! sytuacja! To zapewne zwykły facet, taki jak tysiące innych i równie łatwy do zdobycia. Ale żeby przestać o nim myśleć, muszę się przekonać, że wcale nie jest interesujący.

Mimochodem zajrzała do Majki i zaproponowała kawę.

– Paskudna pogoda, nie mam ochoty sama siedzieć w kawiarni. Urwiemy się na piętnaście minut?

Majka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Kira była raczej typem samotnika, nie chadzała na kawę

z koleżankami, nie proponowała wspólnych wypadów i w ogóle mało się odzywała.

– Muszę jeszcze skończyć materiał o byłych i obecnych partnerkach tego samego faceta. I zupełnie nie mam pomysłu na puentę – odpowiedziała, wskazując brodą na ekran.

Kira zerknęła na artykuł, a potem dosunęła sobie krzesło i szybko napisała:

„Eksia z neksią mają szanse się dogadać, pod warunkiem jednak, że obie wykażą minimum dobrej woli. Nie oszukujmy się. Każda neksia wolałaby wybrać mężczyznę swojego życia, który nie dźwigałby bagażu przeszłości. I żadna eks nie chciałaby być eks, tylko od początku ułożyć sobie życie z osobą, którą kocha i z którą będzie szczęśliwa. Niestety tak pięknie nie jest. Ale my (neksie i eksie) musimy ze sobą jakoś żyć... Czasem pomaga wspólnie «obalenie butelki wódki». A czasem po prostu odrobina tolerancji...”.

Majka ze zdumieniem uniosła brwi.

– Niezłe w sumie. Jak na to wpadłaś?

Kira okręciła się na krześle.

– To proste. Oczywiście tylko w teorii, ale przecież nasze czytelniczki oczekują teorii. W praktyce wszystko wygląda inaczej. Była partnerka zazwyczaj nienawidzi obecnej i odwrotnie. Gdyby mogły, odgryzłyby sobie łby, ale powstrzymuje je obrzydzenie na widok krwi oraz ogólnie wpojone zasady, żeby jednak nie zabijać – wyjaśniła krótko. Naprawdę nie miała ochoty na dalsze dyskusje, wolała już siedzieć z Majką nad kawą i rozmawiać na zupełnie inny temat.

– No wiesz, kiedy jedna kobieta odbija faceta drugiej, to takie relacje nie mają prawa być łatwe, ale przecież zdarzają się też zupełnie inne konfiguracje. – Majka najwyraźniej bardzo wczuła się w problem.

– Tak, oczywiście, dlatego właśnie napisałam o tolerancji i wzajemnym zrozumieniu – powiedziała szybko Kira. – Ale chodźmy już, bo ja też mam jeszcze robotę.

Po drodze minęły Jana, który rzucił Kirze spojrzenie zboląłego liska porzuconego wśród śnieżnej zawiei przez stado kumpli.

– Jeszcze mu nie przeszło? – zdziwiła się Majka.

– Kiedy to ty dziękujesz za dalszy seks, nigdy im nie przechodzi. To po prostu mieszanka szoku i niedowierzenia, z której nie potrafią się otrząsnąć – wyjaśniła Kira.

Dwadzieścia dwie minuty później miękko wylądowała dokładnie w środku tej rozmowy, którą od dłuższego czasu planowała. Postanowiła nawet nie zwracać uwagi na piankę z kawy ułożoną w kształcie serduszka oraz serduszkowe ciasteczko. Trudno, jakoś to przełknie. Majka na szczęście niczego nie podejrzewała i bardzo chętnie opowiadała o kuzynie.

– Dziękuję, że podrzuciłaś wtedy Kordianowi książkę – cudowne było to, że sama zaczęła.

Kira oblizwała łyżeczkę i uśmiechnęła się zachęcająco.

– Swoją drogą niezwykle ciekawy temat pracy doktorskiej. Mitologia germańska... Naprawdę fascynujące.

Majka kiwnęła głową.

– A dokładniej mitologia germańska a symbolika nazizmu. Niezłe co? Kordian w ogóle zawsze był

taki trochę zakręcony na wszelkiego rodzaju mity, legendy i baśniowe opowieści. Kiedyś powiedział nawet, że żył w czasach smoków. I że jest to albo dowód na reinkarnację, albo na istnienie równoległych światów.

Kira zanurzyła usta w pachnącej kawie i przewiercając Majkę wzrokiem, niejako wymuszała na niej dalsze opowieści.

– To zdecydowanie mój ulubiony kuzyn. W dzieciństwie zawsze pozwalał mi się ze sobą bawić, chociaż inni chłopcy uważali, że to ujmą zadawać się z dziewczyną. Poza tym nie lubiłam chodzić po drzewach ani jeździć na rowerze, ale Kordianowi zupełnie to nie przeszkadzało. Urządzał ze mną przyjęcia dla lalek i nie wstydził się pić z miniaturowych kubeczków.

– A teraz robi doktorat? – przerwała jej Kira.

– Tak i prowadzi zajęcia na uniwerku.

– I pewnie poślubił jakąś czarownicę albo elficką królową, skoro tak lubi baśnie – zaśmiała się Kira, zupełnie mimochodem.

Majka pokręciła przecząco głową.

– Ślub dopiero przed nim.

Kira zeszywniała.

– Chociaż w zasadzie to żyją z Anną zupełnie jak małżeństwo. Bardzo ją lubię. Ale ponieważ oboje najpierw chcieli skończyć naukę, bo Ania z kolei robi doktorat z pedagogiki, ślub przełożyli na później.

Pedagogika. Nuda. Pewnie rozmawiają naukowym językiem i nawet w łóżku stosują metodologię badań nad uzyskaniem przyjemności fizycznej. To nie mogła być trudna przeciwniczka, a jednak Kirze zrobiło się przykro, że w ogóle jakaś istnieje. W tym jedynym przypadku wołałaby, żeby Kordian był samotną wyspą, którą to ona odkryje i zasiedli. Trudno. Nie przed takimi wyzwaniem stawała i niejedną taką Annę usunęła ze swojej drogi.

– Bardzo przyjemnie mi się z tobą rozmawia – dodała jeszcze, choć ciężko jej to przeszło przez gardło. Z Majką naprawdę niewiele miała wspólnego, dla niej to była tylko nudnawa, zwykła dziewczyna, z którą pracowała. Z kimś takim nie chce się iść nawet na babskie zakupy, a co dopiero przyjaźnić. Ale Majka była kuzynką Kordiana. A Kordian wywrócił wewnątrz Kiry do góry nogami, choć zupełnie nie rozumiała dlaczego.

Plan był prosty. Nie mieszkała przecież w Nowym Jorku, gdzie spotkanie drugiej osoby graniczyło z cudem. Nie znała wprawdzie jego adresu zamieszkania, ale wiedziała, gdzie pracuje, więc w pierwszej kolejności przespacerowała się na uniwersytet, a dokładniej do Instytutu Filologii Germańskiej i sprawdziła rozkład zajęć. Właściwie to poprosiła o niego niewysokiego blondyna, który zaoferował dodatkowo oprowadzenie po uczelni, a nawet doskonałą kawę z automatu.

– Wiem, jak zamieszać kubeczkami, aby pianka dosłownie rozpląwała się w ustach – obiecał, patrząc na nią łapczywie.

Uznała, że spróbuje tej cudnej pianki, skoro ontak nalega, a ona w tym czasie zerknie okiem na plan.

Gramatyka kontrastywna. Dydaktyka języka niemieckiego. Składnia języka niemieckiego. Fonetyka i fonologia...

Szkoda, że nie ma nazwisk wykładowców.

– W życiu nie piłam lepszej kawy – uśmiechnęła się do blondyna i oblizwała usta z pianki, na widok czego chłopię o mało nie padło na kolana i się nie oświadczyło.

– Historia literatury niemieckiej – przeczytała głośno i spojrzała na mistrza pianki z automatu.

– Bardzo fajne zajęcia. Prowadzi je Kordian Malicki, absolutnie supergość. Ma facet niezwykłą wiedzę, chociaż sam specjalizuje się raczej w mitologii. Ale zna się też na literaturze z okresu Republiki Weimarskiej, książkach wydawanych po pierwszej wojnie światowej, Neue Sachlichkeit w literaturze niemieckiej czy powieściach niemieckich w Trzeciej Rzeszy...

Kira przestała go słuchać.

Kordian Malicki. Historia literatury niemieckiej. Zajęcia z pierwszym rokiem miał w środy i piątki, z drugim w środy i czwartki. Godziny takie, że spokojnie mogła się urwać z pracy, bez żadnych podejrzeń. Poza tym często przecież pracowała w domu, na co Maciej zawsze się zgadzał. Co prawda, ostatnio próbował zmyć jej głowę za ten fragment o seksie na kuchennym stole, w końcu jednak dał się udobruchać szarlotką Konstancji.

– Kira, kiedyś ktoś z korekty przeoczy taki wpis i rżnięcie pójdzie do druku. Wyobrażasz sobie ten skandal? Nasz target to najczęściej kobieta między czterdziestym a sześćdziesiątym rokiem życia.

– Uważasz, że taka nie uprawia już seksu? Moja matka niedługo kończy czterdzieści siedem lat, a kilka miesięcy temu urodziła mi siostrę. I nie było to niepokalane poczęcie.

Maciej westchnął.

– Nie mówię, że nie uprawia. Ale niekoniecznie rżnie się na kuchennym stole.

– No właśnie – powiedziała Kira. – Stąd biorą się te wszystkie rozwody.

Pierwsze dwa tygodnie pokazały jej środkowy palec, bo chociaż kręciła się blisko uczelni i kilka razy w desperacji weszła nawet do środka, nigdy nie trafiła na Kordiana. A czas zdecydowanie sprzyjał zakochaniu, choć o walentynkach niewielu już pamiętało. Początek marca postanowił zaskoczyć wszystkich przyjemnym ciepłem, pąki na drzewach pękały jak na zawołanie i z zaciekawieniem rozglądały się dookoła.

Podobnie zresztą jak Kira.

– Dzień dobry – ten głos zaskoczył ją dokładnie czwartego marca i spowodował lawinę zdarzeń, choć z nieco opóźnionym zapłonem. Najpierw o mało się nie przewróciła, a kiedy Kordian szybko chwycił ją za łokieć i podtrzymał, odruchowo chwyciła się jego kurtki i spojrzała mu prosto w oczy.

Ćwiczenie „latający komar” – przebiegło jej przez głowę.

Jakiś czas temu zapisała się na zajęcia z uwodzenia, które prowadził sympatyczny trzydziestolatek, próbujący nauczyć kobiety, jak skutecznie zdobyć mężczyznę. Zajęcia wydawały jej się komplet-

ną bzdurą i niepotrzebnym marnowaniem czasu, ale Maciej uparł się, żeby zrobiła z tego duży reportaż.

– Ja piszę porady – próbowała się jakoś bronić.

– Nie szkodzi. Tym razem zrobisz duży tekst, a całą masę informacji wykorzystasz później w swojej rubryce. Poza tym może się czegoś nauczysz. – Puścił do niej oko.

Akurat. To raczej ona mogłaby zostać coachem uwodzenia.

– Czy wiesz, co to jest magnetyczne spojrzenie? – Facet na zajęciach spojrzął z uśmiechem na zebrany tłum zafascynowanych kobiet i zatrzymał wzrok na Kirze.

– Ty masz zdecydowanie łatwiej, bo twoje oczy są same z siebie hipnotyzujące, ale pytanie brzmi, czy umiałabyś wzrokiem zmusić kogoś do patrzenia na ciebie dłużej niż przez dwadzieścia sekund?

„No, jasne, ale proszę wykaż się swoją wiedzą” – mówiła mina Kiry, więc prowadzący tylko się uśmiechnął, stanął w rozkroku przed publicznością i powiedział:

– Wyobraźcie sobie, że w pokoju lata jakiś owad. Komar. Denerwuje cię, zwłaszcza, że ciągle ucieka ci z pola widzenia. To dlatego, że wykonujesz zbyt nerwowe ruchy. Zamiast ciągle obracać głowę, wbij wzrok w komara i staraj się nie spuszczać go z oka. Zastygnij w bezruchu i poruszaj tylko swoimi oczami, delikatnie unosząc prawą i lewą brew...

Widok zastygniętych kobiet z falującymi brwiami był przekomiczny i Kira wtedy z trudem powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, a jednak teraz zrobiła dokładnie to samo.

Wbiła się spojrzeniem w Kordiana, delikatnie unosząc prawą brew. Trwało to wszystko jakieś kilkanaście sekund, ale wystarczyło, by i on zapomniał na moment o całym świecie i patrzył tylko w jej oczy.

– Dziękuję, gdyby nie twoja pomoc, pewnie leżałabym teraz jak długa na ulicy – zaśmiała się przyjemnie, zastanawiając się jednocześnie, o co go zapytać, żeby to spotkanie trwało trochę dłużej.

Wcześniej ułożyła sobie w głowie kilka scenariuszy, o których kompletnie zapomniała na jego widok. On tymczasem skinął tylko głową i powiedział:

– Miło cię znowu zobaczyć. – A potem podał jej rękę na do widzenia. – Muszę biec do pracy.

Kira panicznie rozejrzała się wokoło, jakby szukając pomocy u osób trzecich. Może ktoś zemdleje? Albo zacznie rzucać w ludzi odpadkami biologicznymi i trzeba będzie wspólnie gdzieś się schować? A może grad chociaż? No, halo, przecież ten facet nie może tak po prostu odejść!

– Tak, ja w zasadzie też jestem już spóźniona – powiedziała tylko i pomyślała, że trzeba było bardziej przyłożyć się do ćwiczeń z „latającego komara”. Dwukolorowe tęczęwki to jedno, niespotykana uroda również, ale czasem są sytuacje, kiedy trzeba wytoczyć zupełnie inne argumenty. A ona ich najwyraźniej nie posiadała.

– Cześć – machnęła ręką na pożegnanie i odwróciła się od faceta, którego widok powodował lewitację jej wewnętrznych organów.

„Kurwa” – pomyślała mało romantycznie. „Przecież kiedy wpadnę na niego drugi raz, to zacznie się czegoś domyślać”.

W pracy nie zdążyła nawet zdjąć płaszcza, tylko natychmiast rzuciła się do zielonego pudełka,

w którym trzymała różne niepotrzebne wizytówki i nerwowo zaczęła je przeszukiwać.

– Gdzieś musi tu być, musi – mruzczała do siebie, wysypując wszystko na biurko. – Jak on się do cholery nazywał?

Jest!

Eugeniusz Kozłowski

trener uwodzenia

Nie namyślając się długo, wykręciła numer i chwilę później umówiła się na wykład, który na szczęście odbywał się w przyszłym tygodniu w Bydgoszczy.

– Wprawdzie nie mam już wolnych miejsc, ale skoro to do gazety, to oczywiście serdecznie zapraszam.

– A czy po wykładzie będę mogła zadać panu jeszcze kilka dodatkowych pytań na osobności? – zapytała szybko.

– Jak najbardziej. Chociaż mam nadzieję, że trzy godziny wystarczą, aby wszystkiego się pani nauczyła. Zdradzę, jak się poruszać, w jakie ramy ubrać swój uśmiech, jak zaprezentować swoje biodra i jak stać się obiektem pożądania.

W jakie ramy ubrać swój uśmiech? Zaprezentować swoje biodra?

Kira pomyślała, że Eugeniusz Kozłowski od czasu swojego ostatniego występu musiał się czegoś nałykać. Nieważne. Być może to on właśnie miał rację, w końcu był facetem.

LUIZA

Rozdział trzynasty

– Jadłaś kiedyś raki?

Kwiryna roześmiała się.

– No co ty!

– A ostrygi? Kapary?

– Przestań, ja nawet nie wiem, co to jest.

Lucyna podrapała się po głowie i powiedziała:

– Dobra, musimy iść na mały rekonesans. Najpierw Hale Mirowskie, tam jest wszystko. Pooglądamy, dowiemy się co i jak, a potem będziemy próbować. Musimy też pójść do jakiejś eleganckiej restauracji i zamówić równie elegancki obiad. Pamiętaj, że masz być kobietą światową, a takie nie jedzą śledzi.

Hale Mirowskie w Warszawie zrobiły na Kwirynie ogromne wrażenie. Były skanalizowane, stoiska wyposażono w marmurowe stoły, a podłogi wyłożono ceramiką. Można tu było dostać niemalże wszystko. Kapary, ostrygi, pasztety strasburskie, mięsa wszelakie, ryby najróżniejszych gatunków, a nawet homary. Kwirynie aż się w głowie zakręciło od tych wspaniałości, zwłaszcza że do tej pory jadały z Lucyną głównie warzywa, biały ser, a drób najwyżej raz w tygodniu.

– Jeszcze ciekawiej jest w sklepach kolonialnych – powiedziała Lucyna. Znasz braci Pakulskich?

U Pakulskich nikt nie biegał z koszykiem i nie wybierał sam towaru. Stawało się przy ladzie, składało zamówienie, a ekspedient wszystko przynosił. Towar był zawsze najwyższej jakości. Żadnych jednorazowych torebek czy też gazet, w które pakowano zakupy. Wszystko, nawet najmniejszy bibelot zawijano albo w specjalny papier, albo w pergamin, a większe rzeczy wkładano do papierowych toreb z nadrukiem firmowym. Następnie tworzone jedną paczkę i dowożono osobiście do domu, chyba że klient przyjechał samochodem. Od samego rana przed sklepem stały kosze z egzotycznymi owocami i wypiekami pachnącymi tak, że aż kręciło się w głowie. Na drzwiach wisiała świeżutka dziczyzna, ptactwo, zające. Podobne atrakcje kusily w sklepie Hirszfeldów, do którego Kwiryna nigdy nie odważyła się wejść. Od samego progu był zaprojektowany w kształcie długiej i głębokiej alejki z ladą, która wydawała się nie kończyć. Lada miała szybę z przepierzeniami, za którymi stali ekspedienci. Całe ściany w delikatesach były wyłożone białym kamieniem w delikatne, różowe żyłki. A teraz właśnie tutaj kupiła dwa raki, mango i pęczek szparagów.

– No, dobrze, to teraz przećwiczmy jedzenie raków. Madame Helene wszystko dokładnie mi wyjaśniła, a potem jeszcze pokazała w książce kucharskiej, więc myślę, że damy radę – Lucyna położyła ugotowanego w zalewie koperkowej raka na talerzu i spojrzała na niego odważnie.

– Zapisalaś? – spytała Kwiryna.

– Jasne. Zawsze wszystko zapisuję, żeby nie było nieporozumień. – Rozwinęła kartkę i zaczęła czytać:

– Oderwać kleszcze od reszty raka. Zjeść widoczne mięso.

Kwiryna zamknęła oczy i przekręciła pancerzyk. Chrupnęło delikatnie i poczuła ciepły płyn wylewający się na rękę. Oblizwała go, a potem spróbowała mięsa.

Smaczne i delikatne.

Lucyna tymczasem czytała dalej:

– Przełamać kleszcze, aby dostać się do znajdującego się w środku mięsa. Do tego celu można użyć dziadka do orzechów. – Przerwała czytanie, by dodać: – Jest w szufladzie, przynieś! – Po czym znów skupiła się na instrukcji. – Następnie przytrzymać ciało raka i chwycić ogon. Przekręcić go, aby stał się luźniejszy i pociągnąć.

Kwiryna precyzyjnie wykonywała kolejne czynności. Jak na razie szło jej bardzo dobrze.

– Ścisnąć ogon, w ten sposób pancerz stanie się łatwiejszy do usunięcia, i przełamać go wzdłuż.

– Mam.

– No to teraz wyciągasz mięso z ogona, a dodatkowo, jeśli chcesz, możesz wydostać z pancerza jego zawartość – jest to tak zwane masełko rakowe. Natomiast w główce znajduje się sok o lekko pikantnym smaku, który należy po prostu wyssać.

Kwiryna przechyliła rakową główkę i zrobiła wszystko według zaleceń Lucyny.

– To jest pyszne, wiesz? – Oblizwała się ze smakiem.

Lucyna przełknęła ślinę.

– Dobra, to teraz drugi, tylko postaraj się tak nie upaćkać.

– Ale tym razem musisz spróbować. Chyba pokochałam raki. – Kwiryna uśmiechnęła się.

– Jak każdy luksus – mruknęła pod nosem Lucyna.

Następnego dnia wybrały się do restauracji w Bristolu. Kiedy Kwiryna po raz pierwszy minęła hotelowy hol, z wrażenia aż odjęło jej mowę. Jakie tu wszystko było cudowne. Błyszczące, ogromne, napawające nieśmiałością.

Usiadły przy pięknie nakrytym stole i zamówiły dwa śniadania wiedeńskie – jajka na miękko, wbite z odrobiną masła do szklanki, podawanej w miseczce z gorącą wodą, żeby nie ostygły. Do tego rogalik, szynka i biała kawa. Kwiryna i Lucyna starały się jeść powoli, a przy tym wyglądać dystyngowanie i udawać, że takie śniadania jadają niemal codziennie.

– Masz ochotę na mokkę? – spytała uprzejmie Lucyna, kiwając ręką na kelnera.

Na widok dwóch elegancko ubranych dam zjawił się sam maître d'hôtel, czyli szef sali, i z przyjemnością poinformował je, że restauracja posiada najnowszy włoski ekspres do kawy i on chętnie zaproponuje dwa napoje na koszt firmy.

Kwiryna z trudem powstrzymała śmiech, ale kopnięta pod stołem przez Lucynę ściągnęła usta i milcząco skinęła głową.

– Jesteś damą, pamiętaj o tym! – syknęła Lucyna, jak tylko maître d'hôtel zniknął im z pola wi-

dzenia.

– Damą lekkich obyczajów.

– Chyba ciężkich – mruknęła Lucyna i zamówiła po jeszcze jednym rogaliku z masłem. – Przed nami jeszcze sporo pracy i dużo nauki.

Najważniejsza była cera. Błada, niemal alabastrowa, będąca dowodem na delikatność i elegancję. Kwiryna nigdy nie chowała twarzy przed słońcem, ale na szczęście jej skóra była dość odporna na działanie promieni słonecznych. Co prawda, na nosie i policzkach pojawiło się kilka piegów, a dekolt był trochę za bardzo opalony, ale na to Lucyna znalazła sposób. Codziennie przemywała twarz Kwiryny miksturą z dodatkiem soku z cytryny, wody utlenionej oraz pietruszki, co z czasem przyniosło pożądany efekt. Sukcesywnie stosowały też okłady z plasterków świeżego ogórka.

W *Podręczniku kobiety eleganckiej* z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku wyczytały ważne instrukcje dotyczące urody. Co prawda, od czasu wydania książki minęło już kilkanaście lat, ale Lucyna uznała, że niektóre wskazówki obowiązują do dnia dzisiejszego. O, jak choćby ta, dotycząca wyboru pudru.

„Ton cielisty, który nie jest ani biały, ani różowy, ani brunatnawy – ale coś pośredniego między temi kolorami odpowiada najlepiej przeważnie wszystkim karnacjom. Puder nie może być widoczny, im więcej zbliża się do tonu cery, tym lepiej”.

– Absolutna prawda. Zbyt mocno uszmkowana twarz wygląda nieświeżo, poza tym zostawia ślady na ubraniu. Masz idealną, gładką cerę, więc wystarczy dosłownie musnąć ją pudrem, a policzki podkreślić różem. Moja mama stosowała „Sławny róż zielony ateński, nowo wynaleziony, którego używała Aspazyja Phryné”, tak dokładnie brzmiała jego nazwa. – Lucyna zaśmiała się. – A tak naprawdę była to zwykła farba z krokoszu. Kiedy się ją rozcieńczyło, nabierała delikatnego, różowego odcienia i podobno była zdrowa. Ale myślę, że róż Heleny Rubinstein też jest świetny. Podkreślimy nim kontury, nakładając wysoko na policzki. Tak robi Madame Helene i muszę przyznać, że wygląda to kusząco.

Kwiryna z niedowierzaniem przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Wystarczyła odrobina makijażu, by wyglądała znacznie poważniej i jakoś tak inaczej niż zwykle. Ciągle jeszcze nie miała śmiałości, by przyznać przed samą sobą, że może się podobać. Matka szczerzyła jej komplementów, wychodząc z założenia, że kobieta musi być przede wszystkim zaradna, a dopiero potem ładna. Kiedy Kwiryna zbyt często zerknęła w lusterko, Kunegunda przepędzała ją ścierką i natychmiast każała znaleźć sobie jakieś zajęcie.

– Jeśli chcesz dobrze wyglądać, to się regularnie wypróżniaj i unikaj moralnych wstrząśnięć. A jak się kiedyś pomalujesz, to z domu wypędzę. Jeszcze mi tu takiej brakuje, obłąkanej kokieterystki.

Teraz „obłąkanie” miało wreszcie swoją rację bytu i Kwiryna mogła sobie pozwolić na bycie piękną. Mogła też wyskubać brwi, by tym samym „podnieść” i „powiększyć” oczy, a usta umalować w „pączek róży”, z mocniej zaznaczoną górną wargą.

– Włosy musiałabyś ściąć, ale nie na bardzo krótko – radziła tymczasem Lucyna. – Teraz niby taka

moda, że wszystkie tną się na pazia, ale moim zdaniem ty powinnaś się nieco wyróżniać. Poza tym włosy stanowią dla wielu mężczyzn rodzaj fetyszu. Obetniemy je do ramion, a potem delikatnie ufryzujemy. Już nawet wiem, kto to robi. – Puściła oko.

– Pójdziemy do mistrza Karola? – ucieszyła się Kwiryna.

Lucyna poklepała ją po ramionach.

– To histeryk, ale damy radę. Masz już umówioną wizytę.

Mistrz Karol, absolutny król fryzjerów słynął z tego, że miał dość wybuchowy charakter i potrafił nawet wyrzucić swoją klientkę za drzwi, jeśli z jakiegoś powodu go uraziła. A jednak każda z kobiet marzyła, żeby to właśnie on ją uczesał. Mistrz przestrzegał kilku ważnych rytuałów, od których nie było żadnych odstępstw. Po pierwsze – nienawidził spóźnień (choćby o minutę), a po drugie obowiązkowo mył swoim klientkom włosy, twierdząc, że tłustymi kudłami nie będzie się zajmował. Tę zasadę zaczerpnął zresztą od innego mistrza fryzjerstwa, niejakiego Antoine’a, który rezydował w Paryżu i był nie mniejszym popaprańcem.

Istniało również po trzecie – otóż mistrz Karol w ogóle nie słuchał sugestii przychodzących do niego kobiet, tylko sam decydował, jaka fryzura pasuje do nich najbardziej. Było to duże ryzyko, jednak klientki chętnie je podejmowały. Rzadko kiedy też miały powód do niezadowolenia – mistrz Karol miał nie tylko wprawne oko, ale także doskonały zmysł obserwacji. To wszystko pomnożone o mistrzowskie cięcie musiało dawać doskonałe rezultaty. Kiedy był w dobrym humorze, prawił kobietom komplementy, częstował kawą i ciasteczkami, a także co chwila całował w rękę. Nic dziwnego zatem, że w jego salonie trudno było zdobyć jakiś wolny termin, ale Lucyna była cierpliwa. W końcu mistrz Karol nie tylko wyczarowywał piękne fryzury, lecz również wyciągał z kobiet ich osobowość.

Kwiryną zauroczył się od pierwszych chwil.

– Te oczy – wyszeptał zachwycony. – Włos, co prawda, zaniedbany, ale od tego ja tu jestem, by wszystko wyglądało lepiej niż perfekcyjnie. Ile masz lat, kochana?

– Osiemnaście – skłamała Kwiryna, dodając sobie odrobinę, by wydawać się nieco poważniejszą.

– Jesteś kwiatem, który właśnie wypuszcza pąki, a ja doprowadzę do tego, że rozkwitniesz w całej krasie.

Kwiryna już poczuła się dopieszczona, a kiedy godzinę później spojrzała w lustro, z zachwytu aż ją zamurowało. Jej twarz okolona ciemnymi, błyszczącymi, kręconymi włosami, sięgającymi ramion, a do tego niebiesko-piwnie spojrzenie oraz długie, gęste rzęsy, zamknęły się w definicji piękna absolutnego. Kwiryna była jednocześnie kusząca i delikatna. Drapieżna i subtelna. Nawet jej zwykła granatowa sukienka nabrała elegancji, a kiedy dziewczyna wstała i potrząsnęła głową, dwie inne klientki czekające na swoją kolej, zzieleniały z zazdrości. I to był największy komplement.

– Będziesz zawsze moją ulubioną klientką, terminy cię nie obowiązują. Przychodź, kiedy chcesz. I jeszcze jedno. Wcieraj w te swoje włosy dwa utarte żółtka z odrobiną oleju rycynowego, a zachowasz ich blask na dłużej – szepnął do jej ucha i z zachwytu wywrócił oczami.

Lucyna nie posiadała się z radości.

– Ty już jesteś gwiazdą, choć jeszcze niewielu o tobie słyszało. Pora na naukę manier, przynajmniej podstawową.

Początkowo Lucyna myślała o prawdziwych korepetycjach z *savoir-vivre'u*, których mogła udzielić im dawna guwernantka rodziny Małeckich, ale po pierwszej wizycie u emerytowanej nauczycielki doszła do wniosku, że jednak poradzą sobie same.

– Czego konkretnie mogłaby pani nauczyć moją podopieczną? – spytała Lucyna, starając się nie siorbać podczas picia herbaty z filiżanki tak maleńkiej, że trudno ją było utrzymać w palcach.

– Nie kłaść się na stole. Nie zakładać nogi na nogę. Nie bujać się na krześle. Nie garbić się. Nie przechylać głowy do tyłu. Nie mówić „smacznego”. Nie rozwalać się na siedzeniu. Nie trzymać łokci na stole. Nie gadać. Nie mlaskać. Nie rzucać się do talerza. Nie jeść szybko. Nie chrząkać. Nie śpiewać. Nie śmiać się do rozpuku. Nie grymasić. Nie żuć – oznajmiła na jednym wydechu pani Melania i dla potwierdzenia tych słów skinęła siedemnaście razy głową.

Lucyna przełknęła ostatni łyk herbaty i uznała, że ta lekcja w zasadzie jej wystarczy. Poza tym była darmowa, a za każdą następną musiałaby już płacić.

– Nie grymasić i nie żuć – powtórzyła pod nosem, ukłoniła się i czym prędzej opuściła mieszkanie dawnej guwernantki.

Postanowiła jednak podszkolić się samodzielnie. Przez kilka tygodni wstępowała więc do biblioteki przy Koszykowej i studiowała różne opracowania dotyczące *savoir-vivre'u*. Czytała *Zwyczaje towarzyskie* Sarneckiego, a nawet *Dawną przodków naszych obyczajność* Ignacego Legatowicza, choć książka ta wydała jej się nieco staroświecka. Ogólnie rzecz ujmując, zasada była jedna – kobieta zawsze powinna być czujna.

„Staraj się siadać zgrabnie i nigdy nie wyglądaj na znudzoną, nawet jeżeli tak się właśnie czujesz” – wynotowała z jednego z podręczników. Do tego doszły uwagi o niepożyczaniu od mężczyzn chusteczek i oddawaniu ich ubrudzonych szminką, niepoprawianiu makijażu w miejscu publicznym, zwracaniu szczególnej uwagi na to, by pończochy nie były pomarszczone oraz nierozmawianiu podczas tańca.

– A to czemu? – zdziwiła się Kwiryna.

– Bo kiedy mężczyzna tańczy, to chce tylko tańczyć. Jeśli dodatkowo będzie zaprzętał swoją głowę konwersacją, z pewnością się pogubi. Poza tym kobieta milcząca jest o wiele ciekawsza niż taka, która bez przerwy papla. I jeszcze jedno – w miejscach publicznych nigdy nie okazuj mężczyźnie swoich uczuć. Nawet jeśli będzie za tobą szalał, to i tak poczuje się zawstydzony albo nie daj Boże zażenowany. Czyli musisz być powściągliwa. Ta Melania oprócz swoich dziwnych porad, powiedziała mi coś ważnego. Podobno frak umie się nosić dopiero w trzecim pokoleniu. No, to utrzymaj nosa temu przesądowi!

Kwiryna skinęła głową na znak, że na razie wszystko rozumie i jest absolutnie przekonana, że sobie poradzi, nawet jeśli w jej rodzinie nikt nigdy nie włożył na siebie fraka. Nabierała też coraz większej ochoty na swój pierwszy publiczny występ, podczas którego miała wyłowić ofiarę numer jeden.

Lucyna zadbała o każdy szczegół. W szafie przy Marszałkowskiej pojawiły się więc trzy wieczorowe suknie, jedna piękniejsza od drugiej. Kwiryna z zachwytem włożyła zwłaszcza czarną, z efektownym pęknięciem wzdłuż łydki i wyjątkowo apetycznie podkreślającą jej figurę, a zwłaszcza talię oraz biust. Do tego czarne sandaalki zapinane wokół kostki i dyskretne pończochy w kolorze dymnym, z delikatnym połyskiem. Na szyję założyła sznur pereł, a głowę ozdobiła przepięknym toczkiem z delikatną woalką i małym, czarnym piórkiem. Wyglądała jak gwiazda filmowa, jak uosobienie marzeń każdego mężczyzny, bez względu na jego preferencje, jeśli chodzi o urodę.

Na co dzień wybrały kilka zestawów modnie skrojonych spodni, dopasowanych bluzek oraz spódnic, a także żakiety z wydłużonymi klapami, które bardziej podkreślały wcięcie w talii. Do tego futrzana peleryna, dwa tweedowe płaszcze, jeden męski garnitur, trzy pary bucików na słupkowym obcasie, dwie na wysokim, kilka szalików, chust oraz apaszek, długie rękawiczki, a także cały zestaw nakryć głowy, które oczywiście były dziełem Lucyny.

Część garderoby uszyły same, resztę kupiły w eleganckich warszawskich butikach. Kwiryna była zachwycona, kiedy weszła do salonu obuwniczego Kielmana, przy ulicy Chmielnej. Drzwi otworzył im lokaj w uniformie, nisko się kłaniając. Nieśmiało usiadła na wygodnej sofie i pozwalała wkładać na swoją stopę wybrane modele. Koniec końców zamówiła trzy pary szyte na miarę, które właściciel obiecał dostarczyć osobiście do domu.

– Podobno buty u niego zamawia sam prezydent Mościcki – szepnęła do Lucyny, która skusiła się na jedną parę wygodnych mokasynów i to tylko dlatego, że Kwiryna bardzo nalegała.

– Ba! Nie tylko on. Zamawiają też Dymsza, Ćwiklińska i Kiepura. Czemu miałabyś być gorsza? – Puściła do niej oko.

Kiedy wieczorem wróciły do domu, nie miały siły, żeby cokolwiek ugotować. Kwiryna zresztą nie czuła głodu, była tak podekscytowana zakupami i zapachem wielkiego świata.

– Myślę, że uzyskałyśmy zamierzony efekt. Jesteś prawdziwą femme fatale, a nie jakąś ostrzyżoną na pazia chłopczycą w męskiej bluzce. Moim zdaniem Warszawa padnie ci do stóp – powiedziała Lucyna.

Kwiryna roześmiała się i puściła do niej oko.

– Mam coś jeszcze. – Jej współlokatorka i jednocześnie współpracowniczka wyciągnęła z torebki coś ażurowego i czarnego, zakończonego po bokach muślinową wstążką. Uszyłam specjalnie dla ciebie.

– To maska? – zdziwiła się Kwiryna.

Lucyna przytaknęła.

– Będziesz ją zakładać w sypialni. Zrobimy z tego twój znak rozpoznawczy, o którym sama mówiłaś, a poza tym będziesz dla mężczyzn nigdy nierozpakowanym do końca prezentem. I niech tak pozostanie.

– Jest jeszcze coś – szepnęła Kwiryna. – Ukryję pod nią swój wstyd.

KIRA

Rozdział trzynasty

Długie nogi czy raczej piegowaty nos? Krągłe biodra czy szerokie usta? A może wystający podbródek? Ładne są blondynki czy jednak brunetki? Kanony piękna zmieniają się w zawrotnym tempie. To, co jeszcze kilka lat temu było uznawane za symbol seksu, dzisiaj przechodziło do lamusa. Poza tym nie chodziło o jakiś konkretny ideał urody, tylko raczej o to, co zachwycało Kordiana. Od Majki wydobyła garść kolejnych informacji, które zapisywała na kartce niczym składniki na ciasto. Jeśli zdobędzie wszystkie niezbędne dane, to przecież nie może się nie udać.

Ta jego Anna była blondynką. Ale raczej ciemną i chyba nie farbowała włosów, tego przynajmniej dowiedziała się od Majki. Miała zielone oczy i była sympatyczna. Kira pomyślała, że sympatyczna to może być foka podrzucająca piłkę w zoo, ale zachowała tę informację dla siebie.

– Z czego pisze doktorat? – zapytała zupełnie mimochodem.

– Z kłamstwa. Ale wiesz, nie ogólnie, tylko z punktu widzenia psychologii, semiotyki i etyki.

Ciekawe. Nie wiadomo jeszcze, czy ta wiedza może bardziej się przydać, czy zaszkodzić. Ktoś, kto pisze o kłamstwie, może się szybko zorientować, że jego partner kręci, ale może to i lepiej? Może go wtedy zostawi i Kordian nie będzie miał już żadnych zobowiązań?

W poniedziałek Kira dostała gwiazdkę z nieba. Tak zupełnie bez okazji, a wszystko dlatego że weszła w życie Majki, która od jakiegoś czasu zaczęła traktować ją jak swoją przyjaciółkę.

– Za dwa tygodnie mam urodziny. Robię małe przyjęcie w restauracji przy Starym Rynku. Będzie trochę znajomych i rodzina. Z pracy chciałam zaprosić Jana i ciebie, ale jeśli chcesz, to mogę mu nic nie mówić. Mogłabyś czuć się niezręcznie.

Kira omal nie wybuchnęła śmiechem. Ona? Niezręcznie? To prędzej Jan ugryzie kieliszek i połknie odłamek szkła albo zacznie się jękać. Poza tym nie to było najważniejsze. „Będzie trochę znajomych i rodzina”. Niemożliwe zatem, żeby zabrakło ulubionego kuzyna...

– Bardzo się cieszę. Musisz koniecznie powiedzieć mi, o jakim upominku marzysz, a Janem kompletnie się nie przejmuj. Jeśli o mnie chodzi, możesz go zaprosić. Tylko uprzedź biedaka, że ja też tam będę – zmrużyła oczy.

Urodziny! I to przyjaciółki, nieważne, że samozwańczej!

I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?

Musiała porządnie się przygotować.

W kolejny weekend zajął się tym Eugeniusz Kozłowski, który z jednej strony niby sypał banałami, z drugiej jednak twierdził, że opiera się na opiniach mężczyzn, przepytanych szczegółowo w celach

badawczych. Mężczyzn było rzekomo kilka tysięcy, co stanowiło jednak jakąś średnią. Kira uznała, że nie będzie wyśmiewać metod Eugeniusza, tylko wyciągnie z nich odpowiednie wnioski.

– A teraz kilka uwag o chodzie idealnym. Nie wolno przesadzać, bo inaczej wypadniecie groteskowo. Stopy stawiamy w jednej linii, jedna za drugą, ale nie krzyżujemy ich w nienaturalny sposób. Tak wprawdzie chodzą modelki, ale w prawdziwym życiu można tylko się wyłożyć i złamać sobie biodro. A przecież tymi biodrami macie właśnie kusząco kręcić – mówił z zapalem, a Kira musiała przyznać, że coś w tym jest.

Rozkołysane biodra. I to wcale nie opięte tandetną spódniczką mini, tylko raczej luźnym, lejącym się materiałem, który spotęguje efekt. Facet najwyraźniej wiedział, co mówi. Jeśli mężczyzna ma do wyboru – zerknąć na kobietę z rozkołysanymi biodrami lub taką, która maszeruje krokiem dostawcy pizzy bądź też śmiesznie stawia stopy do wewnątrz, przypominając tym samym kaczkę, to zdecydowanie wybierze tę pierwszą. Odruchowo. Bezwarunkowo odruchowo.

– Wszystko to, czego nie noszą i czego nie mogą mieć mężczyźni, jest dla nich kobiece – wyjaśnił Eugeniusz Kozłowski. Proste? Bardzo, a jednak na swój sposób odkrywcze.

Kira zastanowiła się przez chwilę. Co ją najbardziej pociągało w facetach? Ciężkie buty (nie znosiła szpiczastych nosków ani lakierków), luźne spodnie i duże, wełniane swetry. Albo pognieciona koszula. Zwykły T-shirt, bez żadnych napisów typu „Mów mi książę”. Prosta fryzura, bez nadmiaru stylizacji i żelu. Koczek też od biedy wchodził w grę, zwłaszcza w połączeniu z zadbaną brodą. Niśki głos, najlepiej z chrypką. Duże dłonie. Czyli na mężczyznę musiała zadziałać odwrotność!

Kolczyki, sukienki, buty na obcasie, długie włosy, delikatny makijaż, bransoletki, łańcuszki, pończochy, pomalowane paznokcie. To nie były ich rewiry, nawet jeśli niektórzy od czasu do czasu się w nie zapuszczali.

– I jeszcze jedno, drogie panie. Nie przesadzajcie z ilością kolorów czy dodatków. Umysł faceta działa prosto i jest dość analityczny. Im więcej szczegółów, im więcej rzeczy, które trzeba ocenić, tym większe zmęczenie. Mężczyzna zdecydowanie woli białą sukienkę niż pstrokaciznę w stylu dudka. Wyberze jeden łańcuszek z zawieszką, zatopioną w dołeczku waszej szyi niż podzwaniające bransolety od przegubu do łokcia, wzywające na poranne roraty. Nie zamalowujcie swoich twarzy nadmiarem podkładu, wasza buzia to nie obraz, który należy pokryć werniksem pośrednim, retuszarskim i wreszcie końcowym. Nie chowajcie oczu w sztucznych lizkach rzęs i nie pompujcie ust. A teraz paradoks Eugeniusza – kobiecość powinna być widoczna gołym okiem, a jednak niezauważalna na jego pierwszy rzut.

Kira zdębiała. Z wrażenia uniosła nawet dwa palce, co po raz ostatni zdarzyło jej się w piątej klasie podstawówki i spytała zdumiona:

– Czy mógłby pan rozwinąć ten paradoks w taki sposób, abyśmy zrozumiały jego logiczny, choć sprzeczny sens?

Eugeniusz uśmiechnął się szeroko. Wreszcie czymś zaciekał tę dziewczynę o niezwykłych oczach, którą zauważył już podczas ostatniego spotkania, choć wtedy sprawiała wrażenie wyjątkowo znudzonej z dużą domieszką ironii. Najwyraźniej nie odczuwała wtedy potrzeby kokieterii, te-

raz zaś musiała trafić na zdecydowanie cięższy męski kaliber. Coś jak Vickers z bitwy nad Sommą. Swoją drogą, ciekawe. Była dokładnie tym, o czym mówił...

– Chodzi o to, że kobieta nie musi być nie wiadomo jak piękna, zgrabna i idealna. Nie musi mieć symetrycznej twarzy i ogromnych oczu. Nie musi być wyzywająco ubrana, nie musi też odsłaniać swoich największych atutów, by wyróżnić się na tle innych. Powinna za to być dumna z tego, że jest kobietą. Chodzić wyprostowana, uśmiechnięta i pewna siebie, nawet jeśli jej kształty skrywa luźna sukienka. Niech wie, dokąd idzie i kogo chce po drodze ze sobą zabrać – puścił do niej oko.

Niewiarygodne.

Eugeniusz Kozłowski wcale nie był idiotą. Był geniuszem.

Kosma z czułością spoglądał na dwie śpiące kobiety, które kochał tak bardzo, że prawie go to bolało. Nie wyobrażał sobie życia bez nich i zupełnie nie wiedział, jak do tej pory udało mu się funkcjonować, nie mając u boku Kaliny i Heleny. Czuł się niczym wytrawny gracz w Tetris – każdy kawałek potrafił idealnie dopasować do swojego miejsca, pokonując płynnie kolejne poziomy, dzięki czemu w jego życiu od jakiegoś czasu nie piętrzyły się żadne kłopoty, zmartwienia, czy nawet byłę żony. I mężowie.

Wprawdzie kiedy ostatnio spotkał się z Mariettą („to ważne i musimy się zobaczyć, bez względu na stopień twojej niechęci”), prawie zachłysnął się własną śliną, na szczęście dość szybko opanował emocje.

– Nie bój się, nie ugryzę cię, nie zacznę się obnażać i na pewno nie powiem Kalinie, że wtedy w Wiedniu na tobie usiadłam – powiedziała na widok jego miny i nawet cicho się zaśmiała.

Usiedli w herbaciarni, w której pachniało kawą, i zamówili wodę.

Kosma potarł ręką nos i siłą woli osuszył czoło ze zbierających się na nim kropelek potu.

– Byłem wtedy nieprzytomny i całość jawi mi się raczej jako zły sen – powiedział na wszelki wypadek.

Marietta spojrzała na niego nieco ironicznie, ale może tylko mu się wydawało.

– Jak na kogoś nieprzytomnego, miałeś bardzo przytomną jedną część ciała. I dość sztywną – powiedziała jednak, choć zdecydowanie wolałby tego nie słyszeć.

Mruknął coś pod nosem, próbując jednocześnie przekazać niewerbalnie, że musi już iść. Nie mógł się spóźnić do pracy, bo nie chciał podpaść szefowi, którym był on sam. A nie ma nic gorszego, niż nawalić przed samym sobą. Od kilku miesięcy prowadził maleńką, jednoosobową firmę zajmującą się wykończeniówką – malowanie, tapety, drobne naprawy, skręcanie szafek, wieszanie lamp, czyli wszystko to, z czym większość ludzi, a zwłaszcza kobiet, niespecjalnie sobie radziła. Zazwyczaj pracował sam, kiedy jednak zlecenia były nieco większe, pomagał mu Barun, sympatyczny student z Bangladeszu, który odkupił od Kosmy jego kawalerkę z wymalowanymi rybkami na żółtych ścianach. Do dzisiaj wspominał o ich z czułością. „Barun – władca morza” – powtarzał i unosił kciuk. Za pół godziny mieli się spotkać na osiedlu Kopernika, gdzie przemiła starsza pani zamówiła

u nich złożenie mebli z jej ukochanego sklepu IKEA. A jak wiadomo, produktom tej firmy towarzyszy zazwyczaj jakiś miliard śrubek, nakrętek oraz nitów plus gruba księga pod tytułem *Instrukcja obsługi*. Cierpliwości w skręcaniu firma nie gwarantowała.

Kosma dopił swoją wodę i podniósł się nawet, ale Marietta natychmiast go zatrzymała.

– Chwileczkę. Umówiłam się z tobą w zupełnie innym celu, więc porzućmy na chwilę nasze wie-deńskie impresje. Otóż mam znajomą, która z kolei ma niewiernego męża. Nic ciekawego w sumie, gdyby nie fakt, że ona kompletnie o niczym nie miała pojęcia, ale niestety w końcu się dowiedziała.

Kosma nie bardzo wiedział, do czego mu była potrzebna ta informacja, ale postanowił słuchać dalej, nauczony doświadczeniem, że kobiety czasem o wiele wolniej się rozkręcają. Zwłaszcza kiedy muszą powiedzieć coś ważnego.

– Przeżyła to oczywiście bardzo i nawet chciała się rozwieść, ale mąż twierdzi, że to był tylko chwilowy romans, będący tragiczną pomyłką. Wy zawsze tak mówicie – dodała oskarżająco.

– Jeśli chodzi o mnie, to ty mnie zostawiłaś – powiedział natychmiast Kosma.

– A, no tak – zgodziła się Marietta. – To wróćmy do mojej znajomej. Otóż romans wyszedł na jaw zupełnie przypadkiem. Kochanka zadzwoniła po prostu któregoś dnia do nich do domu i, sądząc, że rozmawia z mężem mojej znajomej, oznajmiła, że posiada bokserki, z którymi nie wie, co zrobić.

– Bokserki faceta, z którym się spotykała? – upewnił się Kosma.

– Dokładnie. Ale niestety nic więcej nie powiedziała, bo nagle przerwało połączenie. Moja znajoma zabawiła się więc w Różową Panterę i kiedy jej mąż był pod prysznicem, przejrzała zdjęcia w jego telefonie.

– No i? – Kosma nadal niczego nie rozumiał.

– No i znalazła. – Marietta wyciągnęła swoją komórkę i pokazała mu fotkę prześlicznej dziewczyny w czarnej sukience i z charakterystycznymi dwubarwnymi tęczęwkami, które na świecie miał tylko jeden procent populacji.

Chwilowa dobra passa w Tetris została właśnie przerwana. Poszczególne elementy zaczęły spadać na siebie ze zdwojoną szybkością, aż w końcu pojawił się napis: „Game Over”.

Kosma zrozumiał, że pora na tymczasową przerwę w sielance.

LUIZA

Rozdział czternasty

Przychodzi taki moment w życiu człowieka, że zwierciadło, w którym się przegląda, zaczyna wypełniać jego wnętrze. To tak, jakby osoby, które były dla niego ważne lub których się bał, stawały się integralną częścią jego osobowości. Kunegunda stała się wewnętrznym głosem sumienia Kwiryny, choć przecież nie miała pojęcia, czym zajmuje się jej córka. Negatywny obraz samej siebie zaczął wyrażać się w ujemnej samoocenie, mimo że dziewczyna starała się przekonać siebie samą, że nie robi niczego złego. A jednak była smutna, martwiła się o przyszłość i miała wyrzuty sumienia.

– A jeśli zasługuję na karę? – spytała Lucynę.

– Za co? Za to, że próbujesz przetrwać w świecie, w którym to mężczyznom wszystko wolno, a my mamy siedzieć i gotować perliczkę na rosół? Nie wolno ci tak myśleć.

– Matka by mnie zabiła.

– Nie musi wiedzieć. Matki czasem nas nie rozumieją, bo więcej jest w nich egoizmu niż miłości do nas – powiedziała Lucyna, mając przed oczami własną mamę, zwiniętą w kłębek na podłodze, z uśmiechem, który zamarł na jej ustach po wypiciu butelki spirytusu. – To twoje życie i nie wolno ci pytać nikogo o pozwolenie, jak masz nim pokierować.

– A jeśli będę chciała z tym skończyć? Pozwolisz mi?

Lucyna wstała i objęła mocno Kwirynę.

– Ja naprawdę chcę, żebyś była szczęśliwa. I bogata. Dopóki w naszej rodzinie były praca i pieniądze, wszystko się jakoś układało. A potem przyszła śmierć i wystawiła rachunek za lata biedy. Być może pieniądze szczęścia nie dają. Ale nędza też nie. Wolę być nieszczęśliwa, jedząc raki niż kiszona kapustę.

W końcu Kunegunda ulotniła się z głowy Kwiryny. Zniknęła też sama Kwiryna. Na dansingu w Bristolu pojawiła się Luiza z nikłym uśmiechem błakającym się na burgundowych ustach, z wielkimi oczami, które błyszczały w świetle kryształowych żyrandoli, i ubrana w taką pewność siebie, że zgromadzona publiczność zastygła z kieliszkami w dłoniach.

Już wcześniej Lucyna zadbała o to, by wiadomości na temat tajemniczej i ekskluzywnej kurtyzany obiegiły miasto pocztą pantoflową. Doskonale wiedziała, że tego rodzaju plotka nie pozostanie długo bez echa. Była to zresztą plotka doskonała. Dotyczyła konkretnej osoby i została ulokowana w samym środku akcji. Jej atrakcyjność polegała głównie na tym, że podawała informacje nieformalne. Tajemnicze. Nie do końca sprawdzone. A jednak wyjątkowo intrygujące, zwłaszcza dla mężczyzn, którzy poczuli zapach świeżej krwi. Łatwo dostępna prostytutka nie miała żadnych szans z wykształconą, piękną i fascynującą kobietą, która rzekomo sama dobierała sobie partnerów.

Brzmiało jak wyzwanie.

Luiza zamówiła kieliszek białego wina, a potem rozejrzała się wkoło. Warszawa natychmiast kupiła jej różnobarwność tęczy i kuszący zapach nowości.

Wiadomości o nowej damie do towarzystwa przepływały przez miasto szybciej niż woda w Wiśle po rześkiej ulewie i docierały tam, gdzie obu kobietom najbardziej zależało. W świecie brudnych i mało atrakcyjnych prostytutek stała się dla klientów prawdziwym objawieniem. Nie była wprawdzie biegła w sztuce miłosnej, ale zafascynowani nią mężczyźni zupełnie nie zwracali na to uwagi. Z czasem nabierała coraz większej wprawy, stawała się odważniejsza, a do alkowy stopniowo wprowadzała atrakcyjne urozmaicenia.

– Musisz się zgodzić na fellatio – przekonywała ją Lucyna. – Pamiętasz, jak czytałyśmy, że to dla mężczyzn fascynujące doświadczenie, zwłaszcza że większość z nich nie odważyłaby się nawet wspomnieć o tym swojej żonie.

Luiza przełamywała więc swoje lęki, wstyd i onieśmienie, i z czasem Warszawa mówiła już nie tylko o jej urodzie, lecz również o fascynujących łóżkowych umiejętnościach. I koronkowej czarnej masce na twarzy.

Najtrudniejsze i tak miała już za sobą. Wizyta w gabinecie ginekologicznym była zdecydowanie najmniej przyjemnym doświadczeniem związanym z eksperymentami na własnym ciele. Lekarka, której Lucyna wcześniej słono zapłaciła, na szczęście nie zadawała zbędnych pytań, tylko profesjonalnie rozdziewiczyła Kwirynę sztucznym członkiem (dildo nie znajdowało się w standardowym wyposażeniu gabinetu ginekologicznego, ale doktor Stefania miała swoje prywatne zapasy).

– Niechciana ciąża to pewnie ostatnia rzecz, na jaką miałabyś ochotę. Odradzam wszystkie te grzybki, silki oraz naparstki, które można kupić nawet w katalogach wysyłkowych. Wbrew temu, co piszą, wywołują one silne stany zapalne, a nawet mogą prowadzić do śmierci. Podobnie jak lizol. I nie słuchajcie też konowałów, którzy po stosunku zalecają trzy razy obiec pokój albo robić przysiady. Plemniki nie są aż tak głupi. Polecam prezerwatywy i dla dodatkowej pewności smarowanie się substancją plemnikobójczą – wygłosiła beznamiętnie, zupełnie nie zwracając uwagi na rumieniec, który zaatakował policzki Kwiryny. – A i jeszcze jedno, może się przyda. Radzę od czasu do czasu przepłukiwać pochwę zimną wodą z dodatkiem ałunu lub soku cytrynowego, żeby ścieśnić kanał i przywrócić mu dziewiczą wąskość – dodała nie bez uszczypliwości.

Kwiryna zamknęła oczy.

Lucyna podziękowała za wszystkie rady, pomogła obolałej dziewczynie się ubrać, a po drodze kupiła jej dwa pączki z konfiturą z dzikiej róży.

– Masz, na osłodę – powiedziała i objęła Kwirynę ramieniem.

Pewnie każda kobieta wolałaby inaczej stracić dziewictwo, ale w tym wypadku nie można było czekać na księcia z bajki. Zakładając, że taki w ogóle istnieje.

Zobaczyła go od razu.

Po jej pierwszej wizycie w Bristolu, w skrytce znalazły ponad dwadzieścia liścików.

Wszystkie brzmiały podobnie, jednak wprawne oko Lucyny od razu potrafiło oddzielić te pełne zachwyków od tych, które oprócz podziwu zawierały również obietnicę lepszego życia.

Mecenas Litoszko.

Żonaty, dwójka dzieci, majątek imponujący. Zdecydowanie pragnący dyskrecji, zwłaszcza że sam często przeprowadzał sprawy rozwodowe będące wynikiem małżeńskich zrad. Jego ojcem był znany warszawski król finansów, który jeszcze przed wojną skutecznie wyparł z rynku spekulantów podbijających ceny mąki, cukru i soli, powołując do życia giełdę towarową. Był też właścicielem trzech fabryk, a ponieważ interesy szły mu coraz lepiej, potrzebował zaufanego prawnika. Jego dwaj synowie ukończyli więc prawo, z czego jeden zatrudnił się w firmie ojca, a drugi zajął się prawem rodzinnym i – na wszelki wypadek – również finansowym. Pieniądze pokochały tę rodzinę, synowie pokochali dwie, dość anemiczne, ale dobrze urodzone hrabianki i wszystko toczyło się spokojnym, monotonnym i bardzo mało erotycznym życiem. Nic dziwnego zatem, że na widok kusząco pięknej Luizy mecenas zapłonął, podobnie jak jego organ ukryty w spodniach od Hersego.

Szef sali restauracyjnej hotelu Bristol miał tego dnia wyjątkowe szczęście. Najpierw skasował należność od Lucyny za to, że w razie zainteresowania odpowiednich klientów wręczy im wizytówkę jej podopiecznej, potem zaś zarobił trzy razy tyle od samego mecenasa Litoszko, który poprosił go również o niewręczanie nikomu innemu wizytówek Luizy.

Szef sali zgodził się natychmiast i jeszcze szybciej o tym zapomniał. Jakże mógłby inaczej, skoro kilkunastu innych mężczyzn było równie hojnych i przekonujących w swych prośbach.

– To co? – spytała tydzień później Lucyna. – Zaczynamy od mecenasa? Tylko najpierw musimy ustalić co lubi, jakie ma hobby, a nawet jaki rodzaj papierosów pali.

Wystarczyło kilka dni, żeby wiedziały wszystko. Mecenas był popularną osobą w towarzystwie, znaną nie tylko ze swojej pozycji, ale także słabości do luksusu. Interesowały go samochody marek Chevrolet, Buick oraz Opel, zresztą tym ostatnim sam jeździł. Palił cygara Coronas (jeden złoty dwadzieścia groszy za sztukę), popijał wódki Jarzębiak Izdebnicki oraz Smirnoff, a także nosił zegarek Omega.

Umówili się w sobotni wieczór u Langerera. To on miał do niej podejść i się przedstawić. Luiza zjawiła się dziesięć minut po dziewiętnastej i usiadła przy zarezerwowanym na numer skrytki stoliku. Dość szybko zauważyła mężczyznę przy barze, który wpatrywał się w nią zachwyconym spojrzeniem. Rozpoznała go ze zdjęcia, które Lucyna wycięła z jakiejś gazety.

Początkowo odwróciła głowę, ale potem przypomniała sobie wszystkie nauki i rady starszej koleżanki, więc uspokoiła łomoczące w piersiach serce, a następnie odważnie spojrzała w stronę, gdzie siedział i delikatnie się uśmiechnęła. Trzy sekundy później był już przy niej i zaproponował lampkę wina.

– Pamiętaj, żebyś za dużo nie piła. Nie ma nic gorszego niż bekająca kobieta, która ledwo trzyma się na nogach – ostrzegła ją Lucyna.

Nie upije się. Ale dwie lampki wina dla kurazu jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

Po godzinnej konwersacji, z odrobinę towarzyszącym jej szumem w głowie, Luiza wyszła z lokalu z mecenasem Antonim Litoszką, który nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Nie zszokowała go nawet cena, którą Luiza wyszeptała mu do ucha – gotów był zapłacić co najmniej dwa razy tyle za możliwość spędzenia nocy z tym kobiecym bóstwem. Do jego uszu już wcześniej docierały wiadomości o ekskluzywnej kurtyzanie, która pojawiła się w Warszawie jakiś czas temu i która sama dobierała sobie klientów. Potem sam ją zobaczył w Bristolu, ale zniknęła tak szybko, że nie zdążył nawet podejść, żeby się przywitać. Na szczęście kierownik sali wszystko wiedział i okazał się bardzo pomocny.

A teraz sen się ziścił. Naprawdę ta nieziemaska kobieta wybrała na dzisiejszy wieczór właśnie jego?

A jaka była czytana! A jak mimochodem wspomniała o Boyu-Żeleńskim. Czyżby...? Znała generała Burhardta-Bukackiego, a o żonie Józefa Becka mówiła Jadwinia. Czytała książki Brunona Schulza i orientowała się, kto w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku zwyciężył w zapasach z ówczesnym mistrzem Europy. Wiedziała, co to jest Sudebaker Commander i od razu nazwała go limuzyną, a nie samochodem. A na koniec okazało się, że wie, co to jest mazagran (kawa z wodą sodową i likierem). I pachniała tak zawrotnie.

Kiedy po dwóch godzinach, jednym węgorku i trzech lampkach wina zaprowadziła go do mieszkania przy Marszałkowskiej i stanęła przed nim w masce na twarzy, przezroczystej sukience, spod której prześwitywały koronkowe pończochy, czarne majteczki i okrągłe piersi, mecenas zrozumiał, że tak wygląda niebo. A gdy się nachyliła, a potem usiadła na nim okrakiem, lubieżnie oblizując usta, w myślach kupił jej naszyjnik z pereł, kilka sukien oraz kosz owoców, które to rzeczy obiecał wysłać już następnego dnia. Luiza tymczasem pożegnała na kilka godzin Kwirynę, zamknęła oczy i sięgnęła do spodni mecenasa Litoszki, który był gotów na wszystko, co najmniej od pół godziny.

Wyszedł po dwóch, pijany szczęściem, seksem i zatopiony na wieki w tajemniczych tęczęwkach Luizy.

Lucyna pojawiła się w domu chwilę później. Napełniła wannę wodą, dołała do niej kwiatowego płynu do kąpieli i zaparzyła mocnej herbaty. Luiza zmyła z siebie dwie poprzednie godziny, zanurzając głowę w wodzie i wsłuchując się w ciszę, która była na tyle taktowna, że nie drażniła jej żadnymi wyrzutami sumienia.

– Z czasem będzie o wiele łatwiej – powiedziała Lucyna.

Luiza milczała.

– Z czasem może być nawet przyjemnie.

– A jeśli kiedyś spotkam księcia? Co mu powiem? – spytała w końcu Luiza.

Lucyna wzruszyła ramionami.

– Nie powiesz mu tego, czego on nie powie tobie. Każdy ma jakieś tajemnice. I tylko od naszego rozsądku zależy, by ich głośno nie wypowiadać. Zaparzyłam herbatę. Mocna, czarna, ale z cukrem. Jak wypijesz, od razu będzie lepiej.

Herbata z cukrem osłodziła wprawdzie tylko gardło i przełyk, ale w połączeniu ze snem, który przyszedł szybko i bez żadnych zakłóceń, sprawiła, że organizm Luizy odrobinę się zregenerował. A na widok naszyjnika z pereł oraz kosza owoców, które dotarły do niej dnia następnego o godzinie jedenastej zero osiem, poczuła się już zupełnie dobrze. Wstyd wyszedł tymi samymi drzwiami, przez które wniesiono prezenty i nawet się nie obejrzał za siebie.

Luiza potrzebowała zaledwie kilku miesięcy, by stać się czołową warszawską kurtyzaną. Gdyby tylko chciała, mogłaby mieć każdego mężczyznę, ale interesowali ją tylko ci bogaci, kulturalni i hojni. Na liście jej stałych bywalców widniało sześć nazwisk, w tym jeden hrabia, dwóch mecenasów, właściciel banku, jubiler oraz znany warszawski lekarz. Teoretycznie wiedzieli o sobie, w praktyce woleli myśleć, że są jedyni lub też jedynymi zostaną, co przekładało się na liczbę podarunków, prezentów i błyskotek, którymi zarzucali swoją ukochaną. Luiza świetnie się odnalazła w nowej roli. Nigdy zbyt wylewnie nie okazywała uczuć, co zmuszało całą szóstkę do niekończących się zabiegów o jej przychyłność. Gdy spotykała ich wraz z rodzinami, była wyjątkowo taktowna i dyskretna, natomiast w sypialni dokonywała prawdziwych cudów. Chętna i otwarta na nowe propozycje, choć zawsze w granicach własnej przyzwoitości, kusząca i lubieżna, gdy tego właśnie od niej oczekiwano lub – łagodna i eteryczna, jak w przypadku mecenasa numer dwa, którego żona była prawdziwą heterą, dwa razy większą od niego i dwa razy bardziej stanowczą.

Ale Luiza potrafiła być nie tylko czarodziejką alkowy. Była rozmowna, czytana, miała dobre maniery oraz poczucie humoru i, mimo swojej profesji, sprawiała wrażenie arystokratki, która o świecie i jego zwyczajach wie wyjątkowo dużo. W jej towarzystwie mężczyźni nie mogli się nudzić, zwłaszcza gdy coraz bardziej pachniało wieczorem i zapowiedzią jego atrakcji. Luiza czerpała wiedzę z praktyk miłosnych Bliskiego Wschodu. Oferowała swoim kochankom wymyślne figury, jednocześnie pokazując im, co mają robić, by i ona miała przyjemność z tych zbliżeń. Dla niektórych z nich była to całkowita nowość – do tej pory uprawiali seks z żonami, które albo były tak skrepowane, że w ogóle nie wydawały z siebie żadnego dźwięku, albo miały minę „zrób swoje, byle szybko”. Z Luizą seks był dialogiem, nawet jeśli tylko jedna strona za niego płaciła.

– A gdybym zapragnął rozwieść się z żoną? – spytał ją pewnego wieczoru Leon Kurkiewicz, właściciel sklepu jubilerskiego, którego zawartość przyprawiała o bóle głowy niemal wszystkie warszawskie damy. Uwielbiał kawior skropiony wódką i pijał kawę Marienburger Malzkaffee, po którą jeździł do Malborka.

Luiza zastygła na moment, zastanawiając się nad tym dość nieoczekiwanym pytaniem. Takiego scenariusza nie testowały z Lucyną i doprawdy trudno było ocenić, jakiej odpowiedzi oczekuje jubiler. Może kiedyś rzeczywiście warto przemyśleć taką opcję, ale na dzień dzisiejszy zdecydowanie nie wchodziła ona w grę.

– Masz piękną żonę – zaczęła więc dość ogólnie i w miarę bezpiecznie.

Leon podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

– Ale ona nie jest tobą – wyszeptał, czując, że chyba zostanie jeszcze godzinę.

– Pamiętaj, że kiedy będziesz miał mnie na co dzień, stanę się dla ciebie tylko kolejną błyskotką z twojej kolekcji – powiedziała z uśmiechem, oddając jednocześnie pocałunek i opuszczając na podłogę muślinową koszulkę, czym doprowadziła jubilera do pisku zachwyty.

Mężczyznami zaskakująco łatwo dało się sterować. Wystarczyło spełniać ich łóżkowe oczekiwania, nie mówić za dużo i broń Boże nie narzekać. W zasadzie doskonale ich rozumiała. Nie przychodzili do niej po to, by dyskutować o problemach w związku czy wysłuchiwać uwag na temat dzieci, sąsiadki lub niesmacznego obiadu, który ugotowała gospoia. Chcieli relaksu. Uśmiechu i zrozumienia. Chcieli dobrego seksu z atrakcjami i kobiety zadowolonej z życia. Leon Kurkiewicz też w końcu doszedł do takiego wniosku i sam oznajmił:

– Masz rację. Tobie też mogłyby się w końcu znudzić te wszystkie błyskotki, które ci przynoszę.

Tu akurat nie miał racji.

Błyskotki nie były do podziwiania, noszenia i zachwywania się nimi. Stanowiły inwestycję.

Luiza stanęła przed nim w tak kuszącej pozie, że jubiler przedłużył pobyt o kolejną godzinę i sam pękał z dumy, że po raz kolejny podołał zadaniu. Było to warte kolii wykonanej ze srebra i złota wraz z oprawionymi dwudziestoma siedmioma naturalnymi diamentami o łącznej masie około dwóch i sześć dziesiątych karata, w kształcie rozety antwerpskiej i rautu.

– Barwa I-J czystość SI. Największy diament ma wymiary pięć przecinek zero osiem na sześć i pół milimetra! – wykrzyczał jubiler Leon na trzy sekundy przed spełnieniem.

KIRA

Rozdział czternasty

– Jak mogłaś? – syczał do słuchawki. – Jakim prawem zadzwoniłaś do mojej żony?

Kira siedziała właśnie w pracy i przygotowywała szczegółowe odpowiedzi na temat rodzajów cebul oraz ich zastosowania, kiedy na wyświetlaczu telefonu pojawił się nieznany jej numer. Gdyby wiedziała, że dobija się do niej facet, który nazwał ją dziwką, pewnie w ogóle by nie odebrała, ale ponieważ jego numer wykasowała dość dawno, kompletnie wyleciał jej z głowy.

– Sekundę – przerwała mu na moment. – Szalotka jest podłużna i ma delikatny różowy kolor. Bardzo soczysta i jednocześnie łagodna w smaku. Jadalny jest również szczypior – wymruczała pod nosem, szybko zapisując tekst w komputerze.

– Słucham? – Głos po drugiej stronie najwyraźniej się zagotował. – To ja do ciebie dzwonię, a nie ktoś poszukujący warzywnych porad!

– Przepraszam, nie bardzo zrozumiałam kto. – Kira z przyjemnością cedziła słowa.

– Ja!

– Czyli?

– Przemysław, do kurwy nędzy!

– A coś nas jeszcze łączy, że dzwonisz do mnie w porze pracy? – zapytała grzecznie.

– A i owszem! Zemsta! Nie wiem, jakim prawem zadzwoniłaś do mnie, a właściwie do mojej żony, i zaczęłaś coś bredzić o moich bokserkach, ale nie ujdzie ci to na sucho!

– Prawem dziwki, zapewne – powiedziała sucho.

Przemysław zafurkotał dziwnie, zapowietrzył się również na moment, a potem zaczął wypluwać z siebie kolejne oskarżenia.

– Zemszczę się! Oko za oko! Nie wiem w ogóle, jak mogłem na ciebie spojrzeć! Na kogoś tak wyrachowanego i pozbawionego uczuć!

Kira zdumiała się. Ona była wyrachowana i pozbawiona uczuć? Być może, ale Przemysław zdecydowanie bardziej pasował do tego opisu.

– Czy ty, tańcząc przede mną na golasa i prosząc, bym się w twoją stronę wypinała, piszcząc jak kurczaczek, nie byłeś choć odrobinę wyrachowany w stosunku do własnej żony? Albo wtedy, kiedy nazwałeś ją uśpioną klaczą?

– Ty, ty... – facetowi najwyraźniej zabrakło argumentów albo po prostu na chwilę się zaciął.

– Nie dzwoń do mnie więcej. I podaruj żonie pierścionek z rubinem, podobno lubi czerwony kolor. Tylko nie mów jej, że ci go oddałam, mogłaby poczuć się urażona – syknęła złośliwie i przerwała połączenie.

Wzięła głęboki oddech i wróciła do pracy.

– Idiota – powiedziała jeszcze, spojrzała w ekran i napisała: „Cebula płaska. Znana jest przede wszystkim we Włoszech (Cipollino) – wyglądem przypomina zwyczajną białą cebulę, lekko spłaszczoną od dołu. Idealnie nadaje się do potraw duszonych”.

Ten kretyn też był jak cebula. Zbyt długie przebywanie w jego obecności kończyło się szczypaniem w oczy i bólem głowy od nadmiaru olejków lotnych. A każda kolejna warstwa odsłaniała jego buco-waty charakter i cechy emocjonalnej pijawki. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Gość pasował do masochistek skłonnych do samoudręczania się, a nie do normalnej, ładnej kobiety, która mogła mieć w zasadzie każdego.

Pokręciła głową. Co jej się stało? Wrodzona czujność uległa magii drogich prezentów i błyszczących świecidełek? Przecież nie musiała ich mieć. Spotykała się z facetami nie po to, żeby zarabiać na życie, tylko żeby się dobrze bawić. Smakować różnych potraw i kolekcjonować komplementy jak inni znaczki, pocztówki czy też winylowe płyty. Na szczęście to już przeszłość. Dobrze, że inni mają na tyle taktu, żeby jej nie zamęczać jakimiś wyrzutami. Nawet Jan odrobinę się uspokoił. Zajrzał do niej wczoraj i rzucił mimochodem:

– Będę na tych urodzinach Majki. Przyjdę ze swoją dziewczyną – dodał nie bez dumy.

– Wybaczyła ci w końcu? – zapytała Kira, bacznie go obserwując. Jan bowiem przyznał się do romansu (na szczęście nie zdradził, z kim go skonsumował) i zanim zdążył powiedzieć „przepraszam”, już wyleciał za drzwi, a potem kolejno jego osobiste rzeczy, łącznie z misiem, którego dostał na czwarte urodziny.

Najwyraźniej jednak dziewczyna została zmiękczone albo uznała, że dzięki tej zdradzie będzie mieć nad nim przewagę do końca życia.

– Tak – rozpromienił się Jan. – Ślub jeszcze w tym roku!

Cudownie. Czyli złowiła niewiernego Tomasza. Wcześniej jakoś nie kwapił się do ożenku, teraz najwyraźniej został przyciśnięty do muru. W zasadzie to dziewczyna Jana powinna jej podziękować. Czasem romans okazuje się motorem napędowym do działań, o których wcześniej nikt nawet nie myślał. I zamiast burzyć – scala, choć trudno jest racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje.

Na urodziny niosła ją szczenięca i dość egzaltowana radość, że znowu się spotkają. Co prawda, widziała go jeszcze dwa razy, ale z ukrycia. Schowała się w maleńkiej cukierni Pralinka blisko uczelni i siedząc przy oknie, obserwowała zza firanki ulicę. No i udało się. W zasadzie wszystko jej się w nim podobało. To jak chodzi, jak odgarnia z czoła włosy, jak uśmiecha się do przypadkowych osób, tylko dlatego, że spotkał się z nimi wzrokiem, jak poprawia torbę na ramieniu i jak pije kawę z kubka. Zachwywanie się takimi drobiazgami było dość zenujące, ale Kira doszła do wniosku, że raz w życiu można sobie przecież pozwolić na odrobinę obciachu. Zwłaszcza że tylko ona o nim wiedziała. Nie umiała sama przed sobą wytłumaczyć, dlaczego nie potrafi tak po prostu podejść do niego i zaprosić go na kawę. Umiała czytać w twarzach innych osób i była absolutnie przekonana, że w jego oczach również zobaczyła zainteresowanie. A jednak bała się, że mógłby odmówić.

Wykręcić się brakiem czasu albo po prostu zwyczajnie powiedzieć „nie”. Wiedziała, że tym razem nie wystarczą zwykłe sztuczki, ani nawet wprowadzenie w życie porad Eugeniusza, tutaj musiało zagrać coś zupełnie innego. Kordian powinien jej pragnąć. Myśleć o niej i być przekonany, że to kobieta jego marzeń. Nawet jeśli jedną już miał. Musiała zarazić jego myśli, sprowokować do przywoływania obrazów z jej udziałem. Zawładnąć jego wyobraźnię do tego stopnia, żeby poszczególne kolory, smaki czy też przedmioty kojarzyły mu się właśnie z nią. Trochę martwiło ją, że nie szukał z nią kontaktu. Mógł przecież zapytać Majkę... Najwyraźniej był bardzo nieśmiały i nie wierzył, że ktoś taki jak Kira mógłby się nim zainteresować.

Na przyjęcie przyszła spóźniona piętnaście minut. I natychmiast zdobyła całą przestrzeń. Goście kupili ją od razu, patrząc z zachwytem na tę śliczną dziewczynę w prostej bordowej sukience, z delikatnie wyciętym dekoltem oraz odsłaniającą zgrabne nogi. Choć tylko do kolan.

„Nie pokazuj od razu wszystkiego! Niech sobie to wyobrażą. Twoje nogi, twoje uda, pupę. Niech chcą wiedzieć więcej, a jednocześnie czują się podrażnieni, że tak dużo zasłaniasz” – w głowie dźwięczały jej słowa Eugeniusza Kozłowskiego, mistrza kokieterii.

Włosy upięła w niedbały kok, kilka pasemek wyslizgnęło jej się przy uchu i na karku, tworząc przyjemny bałagan. Założyła delikatne kolczyki w kształcie półksiężyca i identyczną zawieszkę na złotym łańcuszku. Zrezygnowała z pierścionków i bransoletek. Jej cera była delikatnie zarumieniona, a rzęsy podkreślone ciemnym tuszem. Usiadła na wolnym krześle między dwiema innymi kobietami i mimochodem rozejrzała się wkoło, uśmiechając się do wszystkich na powitanie.

Był.

Siedział naprzeciwko niej, odrobinę po skosie. Skinęła głową i zastanowiła się, czy sąsiadki po prawej i lewej słyszą, jak łomocze jej serce. Raz jeszcze rzuciła okiem w jego stronę, szukając Anny od kłamstwa. Ale po jednej stronie siedział jakiś facet z kozią bródką, a po prawej trochę starsza kobieta, dość sympatyczna z wyglądu, ale w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Nie była blondynką i nie miała zielonych oczu. Nie mogła być Anną. Kira zatrzymała na moment wzrok na twarzy Kordiana i policzyła w duchu:

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... wystarczy. Powoli mrugnęła rzęsami.

A potem leniwie przeniosła wzrok na swoją sąsiadkę, która proponowała jej białe wino.

– Tak, chętnie.

Jadła niewiele, bo ściśnięty żołądek nie pozwalał jej niczego przełknąć. Ale może to lepiej. Przy najmniej nie będzie pachnieć duszonym królikiem ani pieczonymi burakami. Każdy facet woli, aby kobieta kojarzyła mu się z delikatnym aromatem perfum niż ostrym zapachem dziczyzny. Kiedy jednak przynieśli krewetki, postanowiła trochę się zabawić. Były częściowo obrane, z pancerzykiem na ogonie, za który łatwo było chwycić. Kira zanurzyła ciepłą krewetkę w roztopionym maśle i apetycznie ją oblizwała. Odgryzła kawałek mięsa, a potem wyssała sok z ogonków. Pozwoliła, żeby sos przeciekał jej przez palce i brudził ręce. Była przy tym tak kusząca, że większość mężczyzn przy stole zapatrzyła się na jej usta i odruchowo przelykała ślinę. Najbardziej zaś Jan, który o mało nie zakrztusił się winem i nie opluł swojej narzeczonej. Ciekawe, czy znowu mu wybaczy?

Kira przerwała swoją krewetkową ucztę, obdarzyła wszystkich błękitno-brązowym spojrzeniem, a potem wstała, przeprosiła i zniknęła w łazience. Dokładnie umyła ręce i wyszorowała zęby (szczoteczka w damskiej torebce to absolutny numer jeden w dzisiejszych czasach). Poprawiła makijaż, przeciągnęła usta błyszczakiem i spryskała się mgiełką o zapachu zielonej herbaty.

Uśmiechnęła się do siebie. Zabawa w skojarzenia musiała się udać. Teraz, kiedy tylko Kordian zobaczy krewetki, natychmiast przypomni mu się Kira i jej błyszczące usta. Zakotwiczenie emocji, tak to chyba nazywał Eugeniusz.

Postanowiła nie podchodzić do niego od razu, ale przebywać stale na linii jego wzroku. Rozmawiać z innymi, śmiać się i od czasu do czasu spojrzeć w jego kierunku zupełnie mimochodem. Być w pobliżu, a jednak nie do końca dla niego.

– Bardzo ci dziękuję za cudowny prezent. – Majka pojawiła się z malinowym sernikiem na talerzyku i puściła do niej oko. – Co prawda, nie wiem, czy odważę się je założyć, ale są tak piękne, że przynajmniej spróbuję.

Stringi.

No dobrze, są kobiety, które noszą wyłącznie taką bieliznę (choć nie powinny) i takie, które zdecydowanie wolą bawełniane majteczki w języki. Są też faceci, których kręci zarówno jeden, jak i drugi rodzaj bielizny, choć to pewnie zależy od jakości i jędrności pupy. Kira nosiła to i to. Na co dzień zwykle czarne majtki biodrówki, na wielkie wyjścia stringi. Ale nie takie tandetne ze śliskiej i byle jakiej koronki, tylko naprawdę ekskluzywne, szyte w Szwajcarii na zamówienie, z najlepszej jakości materiału i delikatną biżuterią. Majka była szczerze zachwycona. Złote majteczki wyglądały niezwykle kusząco, co chyba również zauważył Kordian, który nagle do nich podszedł. Kira udała, że go nie widzi i zanim zdążył się do niej odezwać, powiedziała:

– Mam dzisiaj takie na sobie i wierz mi, są naprawdę bardzo wygodne.

A potem niby przypadkowo zauważyła, że ktoś jeszcze przy nich stoi i pozwoliła policzkom odrobinię się zarumienić. Skojarzenie numer dwa. Jeśli on zobaczy stringi (choćby na wystawie w sklepie z bielizną), od razu przypomni sobie, że Kira takie nosi. I nawet jeśli nie zawsze to działało i nie na wszystkich facetów, ona była przekonana, że przynajmniej jakiś promil jej starań pada właśnie na podatny grunt. Nasionko potrafi wykiełkować nawet na pustyni, jeśli wyczuwa obietnicę wody.

– Może dzisiaj będziesz mieć więcej czasu? – spytała chwilę później, kiedy kelnerzy uprzątnęli talerze i rozsunęli stoły. Teraz atmosfera zrobiła się znacznie luźniejsza. Goście zbierali się w małych grupkach, stojąc, kołysząc się w rytm muzyki lub siadając przy mniejszych stolikach.

– Przepraszam, naprawdę spieszylem się wtedy na zajęcia – wyjaśnił, od razu rozumiejąc, co miała na myśli.

Nie odpowiedziała, patrząc na niego intensywnie.

Niepokoił go ten wzrok, a raczej to, co z nim wyprawiał. Poczuł, że wpada w jakąś pułapkę. Początkowo cieszył się, że Anna nie mogła z nim przyjść, teraz żałował, że jej tu nie ma. Zadziałałaby jak bufor i ustabilizowała emocje. Bez sensu. Kordian nigdy nie przepadał za nieprzewidywalnością

zdarzeń. Był człowiekiem z natury spokojnym, który kochał baśnie i mity, ale niekoniecznie chciał, żeby wydarzyły się naprawdę. Po dwóch godzinach na urodzinach Majki poczuł nagle, jak dopada go monachopsis, uporczywe poczucie, że nie jest na swoim miejscu. Że nie powinno go tu być, że jest jak ryba wyjęta z wody. Z jednej strony chciał ciągle patrzeć na Kirę, z drugiej zaś nie potrafił się na niczym skupić. Świat, w którym do tej pory żył, był gdzieś obok. Bezpieczny, spokojny, z kochającą Anną. Ale przecież nie mógł tak po prostu wyjść. I to spojrzenie! Niczego nie obiecywało, a jednak zatrzymywało się na nim dłużej niż na innych facetach. Którzy, nota bene, patrzyli na Kirę niemal bez przerwy.

O, znowu jakiś podchodzi.

– Muszę przyznać, że ta sukienka jest dla ciebie stworzona – wybełkotał Jan, spoglądając na Kirę jak dziecko na świąteczną ozdobę. Ileż w tym było pragnienia, żeby choćby jej dotknąć i zobaczyć swoje odbicie w złocistej bombce.

Przejechała po nim wzrokiem tak szybko i niedbale, jakby był powietrzem.

– I stworzone są też te kolczyki. Oraz naszyjnik. – Jan najwyraźniej tracił resztki męskiego honoru, ale kompletnie się tym nie przejmował. – Tęsknię, zwłaszcza nocami – rzucił na końcu i schował się we własnych ramionach.

O, nie. Kira przygryzła wargę. Ten pajac nie miał prawa dawać Kordianowi do zrozumienia, że kiedykolwiek coś ich łączyło. Odsunęła się więc od niego i powiedziała głośno:

– Nocą myśli i marzenia często zrywają się ze smyczy. Ale nie zawsze trafiają do celu.

Kordian uśmiechnął się do niej i wziął głęboki oddech:

– Szkoda, że znowu musimy się pożegnać.

Kira spojrzała na niego zdumiona. Dlaczego? Coś zrobiła nie tak?

W jej oczach pojawił się wielki znak zapytania.

– Boję się, że przyzwyczaję się do czegoś, co nie jest moje – powiedział, tylko teoretycznie bez związku, a potem pocałował ją w policzek na do widzenia.

Przytuliła się do niego na moment całą sobą, żeby ją poczuł i żeby zapamiętał. I żeby przez głowę przebiegła mu myśl, że jednak to mogłoby być jego.

Wyszedł z restauracji i uderzył się dłońmi w twarz.

– Kurwa, chłopie.

Przechodzący obok starszy pan zatrzymał się na moment i powiedział:

– Kurwa, co za młodzieź.

LUIZA

Rozdział piętnasty

To była zwykła środa. Słońce dość ostrożnie przebijało się przez chmury, nie do końca pewne, czy ma ostro zaświecić, czy raczej pospać jeszcze przez jakiś czas. Wiatr drzemał w liściach drzew i drzemała też Lucyna, z lewą ręką podłożoną pod policzek.

Luiza włożyła prostą niebieską sukienkę, umyła twarz zimną wodą i na moment znowu stała się Kwiryną. Tyle że bardziej bladą niż zazwyczaj i z dziwnym uczuciem ściśniętego żołądka.

– Lucyna, ze mną dzieje się coś niedobrego – powiedziała cicho i schowała twarz w dłoniach.

Miała nadzieję, że koleżanka się nie obudzi, że nie trzeba będzie rozmawiać, przyznać się i zaraz potem umrzeć ze strachu, że słowa wyleciały już na wolność i że nie da się cofnąć czasu.

– Co jest? – Lucyna niemal natychmiast usiadła na kanapie i przetarła oczy. Była okropnie niewyspana. Kanapa w pracowni Madame Helene zdecydowanie nie należała do najwygodniejszych, a tak się jakoś ostatnio składało, że Lucynie nie dane było nocować we własnym mieszkaniu. Na dodatek wczoraj wieczorem zjawił się ich dawny szantażysta, a kiedy mu otworzyła, od razu wyciągnął łapy w jej kierunku.

– Wynoś się, bo wezwę policję – wyrwała mu się i spojrzała odważnie.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Ty wezwiesz policję? Proszę bardzo! Przyszedłem po kolejny tysiączek. Tamten jakoś dziwnie szybko mi się skończył.

Lucyna założyła ręce i wytrzymała jego paskudne spojrzenie.

– Nie dostaniesz. Podpisałeś.

– Ha, ha! I co? Komu pokażesz to pokwitowanie?

– Policji. Podpisałeś nie tylko pokwitowanie, ale także oświadczenie, że byłeś świadkiem przestępstwa, ale za pieniądze zdecydowałeś się milczeć. To było na tej drugiej kartce. A wiesz, co to oznacza? Że nas kryłeś. I szantażowałeś, choć twoim zasranym obowiązkiem było o wszystkim donieść policji. I jeszcze jedno. Niech mi tylko włos z głowy spadnie, a oświadczenie samo znajdzie drogę na posterunek. A jeśli na nas doniesiesz, pociągniemy cię za sobą.

Trzy sekundy później faceta nie było, choć wcześniej jeszcze udało mu się zamachnąć i prawie uderzyć Lucynę. Na szczęście w porę uskoczyła. Położyła się jednak spać dopiero o trzeciej nad ranem, cały czas nadśluchując, czy ktoś nie dobija się do ich mieszkania.

Ziewnęła teraz, potarła oczy i spojrzała pytająco na Kwirynę.

Nie mogły sobie pozwolić na żadną chorobę. W przyszłym tygodniu mała miała wyjechać z mecenasem Litoszką na trzydniowy urlop, a w dniu jutrzejszym była umówiona na kolację z doktorem

Madejskim, który płacił jej ostatnio podwójne stawki. I przysłał futro ze srebrnych lisów, którego z początku obie nie ośmieliły się dotknąć. Boże, jakie ono było miękkie. Jakie puszyste i jak potwornie drogie.

– Boję się powiedzieć...

Lucyna podeszła do Kwirynty i stanowczo podniosła jej twarz. Spojrzała w dwukolorowe tęczówki, które powoli wypełniały się łzami, i spytała:

– Chyba się nie zakochałaś? Ty wiesz, że w tej branży to po prostu absurd. To w ogóle jest absurd, a już tym bardziej dla ciebie.

Kwiryna pokręciła przecząco głową.

– Gorzej – szepnęła.

– No mów wreszcie, nie pomogę ci, dopóki nie będę wiedzieć.

Dziewczyna wytarła nos chusteczką i chwyciła się za brzuch.

– Ja... ja chyba będę miała dziecko.

Lucyna w ostatnim momencie złapała oparcie krzesła, w przeciwnym razie runęłaby na ziemię.

– Jesteś w ciąży? Na miłość boską, z kim?

Kwiryna wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Z jednym z moich sześciu klientów zapewne – dodała nieco sarkastycznie.

– Od kiedy wiesz?

– Podejrzewam od kilku dni. Niedobrze mi i czuję, że coś mam w brzuchu. Na początku myślałam, że się czymś strułam, ale to nie to. Wiem, że tam siedzi dziecko.

– Przecież się zabezpieczałaś!

Kwiryna postanowiła więcej nie powstrzymywać łez, tylko zalać się nimi raz a dobrze, jak gdyby miały one wypłukać z niej cały ten strach i niepewność jutra.

– Tak... Ale pamiętasz, co mówiła ta lekarka. Skuteczność wynosi jakieś siedemdziesiąt procent. Zalecała też dodatkowo stosować kalendarzyk, ale ja przecież nie mogłam. Nie w tym zawodzie.

Lucyna usiadła ciężko na krześle i zaczęła nerwowo pocierać dłońią usta.

– Który to miesiąc?

– Nie wiem. Nie znam się zupełnie na tym.

– A te dni kiedy miałaś ostatnio?

– Nie pamiętam.

– Kwiryna, do diabła, nie znasz swojego ciała? Przecież musisz wiedzieć, kiedy masz krwawienia. Dobra, nie ma co dyskutować, jedziemy do doktorki, ona nam wszystko dokładnie wyjaśni. Może jeszcze nie jest za późno.

– Na co?

Lucyna nie odpowiedziała. Co za absurdalna wpadka. I to właśnie teraz, kiedy interes zaczął tak dobrze się rozkręcać.

Doktor Stefania przyjęła ich na szczęście u siebie w gabinecie, choć początkowo proponowała, żeby przyjechały do Szpitala Ujazdowskiego. Lucyna uprosiła ją jednak o prywatną wizytę, obiecując dwukrotne wynagrodzenie za pracę po godzinach. Po półgodzinnym badaniu doktor Stefania zdjęła okulary i spojrzała na obie kobiety.

– Na moje oko to będzie czwarty miesiąc. Może dalej.

– Jak to dalej? – Lucyna zasłoniła sobie usta ręką.

– Brzuszek się wyraźnie zaokrąglił, piersi również są bardziej jędrne i sutki pociemniały. Masz nudności?

Kwiryna kiwnęła głową.

– Miałam, ale już mi przeszły. Myślałam wtedy, że zjadłam coś nieświeżego.

– A krwawienie kiedy ostatnio miałaś?

– Nie pamiętam. Ale coś było na pewno, bo potrzebowałam waty...

Doktor Stefania pokiwała głową.

– Mogłaś być już w ciąży i mieć plamienia. Zdarza się.

Lucyna przełknęła ślinę i odważnie zadała pytanie:

– A czy można jeszcze... no wie pani... spędzić płód?

Kwiryna spojrzała na nią z przerażeniem.

– Jak to spędzić?

Doktor Stefania pokręciła przecząco głową.

– Moim zdaniem jest za późno. Oczywiście zawsze znajdzie się jakiś partacz i oszust, który brudnymi narzędziami wyciągnie z ciebie dziecko, ale nie gwarantuję, że przeżyjesz taki zabieg.

– A w szpitalu? – spytała Lucyna.

– Nie. Ta ciąża powinna się zakończyć porodem. Jeszcze miesiąc temu istniała jakaś szansa, ale teraz płód jest zbyt duży.

Kwiryna odgarnęła z czoła włosy i spojrzała gniewnie na Lucynę.

– I tak bym tego nie zrobiła. To moje dziecko i mój brzuch. Urodzę.

– A kto wychowa? – spytała retorycznie Lucyna.

Doktor Stefania doszła do wniosku, że dalszy ciąg tej rozmowy już jej nie dotyczy, i zaproponowała dokończenie konwersacji na zewnątrz.

– Z mojej strony polecam nosić pas ciążowy, który podtrzymuje macicę, dobrze się odżywiać i nie przemęczać. Nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, nie pić alkoholu i chodzić wcześniej spać – powiedziała jeszcze, skasowała należność i starannie zamknęła drzwi za dwiema kobietami, z których jedna była w ciąży, a druga najwyraźniej chciała ten stan zmienić.

– Przeraża mnie twoja niefrasobliwość – odezwała się Lucyna po dwudziestu minutach marszu w całkowitym milczeniu.

Kwiryna przystanąła na moment.

– To nie moja wina. Zabezpieczałam się jak mogłam, najwyraźniej coś nie zadziało. I nie wiedziałam wcześniej, że jestem w ciąży, bo nie znałam tego uczucia.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że ci niedobrze?

– Myślisz, że od razu byś się zorientowała, że to ciąża?

– Nie wiem. Może. Teraz to pozostaje nam tylko gdybanie. I pytanie, czy informujemy przyszłego tatusia.

– Którego?

Lucyna złapała się za głowę.

– Najgorsze jest to, że żaden nie będzie zachwycony. Co innego noce z tobą, co innego prezenty, ale dziecko? Przecież każdy z nich ma rodzinę i pewnie wyprze się znajomości z tobą przy pierwszej lepszej okazji. Nie po to ma się kochankę, żeby wachać pieluchy.

Kwiryna pomyślała, że w tym akurat Lucyna może mieć dużo racji. Mężczyźni, z którymi się spotykała, cenili ją głównie za to, że czuli się przy niej swobodnie, beztrosko i nie mieli żadnych zobowiązań. Nigdy o nic nie prosiła, nigdy niczego się nie domagała. Była kobietą idealną. Piękną, seksowną, wolną i bez kaprysów. Nie tupała nogą, nie miała fochów, nie obrażała się. Kusząca, zjawiskowa i nietrzaskająca drzwiami.

Nic dziwnego, że zarzucali ją prezentami, że robili wszystko, by przynajmniej raz w tygodniu móc się z nią spotkać.

Ale dziecko?

Jeśli tylko wspomni o dziecku, wszyscy jej adoratorzy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pozostanie po nich zapach, kilka banknotów, biżuteria i geny. Pytanie tylko którego. A jednak Kwiryna czuła, że musi urodzić to dziecko. Nawet gdyby doktor Stefania uznała, że płód jest na tyle mały, że można go usunąć bez ryzyka zagrożenia życia matki, ona nigdy by się na to nie zgodziła. To było jej dziecko. Jej krew, jej ciało, jej geny. Mała istotka, która kompletnie nie miała wpływu na to, że nagle pojawiła się w brzuchu Kwiryny.

Luizy?

– Dobrze, najważniejsze to zachować spokój. – Z galopujących myśli wyrwał ją rzeczowy głos Lucyny. – Mamy zaoszczędzone trochę pieniędzy, mamy sporo biżuterii, którą w najgorszym razie sprzedamy. To pozwoli nam przetrwać okres, kiedy nie będziesz mogła zarabiać. Pytanie co dalej?

Kwiryna usiadła na murku.

– Pojadę do matki.

Lucyna spojrzała na nią pytająco.

– Po co?

– Tam urodzę. Wtedy nikt się nie dowie, a po wszystkim wrócę do Warszawy.

– Z dzieckiem?

– Nie wiem.

– A teraz?

– Myślę, że jeszcze miesiąc, może dwa uda mi się wszystkich oszukać. Trochę się zaokrągliłam, ale nocami tego nie widać. W przyszłym tygodniu pojadę na tę wycieczkę z mecenasem Litoszką i postaram się być tak miła, że może sypnie większym groszem.

– Potrzebujemy większego mieszkania. Albo przynajmniej drugiego dla mnie – zauważyła Lucyna. – Madame Helene pozwala mi wprawdzie nocować w pracowni, kiedy tylko chcę, ale to trwa już rok. Moje plecy dłużej tego nie wytrzymają.

– Wiem. – Kwiryra spuściła wzrok. Co prawda, spotykała się od czasu do czasu ze swoimi klientami w hotelowych pokojach, ale to było tylko wtedy, gdy gdzieś razem wyjeżdżali. Pomysł z własnym pokojem hotelowym w Bristolu czy Europejskim zdecydowanie nie wypalił, wszyscy panowie byli wręcz zachwyceni faktem, że ich kochanka posiada własne mieszkanie, w dobrej dzielnicy, gdzie mogą ją odwiedzać, kiedy tylko chcą. Żadnych świadków, żadnych pokojówek, szwajcarów ani recepcjonistów, którzy potrafią milczeć tylko wtedy, gdy ktoś im za to zapłaci. W tej sytuacji Lucyna niejako straciła dach nad głową. Dogadała się wprawdzie z Madame Helene, która wynajęła jej pokój przy pracowni, ale to jednak była tylko namiastka mieszkania. Pieniądzy z jednej strony im nie brakowało, z drugiej jednak rozchodziły się wyjątkowo szybko. Nowe suknie, nowe buty, kosmetyki, fryzjer, zainwestowały też w remont łazienki oraz nowe meble. Mieszkanie przy Marszałkowskiej wyglądało coraz bardziej luksusowo, ale tak naprawdę było głównie mieszkaniem Luizy, która niemal wszystkie noce miała zajęte. Odmawiała tylko wtedy, gdy dolegały jej „te dni” lub potrzebowała odpoczynku, by odrobinę się zregenerować.

To był ciężki kawałek chleba, okupiony rezygnacją z własnego ja i chowaniem się za maską zupełnie innej kobiety. Nie było w nim miejsca na smutek, łzy, gorsze dni czy nawet zwykłą migrenę. Luiza musiała być perfekcyjna o każdej porze dnia i nocy. Musiała się uśmiechać, być zalotna, kusząca i zawsze gotowa na seks. Czasem zdarzały jej się dni, kiedy wkładała prostą białą sukienkę, buty na płaskim obcasie, włosy związywała w kucyk, rezygnowała zupełnie z makijażu i po prostu szła na spacer, nie przykuwając większej uwagi. Szła na Pragę, gdzie kupowała czekoladki Wedla, a potem ze smakiem zajadała pralinki nadziewane orzechami i karmelem, ciesząc się jak dziecko, że stać ją na takie przysmaki. Czasem jeździła bryczką, a czasami spacerowała po prostu nad Wisłą i wystawiała twarz do słońca, choć Lucyna zawsze jej tego surowo zabraniała. Kiedy nadchodził wieczór, odwieszala swoją beztroską i ciągle młodzieńczą radość do szafy, wkładała elegancką suknię, pudrowała twarz, malowała oczy i usta, i przyoblekała słynne uwodzicielskie spojrzenie, w którym odbijały się zachwycone spojrzenia mężczyzn.

Ale nie mogła narzekać. Za swoją pracę dostawała naprawdę sowite wynagrodzenie, które od czasu do czasu wysyłała matce, prosząc jednak, by na razie nie przyjeżdżała w odwiedziny.

„Muszę się tu do końca urządzić. Przyjedziesz na gotowe” – pisała w liście, ale kiedy matka skwapliwie na to przystawała, było jej jakoś przykro.

– To dobrze, że nie chce przyjechać. Co jej powiesz wieczorem, kiedy zobaczy cię wystrojoną i umalowaną? Jest dobrze, jak jest – tłumaczyła jej Lucyna.

Było. Ale to jednak matka i mogłaby przyjechać ot tak. Żeby zobaczyć, czy z jej córką wszystko jest w porządku i czy jej czegoś nie brakuje. Pogłaskała się po brzuchu i przez moment zalało ją przyjemne ciepło. Trochę głupio nie znać ojca swojego dziecka, z drugiej jednak strony nie planowała ani rodziny, ani bycia czyjąś żoną. Więc to będzie tylko jej dziecko. Jej własne.

Taki dodatkowy podarunek od jednego z sześciu możliwych tatusiów.

KIRA

Rozdział piętnasty

Wpadka.

Klasyczna wpadka, bardzo przypominająca scenariusze wenezuelskich seriali. Przyjaciółka przyjaciółki, znajoma znajomej, która znalazła się w odpowiednim miejscu i idealnym czasie. Czysty przypadek, który uruchamia lawinę nieprzyjemnych wydarzeń. Zarazem jednak Kira była zaskoczona, że jej matka zareagowała w tak gwałtowny i niepodobny do siebie sposób.

– Nie pytaj mnie, skąd wiem, po prostu powiedz, że to jakieś nieporozumienie – Kalina dotknęła ramienia córki i zmusiła ją, żeby spojrzały na siebie bez żadnego parawanu, za którym Kira mogłaby się schronić i przemycić jakieś kłamstwo. Tyle że ona wcale nie miała zamiaru kłamać.

Wzruszyła tylko ramionami i powiedziała:

– Tak, mamó. Zdobywam facetów zajętych, żonatych, zaobrączkowanych, dzieciatych lub chociażby obiecanych innej. Oczywiście tylko w teorii, bo praktyka pokazuje, jak szybko zapominają, że mieli kochać na zawsze.

Kalina zaniemówiła. W jej rodzinie już była jedna kobieta, która podobnym zachowaniem nieźle namieszała w życiu swoich bliskich. Tyle że ona chciała po prostu lepiej żyć. Mieć pieniądze, być niezależną.

A Kira?

– A ja przeglądam się w ich oczach i widzę taką ilość zachwyty, że mogłabym nim obdarować miliony niepewnych siebie kobiet. Poza tym raz byłam zakochana, ale facet potraktował mnie tak, że wolałabym zniknąć.

– I teraz się mścisz? – upewniła się Kalina.

Córka skinęła głową i zaczęła bawić się stojącą na stole cukiernicą. Kalina zdecydowanym ruchem odsunęła naczynie, co zaskoczyło nawet ją samą.

Kira cicho się zaśmiała.

– Wiesz, może gdybyś była, kiedy cię potrzebowałam, umiałabym sobie poradzić z takimi sytuacjami. Może gdybyś wytłumaczyła mi, że zemsta nie jest żadną metodą, odpuściłabym sobie. A gdybyś jeszcze dodatkowo trochę częściej mnie chwaliła, zrezygnowałabym z jednego czy drugiego faceta. Ale najwyraźniej potrzebuję silnej dawki pochlebstw.

– Nie chciałam...

– Tak, wiem. Nie chciałaś ingerować w moje życie, więc do tego stopnia przestałaś mnie zauważać, że już w wieku pięciu lat musiałam sama za siebie decydować. I mówić do lustra – „jesteś śliczną, małą królowną”. Z jednej strony nałykałam się tej samodzielności więcej niż twojego mleka,

z drugiej zaś ciągle nie wiem, czy jesteś ze mnie zadowolona. To znaczy, teraz pewnie nie, ale mówię tak ogólnie. Teoretycznie powinnam mieć to w dupie, a mimo to chciałabym wiedzieć. Dziwne, jak bardzo dzieciom zależy na ocenie rodziców, prawda? Nawet wtedy, kiedy są już dorosłe i pieprzą się z żonatymi facetami.

Kalina spuściła głowę.

Oczywiście, że nie ma matek idealnych, ale są przynajmniej takie, które próbują. Ona najwyraźniej dała plamy. Zduszona, stłamszona i zaanektowana przez zaborczą Konstancję postanowiła dać swojemu dziecku tyle wolności, ile się da. Ale popełniła zasadniczy błąd. Nie nauczyła Kiry samoświadomości. Nie pokazała jej, co jest dobre, a co złe, nie wychwyciła w porę talentów, nie uświadomiła własnej córki, na czym polega zdrowe, normalne podejście do samej siebie. Nie krytykowała, ale też nie podziwiała. Nic dziwnego, że Kira szukała wsparcia u innych.

Podniosła głowę i powiedziała:

– Nie musisz tego robić. Romans z żonatym facetem to nie tabletki przeciwbólowe dla kogoś, kto nie jest pewien swojej atrakcyjności, tylko niszczenie życia sobie i innym. Nawet jeśli umacniasz w ten sposób wiarę w siebie, to tylko na chwilę. Będziesz żałować, płakać, a w końcu przestaniesz lubić samą siebie.

– Mamo, właśnie palnęłaś mi kazanie. – Kira zaśmiała się.

– Wiem. I masz rację, że powinnam zrobić to dawno temu. Chociażby wtedy, kiedy złapałam cię na paleniu.

No tak. Miała wtedy trzynaście lat i bardzo podobało jej się, że imponuje dziewczynom ze swojej klasy. Wydawała im się dojrzała, mądrzejsza, bardziej doświadczona. Lubiły ją naśladować. Kiedy nosiła czarne tiulowe spódnice do ciężkich butów, namawiały rodziców, żeby kupili im podobne. Kiedy ścięła po męsku włosy, kilka dziewcząt zrobiło to samo, choć potem łkały żałośnie nad utratą swoich warkoczy. Kira nigdy nie była zbyt pewna siebie, ale nikt się tego nawet nie domyślał. Potrafiła postawić się nauczycielowi, pójść na wagary i wzruszyć ramionami, kiedy ktoś zwracał jej uwagę. Kiedy przyniosła papierosy do szkoły, koleżanki patrzyły na nią z niedowierzaniem.

– Ty naprawdę palisz? – zapytała niemrawa Madzia, która robiła duże oczy nawet na widok cukierka z alkoholem.

Kira tak naprawdę nie paliła, ale lubiła drażnić innych.

Wyciągnęła z pudełeczka cieniutkiego Vouqé'a o smaku miętowym i pomachała nim Madzi przed nosem.

– Palenie papierosów powoduje raka płuc, zawał, udar mózgu oraz miażdżycę – wyrecytowała koleżanka, patrząc na nią z potępieniem.

Wśród innych zaś ciekawość walczyła z niechęcią. Palenie nie było wtedy modne, w mediach pojawiało się coraz więcej kampanii społecznych uświadamiających szkodliwość palenia, a jednak widok Kiry z papierosem wydał im się kuszący. Kiedy Kalina została wezwana do szkoły, po raz pierwszy poczuła, że chyba coś poszło nie tak.

– Pani zdaje się również jest nauczycielką? – Dyrektorka szkoły, do której chodziła Kira, była su-

cha, wąska i bardzo koścista. Sama przypominała wyglądem papieros lub kogoś, kto lubił je bardziej od landrynek.

Kalina przytaknęła nieśmiało, a potem w drodze do domu powiedziała tylko:

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Chyba?

Kira pokręciła z niedowierzaniem głową. Palenie rzuciła już po dwóch tygodniach, ale nie dlatego, że tak właśnie chciała matka. Po prostu nie lubiła swojego nieświeżego oddechu. Tak było w zasadzie ze wszystkim. Jeśli Kira podejmowała jakiegokolwiek decyzje, to tylko dlatego, że sama tego chciała. Nikt niczego jej nie podsuwał, nie sugerował, nie zabraniał lub nie naprowadzał na inną drogę.

– Powinnaś – skinęła teraz głową. – I wtedy, gdy podkradałam ci pieniądze z portfela. Nie były to duże sumy, ale chyba należało jakoś zareagować, prawda? A pamiętasz tę akcję w piaskownicy? Jakiś wredny bachor próbował mi wyrwać wiaderko albo foremkę. Siedziałaś wtedy na ławce i patrzyłaś z przerażeniem, jak sytuacja się rozwija. Postanowiłam ci pomóc, bo sprawiałaś wrażenie zagubionej. Zdzieliłam bachora pięścią i w ten sposób doszliśmy do porozumienia. Tyle że ja miałam wtedy pięć lat, a ty jednak trochę więcej.

Kalina zaczerwieniła się. Kira była zdecydowanie bardziej dojrzała od niej. I odważniejsza.

– To niesamowite, że ktoś taki jak ja ma tak silną córkę – powiedziała w końcu.

– Nie do końca. Romanse z żonatymi to jednak oznaka mojej słabości, sama to zauważyłaś. Tylko nie wiem, czy będę umiała przestać.

– Musisz. Wiem, że trochę za późno na moralizatorskie porady, ale ponieważ nigdy wcześniej ci ich nie udzielałam, uznajmy, że mogę to robić teraz. Odpuść Kira. Dla swojego dobra i dla spokoju tych ludzi, którym robisz tornado w życiu.

Do pokoju wszedł Kosma z małą Heleną na rękach.

Kira rozpromieniła się. Siostra zdecydowanie miała na nią dobry wpływ. Może to przez ten rozspany i pudrowy zapach? A może dlatego, że uśmiechała się na jej widok i natychmiast wyciągała rękę? Kochała ją bezwarunkowo.

– Nie żebym podsłuchiwał, ale to jednak nie są mury więzienne grube na trzy metry – powiedział Kosma i nieśmiało przysiadł na krześle. – Oczywiście, jeśli uznacie, że mam stąd pójść, zniknę niczym trądzik młodzieńczy potraktowany ciekłym azotem, ale jeśli mogę, to chętnie wtrączę kilka uwag od siebie.

Helena zaśmiała się radośnie, najwyraźniej zachwycona słowami swego ojca.

– Widzicie? – ucieszył się. – Ona kocha tembr mojego głosu. Lub po prostu daje wam do zrozumienia, że warto wysłuchać kogoś z boku.

– Słuchajmy zatem – powiedziała Kira i wzięła Helenę na rękę. Przeurocza ciepłota oraz aromat rumiankowej oliwki. To dziecko było absolutnie doskonałe.

Kosma wyprostował się, poszukał wzrokiem Kaliny i odrobinę wsparty jej spojrzeniem oznajmił:

– Wyczytałem gdzieś, i bardzo żałuję, że nie pamiętam autora tego stwierdzenia, że człowiek na-

trafia w swoim życiu na trzy przeszkody – na własne błędy, cudzy egoizm i złośliwe przypadki. Oczywiście towarzyszą temu również inne wydarzenia, ale te trzy utrudnienia mają gigantyczny wpływ na nasze życie. Towarzyszy temu zjawisku pewna niesprawiedliwość – jedni popełniają mniejsze błędy, inni większe, jedni natrafiają na złośliwych trolli i modliszki bez skrupułów, a innym tylko ktoś raz spróbował podłożyć nogę. Jeśli zaś chodzi o przypadki, to te także można podzielić na mniej i bardziej złośliwe.

Kira westchnęła, a Kalina śmiesznie zmarszczyła nos. Najwyraźniej obie nadal nie zrozumiały przesłania lub drugiego dna, które z pewnością miał na myśli Kosma. Helena zaś przysnęła na rękach swojej starszej siostry.

– A czy mógłbyś jakoś nawiązać do mojego tematu? – spytała Kira.

Kosma skinął głową.

– Chodzi o to, żeby nie zwałać winy na innych. Nie zrzucać odpowiedzialności za to, co się robi na tych, którzy nie ułatwili nam życia. Nie uniewinniać się tylko dlatego, że ktoś kiedyś nie pokazał nam właściwej drogi. Twoja mama popełniła sporo błędów, choć wynikały one raczej z jej przeświadczenia, że robi dobrze. Ty z pewnością też natknęłaś się na ludzi, którzy cię skrzywdzili swoim egoizmem, popapranym ego lub zwykłą głupotą. Ale to i tak cię nie usprawiedliwia. Jesteś piękna, mądra i Helena cię ubóstwia. Podobnie jak Kalina, Konstancja, Adam i Józef, a i ja czuję, że mogłabyś być moją córką. Kot Patrycjusz nigdy na ciebie nie fuka, a ludzie zawsze patrzą w twoją stronę z uśmiechem na twarzy. To ty im go ścierasz jak gąbką, bo nie potrafisz zaakceptować faktu, że można cię kochać bez żadnych wielkich powodów. Nie musisz się dowartościowywać, ściągając majtki zajęтым facetom. Nie musisz udowadniać ich żonom, że jesteś lepsza. Czasem ludzie nie mają wsparcia ze strony rodziny, nie dostają w prezencie pozytywnych wzorców i kierunkowskazów na kolejne lata. Ale to nie znaczy, że są słabi. Czy ja mógłbym teraz odwołać się do praw fizyki? – zapytał, przerywając na chwilę i zanurzając palec w cukiernicy, za co oberwał od Kaliny.

– To mi zostało z czasów dzieciństwa – przeprosił skruszony. – Zawsze tak podjadalem babci cukier.

– Fizyki? – upewniła się Kira. – Ależ proszę.

– Otóż moc w fizyce to skalar, czyli pewnego rodzaju wielkość. A siła to wartość wektorowa. Można mieć moc, ale nie umieć jej przemienić w siłę, nadać odpowiedniego kierunku i przyłożenia.

– Czyli, że ja mam w sobie moc? Jak Elza z Krainy Lodu?

– Nie znam – zaniepokoił się Kosma.

– Nie szkodzi, poznasz, kiedy Hela trochę podrośnie. Elza to siła. Znacząca moc. Albo jedno i drugie.

Kosma szybko zapisał coś w swojej komórce.

– Wracając do tematu. Moc ma każdy. Ale nie każdy potrafi przekształcić ją w siłę, stąd tylu na świecie nieudaczników, do których ja również się zaliczałem. Ale poznałem twoją mamę i ona dała mi siłę.

– Mama, serio? – zdziwiła się Kira.

– Absolutnie.

– A czym, jeśli wolno spytać?

– Swoją niepewnością połączoną z silnym pragnieniem bycia pewną siebie. Tym, że sama zmieniła koło w samochodzie. Że przyszła na spotkanie ze mną, odpowiadając na najbardziej kretyńskie ogłoszenie w gazecie, jakie z pewnością kiedykolwiek przeczytała. Że porzuciła z dnia na dzień szarlotkę Konstancji, której smak do dziś mam w ustach. Szarlotki, oczywiście, Konstancja unika bowiem moich pocałunków w dłoń, tudzież policzek. Tym, że zapaliła skręta i zaczęła rozmawiać sama ze sobą, co więcej – zobaczyła siebie siedzącą obok.

– To chyba były halucynacje? – spytała Kira.

Kosma przytaknął.

– Tak, ale jakże inteligentne. Zaimponowała mi. A wcześniej jeszcze poszliśmy razem na cmentarz, na którym straszły nas ponemieckie upiory. I to wszystko dało mi takiego kopa, że mój organizm sam pokonał gościec, który u mnie zdiagnozowano, a który jakoś zamilkł na dobre. Skończyłem też z depresją oraz szamotaniem się w czarnej dziurze rozpacz i poszedłem...

– ... ku słońcu – zakończyła pompatycznie Kira.

Kosma zmieszał się odrobinę.

– Wiem, że to brzmi górnołotnie, ale liczy się efekt. Dlatego moja droga przemysł to wszystko i zastanów się, czy rzeczywiście chcesz całe życie zjadać resztki? Bo moim zdaniem zasługujesz na najbardziej tłustego, skandalicznie drogiego i smacznego homara.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, po raz pierwszy od dłuższego czasu czuła się lekko i jakoś tak spokojnie. Spodobało jej się to, co usłyszała, podobała jej się reakcja mamy i Kosmy, a później złość Konstancji, że przyszła późno i nawet nie zadzwoniła.

– Mieszkamy razem, więc chyba logicznym jest, że się denerwuję. Poza tym od dwóch godzin nie mogę poradzić sobie z jednym hasłem.

Kira zerknęła na krzyżówkę.

– Utrzymanka z kotem?

Konstancja kiwnęła głową.

– Kokota! – zaśmiała się dziewczyna.

LUIZA

Rozdział szesnasty

Pociąg miarowo stukał o szyny, a Kwiryra i Lucyna niemal przez całą podróż nie patrzyły na siebie. Dziewczyna zdecydowała się, że powie matce prawdę, chociaż Lucyna stanowczo jej to odradzała.

– Jak się dowie, że jesteś dziwką, nie będzie chciała wziąć dziecka.

Kwiryra zastanowiła się przez chwilę.

– Wiem, ale muszę jej to powiedzieć. Poza tym mam dla niej trochę pieniędzy, więc myślę, że się zgodzi.

Sama nie do końca była jednak przekonana, jak Kunegunda zareaguje na wiadomość o dziecku, o braku ojca oraz o profesji, jaką zajmuje się jej córka. Trudno było przewidzieć, czy pieniądze, które jej wiozła, zmyją wstyd, niechęć i obrzydzenie. Jeśli nawet prostytutka była czymś normalnym w dużej Warszawie, to niekoniecznie musiała mieć swoich zwolenników w małej miejscowości pod Łodzią.

– Że jak?

Lucyna usiłowała jakoś załagodzić sytuację, ale tu najwyraźniej nie było miejsca ani na niedomówienia, ani jakiegokolwiek odcienie. Kunegunda widziała świat w dwóch barwach – czarnych i białych, a wszystkie dodatkowe kolory istniały tylko po to, by mydlić ludziom oczy.

– Kwiryra jest damą do towarzystwa – Lucyna spróbowała jednak na wszelki wypadek.

– Kurwą jest – sprostowała Kunegunda.

Lucyna wzięła głęboki oddech.

– To nie tak. To chyba zbyt proste określenie...

– Proste? – przerwała jej Kunegunda. – A przepraszam, pewnie się wyraziłam za mało elegancko przed panią z Warszawy. Jest damą lekkich obyczajów – prychnęła i posłała Kwiryri mordercze spojrzenie, pod którym jej córka aż się schowała w sobie.

– Lekkich? – Lucyna nagle podniosła głos. – Gdyby pani wiedziała, ile to wszystko naprawdę nas kosztuje! Ile trzeba wyrzeczeń, ile gwałtów na samej sobie, żeby się z tym pogodzić. To jest najcięższy zawód świata! Najtrudniejszy i najbardziej pogardzany! Łatwo wam wszystkim nas obrażać, rzucać obelgami i oczerniać.

Kwiryra spojrzała na nią z niedowierzaniem. Do tej pory wydawało jej się, że Lucyna widzi tylko końcowy efekt tego biznesu – szeleszczące banknoty, biżuterię, futra, homara i ostrygi na stole. Najwyraźniej jednak doskonale rozumiała, że homar nie zawsze musi niebiańsko smakować.

Kunegunda podeszła blisko Lucyny i wycodziła przez zęby:

– Nikt nikogo nie zmusza do bycia kurwą.

Lucyna ciężko usiadła na krześle i oparła obie ręce o czoło.

– Zajmie się pani dzieckiem? – spytała po prostu.

Kunegunda machnęła w powietrzu ścierką.

– Zajmę. I już ja się postaram, żeby na kolejną kurwę nie wyrosło. Ale będziecie mi płacić. Dziecko niewinne, że ma taką matkę, co nie znaczy, że nie kosztuje. Na kiedy masz termin?

Kwiryna zerknęła do kalendarzyka.

– Za jakieś dwa miesiące, niecałe może.

– Do tego czasu możesz u mnie zostać. Ale po porodzie wracasz do Warszawy. Dzieciaka będziesz odwiedzać, bo ja mu powiem od razu, że jestem tylko babką. I że matka nie mogła się nim zająć.

Kwiryna próbowała coś powiedzieć, ale Kunegunda natychmiast jej przerwała.

– Nie będę kłamać. Dziecko jest twoje, ale ja je wychowam. A kiedyś sama powiesz mu prawdę. Że byłaś damą lekkich obyczajów – dodała ironicznie i natychmiast się poprawiła: – A, nie, przepraszam – ciężkich.

Lucyna tylko pokręciła głową. Niektórzy ludzie są jak mur. Dojdiesz tylko do pewnego momentu, a potem najwyżej roztrzaskasz sobie łeb.

Dokładnie trzydzieści dziewięć dni później na świat przyszła mała, drobna dziewczynka, której Kwiryna dała na imię Konstancja. Kiedy tak leżała ciasno zawinięta w kocyk, poświstując delikatnie przez nosek, Kwiryna mocno ją przytuliła i powiedziała:

– Zawsze będę cię kochać. Tylko czasem miłość jest gdzieś indziej i wtedy myślisz, że ją zgubiłaś. Ale to nieprawda, ona jest i czuwa. Witaj na świecie, maleńka. Oby był dla ciebie dużo miłszy...

Kwiryna wróciła do Warszawy dojrzała, choć z odrobiną naderwanym sercem. Ciężko jej było rozstawać się z Konstancją, ale doskonale wiedziała, że to jedyne i pewnie najlepsze wyjście. Kunegunda wychowa ją na porządnego człowieka. Może zabraknie w tym wszystkim czułych słów, przytulań i pieszczot, ale nie będzie też wstydu. Z sześciu kochanków pozostało pięciu – jeden musiał zrezygnować z usług eleganckiej kurtyzany i to nie dlatego, że chciał. Powodem była równoległa miłość do hazardu, która skończyła się gwałtownie i dość brutalnie. Inżynier przegrał najpierw wszystkie oszczędności, potem dom, a na końcu próbował też zastawić własną żonę, której jednak kasyno nie chciało. Koniec końców odstrzelił sobie łeb i to za namową teścia (byłego wojskowego), który nawet nie zapłakał po zięciu idiocie i nie pozwolił zapłakać córce. Zainteresował się jednak jego rachunkami, które zupełnie przypadkowo znalazł w papierach i które zupełnie nie kojarzyły mu się z własną córką. Futra, naszyjnik pereł, diamentowe kolczyki, siedem wyjazdów do Jastarni, dwa do Zakopanego, kosze kwiatów z kwiaciarni na Nowym Świecie. I ostatni – sprzed pięciu miesięcy: dziewiętnastowieczny medalion-sekretnik z turkusami. Srebro złocone. Masa: osiem i trzyna-

ście setnych grama. Z przodu grawerowany siedzący ptak.

– Dostałaś ostatnio od męża medalion z turkusami? – spytał córkę teść inżyniera, choć w zasadzie znał odpowiedź.

Pokręciła przecząco głową i chlipnęła rozdzierająco, bo przecież była wdową, ale ojciec kazał jej natychmiast przestać się mazać i zdjąć żałobne szaty.

– Daj spokój, lepiej kup sobie coś ładnego. – Wyciągnął zwitek banknotów i klepnął córkę w pośladek. A potem raz jeszcze dokładnie przestudiował wszystkie rachunki.

Nitka sama się rozwinęła, a na końcu jej kłęбка było mieszkanie przy Marszałkowskiej, z piękną i pociągającą Luizą, na widok której teść inżyniera zapalał miłością natychmiastową.

Kwiryna, która znowu stała się Luizą, nie miała najmniejszej ochoty na amory podstarzałego byłego wojskowego, choć ten obiecał jej, że nie ma takiej ceny, której nie byłby w stanie zapłacić za jej zgodę.

– To trochę nie na miejscu, nie uważa pan? W końcu byłam z pańskim zięciem – próbowała odwieść go od tego zamiaru, patrząc z niesmakiem na wystający brzuch i lubieżne spojrzenie adoratora.

– Ale w pani zawodzie nie ma chyba miejsca na słowo „skrupuły”? – spytał w końcu, odrobinę rozeźlony, jako że z odmową spotykał się w swoim życiu dość rzadko. Nawet zięć go słuchał.

Luiza uśmiechnęła się z wysiłkiem i powiedziała:

– Jest miejsce na wszystko. Jak również na wszystko jest czas.

– I odpowiednia kwota?

Luiza nie odpowiedziała. Wiedziała, że z czasem znajdzie sobie kolejnego kochanka, że nie musi się na nic zgadzać. Były kapitan wojskowy Witold Krawiński był ostatnią osobą, z którą miałyby ochotę się spotykać. Miał w sobie coś odpychającego. Jakąś butę, która kazała mu brać wszystko, czego tylko zapragnął, wygłodniałe spojrzenie, którym rozbierał ją podczas zwykłej rozmowy, i starą żonę, z którą rozwiódł się szybciej, niż prawnik zdążył skompletować potrzebne dokumenty. Pojawiał się wszędzie tam, gdzie mógł spotkać Luizę i bacznie ją obserwował. Przesyłał kosze kwiatów, seksowną bieliznę, kulię z granatami, a nawet srebrną paterę firmy Mayerhofer&Klinkosch z tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku.

– Nie wiem, może nie powinnaś aż tak się wahać? – spytała Lucyna, podziwiając te wszystkie prezenty. – W końcu to tylko kolejny klient.

Luiza czuła jednak, że tej granicy nie ma ochoty przekraczać. Do tej pory to ona wybierała swoich kochanków i wiedziała, czego może się po nich spodziewać. Witold Krawiński był jak stary basior, któremu należało się podporządkować. Osaczał ją, obserwował z daleka, zaszczuwał do mysiej dziury.

W końcu, w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, kiedy wracała z zakupów, podszedł do niej pewnym krokiem, przycisnął do siebie i wyszeptał:

– Już niedługo nie będziesz miała wyjścia. Ale wtedy to ja będę dyktował warunki.

A potem wcisnął jej w dłoń małą porcelanową figurkę nagiej kobiety.

Przeraziła się. O wojnie mówiło się coraz głośniejsze, nawet jej dotychczasowi partnerzy mieli mniejszą ochotę na spotkania – wykręcali się brakiem czasu lub koniecznością załatwienia czegoś „co nie dotyczy kobiet”. W końcu dwóch z nich opuściło Warszawę, nie informując Luizy o swoim wyjeździe, a trzeci przyszedł się pożegnać, mówiąc, że spotkają się w lepszych czasach. Miasto pachniało strachem, a ona sama bała się coraz bardziej.

I wtedy popełniła błąd.

Napisała na maszynie list do swojego adoratora, informując go, że mogą się spotkać na kolacji, ale nie u niej w domu, tylko na bardziej neutralnym gruncie. W restauracji Hotelu Europejskiego. Postanowiła, że dokładnie go wybada, zobaczy, co mógłby jej zaoferować i spróbuje jakoś przełamać swoją niechęć. W obliczu wojny musiała jakoś zadbać o swoje interesy, a Witold Krawiński najwyraźniej był skłonny jej pomóc.

Spóźnił się siedem minut. Usiadł naprzeciwko niej i położył dwa listy. Rozpoznała je od razu. Pierwszy napisała do niego kilka dni temu, drugi zaczynał się od słów:

Szanowny Panie,

pewnie nigdy nie doświadczył Pan biedy i zawsze był wystarczająco bogaty, żeby kupić sobie jedzenie. Tak musi być, skoro kupuje Pan również miłość...

Luiza poczuła, jak z twarzy odpływa jej cała krew. To był ten list. I ten adresat, jeden jedyny, który nigdy nie odpisał i nie przysłał pieniędzy.

– Miałaś pecha, kochana. W twojej maszynie nawala literka „k”, która jest dużo jaśniejsza od pozostałych, ale pewnie nie zwróciłaś na to uwagi. Ale mnie jakoś od razu wpadło w oko. Wiesz, czemu wtedy nie odpisałem? Bo bardzo nie lubię, kiedy ktoś wyłudza ode mnie pieniądze. Kiedy daję je sam, to zupełnie co innego – uśmiechnął się obleśnie i pod stołem położył rękę na kolanie Luizy, przesuwając ją coraz wyżej i wyżej.

Zerwała się od stołu i spojrzała na niego z przestraszeniem w oczach.

– Bardzo słusznie, że się boisz. Mogę w każdej chwili zanieść oba listy na policję, a ciebie zamknąć wtedy za oszustwo i wyłudzenie. Mogę też oba wyrzucić. Cenę pewnie już znasz.

Luiza odwróciła się, ale Witold Krawiński był szybszy. Chwytał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

– Mam dzisiaj dobry dzień, więc daję ci kilka dni do namysłu – szepnął jej do ucha, a potem polizał po szyi. – Pięknie pachniesz. Zmykaj już. Za jakiś czas sama do mnie wrócisz.

Były wojskowy Witold Krawiński miał rację. Nie minęło kilka tygodni, a Luiza zgodziła się na wszystko. A to oznaczało wyłączność, wyjazd do Francji i całkowite posłuszeństwo. W październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zrozumiała bowiem, że skończył się czas dyktowania warunków i gra na zwłokę. Skończyły się wystawne kolacje i noce z maską na twarzy. Cudowna Warszawa zaczęła znikać, a czasy beztroski i kolorowych ptaków odchodziły w niepamięć. W powietrzu unosił się strach i jakieś przerażające napięcie, że może być jeszcze gorzej. Zniknął nawet zapach wedlowskich czekoladek. Na ulicach leżały gruzy, wiele domów patrzyło

oknami bez szyb. W części mieszkań brakowało światła, wody i gazu, a ślady po uderzeniach bomb i szrapneli robiły ponure wrażenie. Luiza najbardziej bała się ciszy. Jej Warszawa tętniła dotąd życiem, teraz nie słyhać było nawet przejeżdżających tramwajów. Kiedyś z radością podbiegła do handlarza stojącego na jej ulicy i kupiła kilka jajek.

– Będzie pan jutro?

Wzruszył ramionami i powiedział smutno:

– Nie ode mnie zależy.

Wojna zaśmiała się jej w bezbronną twarz i wtedy zrozumiała, że chcąc ratować siebie, matkę i córkę, musi zgodzić się na nowe warunki. Na szali leżały dwie możliwości – życie w niepewnej Warszawie lub służba u Witolda Krawińskiego. Erotyczna służba i to wyłącznie na jego zasadach.

Próbowała się ciągle przed tym bronić, kiedy...

To była środa. Szły z Lucyną w milczeniu przez miasto i nagle zobaczyły sklep mięsny przeznaczony tylko dla Niemców.

Lucyna zacisnęła zęby.

– Co za skurwiele. Nie boję się tych ich szarozielonych mundurów i nadętych, tłustych gęb. Nie zagłodzą mnie tylko dlatego, że nie jestem jedną z nich – syknęła i zanim Luiza zdążyła się zorientować, jej przyjaciółka szarpnęła drzwi i weszła do środka.

Zabili ją na jej oczach. Ot, tak zwyczajnie. Wyrzucili ze sklepu i zastrzelili, kompletnie nie przejmując się przypadkowymi przechodniami.

Luiza bała się nawet krzyknąć. Ktoś nagle objął ją ramieniem i skierował w inną stronę.

– Idź stąd, bo też tak skończysz – szepnął do ucha.

I wtedy dotarło do niej, że nie ma już żadnego wyboru. Z dwojga złego lepiej zostać utrzymanką podstarzałego gbura, niż dać się nafaszerować nabojami z parabellum Po8, z którego pocisk wylał z prędkością trzystu dwudziestu metrów na sekundę.

– Naprawdę uda ci się nas stąd wywieźć? – spytała Witolda Krawińskiego. Wiedziała, że nie będzie to łatwe. Nie teraz, kiedy Warszawa znalazła się w Generalnym Gubernatorstwie, a z każdej strony dochodziły słuchy o kolejnych aresztowaniach. Przejazd przez granicę musiałby być jakimś cudem.

Wzruszył tylko ramionami i popatrzył na nią znacząco, więc o nic już nie pytała. Nie chciała zresztą słyszeć o łapówkach, współpracy z Niemcami i konfidenckich układach, za które Krawiński powinien dostać kulkę w łeb. Marzyła tylko o tym, by uratować córkę i siebie. Za każdą cenę.

Luiza, Kunegunda i małeńka Konstancja opuściły Polskę na początku listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku i wyjechały do Gigondas, niewielkiej miejscowości na południu Francji. Ceną za ich życie było całkowite posłuszeństwo Luizy.

KIRA

Rozdział szesnasty

Są ludzie, którzy nie czują żadnej presji posiadania. Lubią swoją pracę, kanapkę z szynką i pomidorem, nawet jeśli jedzą ją cztery razy w tygodniu, kąpiel pod prysznicem oraz pewną powtarzalność kroków każdego dnia. Nie przeszkadza im to, że idą w pewnym określonym kierunku i nie martwi fakt, że nie chcą zbroczyć z drogi. Nie chcą rywalizować, walczyć z jakimś wrogiem, wchodzić na coraz wyższe szczeble drabiny i balansować na linie. Kordian miał marzenia, które leżały na wyciągnięcie ręki. Nigdy nie korciło go, by pójść trochę dalej, poszukać w innych miejscach czy zadać sobie trud polowania na nieznanymi terenach. Chciał skończyć studia, napisać doktorat, ożenić się z Anną, mieć dziecko, może psa. To, czego pragnął, nigdy nie uruchamiało żadnego procesu, nie wzbudzało emocji, które zmusiłyby go do gwałtownych działań. Nie budował w wyobraźni mostów między tym, co miał, a co jeszcze mógłby osiągnąć. Czuł się dobrze w teraźniejszości, której przyszłość również była stabilna. Najważniejsza jest bowiem wewnętrzna spójność.

W końcu nie każdy musi być Ikarem.

Kira naruszyła jego prywatny teren, w którym wszystko znajdowało się na właściwym miejscu. W zasadzie to wcale jej nie znał, a jednak schowała się w jego głowie i pojawiała wtedy, kiedy chciała. Miał wrażenie, że zamieszkała w jego myślach, jego snach i zwykłej codzienności, którą zaczynała miska z owsianką. Początkowo było to przyjemne uczucie, ale z czasem zaczynało go uwierać. Wiedział, że w przyszłości, którą zaplanował, nie było miejsca na inną kobietę. W jego domu obiad gotowała Anna. Zmywała też naczynia, siedziała razem z nim na kanapie, oglądała film i dyskutowała o kolejnych rozdziałach doktoratu. O jego mitologicznym Odyne i swoim kłamstwie z punktu widzenia etyki.

– A wiesz, że zdaniem seksuologów najczęściej kłamią mężczyźni po czterdziestce, którzy zapewniają swoje partnerki, że nigdy, nawet przez chwilę nie pomyśleli o zdradzie? – spytała go wczoraj.

Nie do końca wiedział, co odpowiedzieć.

– Ale partnerki nie pozostają im dłużne. To właśnie dla nich wydano w Stanach podręcznik skutecznego udawania orgazmu. Niesłychane, co? Podobno psychologia mistyfikacji często rozpoczyna się już na początku każdego związku i z czasem przyjmuje kolejne fazy rozwoju. Zaczyna się od powiększających biustonoszy, majtek podnoszących pośladki, pończoch wyszczuplających uda oraz treszek imitujących włosy. A kończy udawaniem, że wszystko jest w porządku.

Kordian nie odezwał się przerażony śmiechem Kiry, który wybrzmiał w jego głowie. Tymczasem nieświadoma niczego Anna mówiła dalej:

– Unikanie szczerych rozmów może zadziałać w konsekwencji jak bomba z opóźnionym zapło-

nem. Skrywanie własnych uczuć i emocji wybuchnie w przyszłości ze zdwojoną siłą i doprowadzi do nieodwracalnych zniszczeń. Właśnie o tym teraz piszę – spojrzała na niego i ze zdziwieniem odnotowała nietypową bladość.

– Źle się czujesz?

Gorzej. Kira jedząca krewetki. Uśmiechająca się zniewalająco i opierająca jedną rękę o biodro. Czy należało wspomnieć o tym Annie? Ale w zasadzie co niby miałby powiedzieć? Hej, na urodzinach Majki poznałem dziewczynę, która zjadła sześć krewetek, choć już przy drugiej prawie zemdląłem z powodu dziwnej ekscytacji? Nie powiedział. Czy to było unikanie szczerej rozmowy, czy raczej oszczędzenie sobie dalszych, dociekliwych pytań o Kirę?

– Chyba po prostu jestem zmęczony.

Kłamstwo. W sumie to nic dziwnego – mężczyźni kłamią przecież częściej niż kobiety. W skrajnych przypadkach potrafią oszukiwać nawet do dwustu dwudziestu razy dziennie. Kordian nie wiedział, który raz dzisiaj skłamał, ale zrozumiał, że jego ustabilizowane dotąd życie odrobinę się zachwiało. Ale może to była tylko emocjonalna chwiejność afektywna. Niekontrolowana zmienność nastroju, wywołana... no właśnie... Czym? Świadomością, że ktoś zaburzył rytm jedzenia owsianki?

Westchnął bardziej do siebie niż na zewnątrz, nie chcąc prowokować kolejnych pytań i powiedział, że jeszcze trochę popracuje nad doktoratem.

Kolejne kłamstwo.

Zamknął drzwi od swojego małego pokoiku, w którym stało tylko biurko z laptopem i leżało tysiące książek, jedna na drugiej, a jednak według określonego klucza. Otworzył laptopa i zapatrzył się w niebieski ekran. Nie obchodził go Loki ani bogini Frigg, genealogia Olbrzymów Wichru i Burzy, ani krasnoludy ze Svartalfheimu. Bardzo chciał przestać myśleć o Kirze i znowu czuć ten spokój, który tak lubił.

Kłamstwo.

Kira zanurzyła się w wodzie. Nie chciało jej się iść na basen, więc napełniła po brzegi wannę wodą, dodając do niej odrobinę olejku. Schowała się w niej cała, łącznie z uśmiechem na ustach na samo wspomnienie ostatniej wizyty u mamy i Kosmy. To nie była przyjemna rozmowa, ale w pewien sposób oczyszczająca. Kalina w końcu wyartykułowała swoje zdanie, choć widać było, że sporo ją to kosztuje. A Kosma zgrabnie wybrnął z tych praw fizyki o mocy i sile. I dodał jej pewności siebie. Może rzeczywiście najwyższa pora odpuścić? W końcu bawiła się dobrze tylko przez pierwszy okres, obserwując ofiarę i powoli pociągając za żyłkę. Kiedy jednak mysz wchodziła do klatki, nie było już mowy o jakiegokolwiek ekscytacji.

A potem schemat się powtarzał. Kolacje, prezenty, wyjazdy, seks w hotelowych pokojach, rozmowy o niczym, wylewanie żali, wreszcie zapach nudy. Albo mentalny kopniak w podbrzusze, jaki zafundował jej ten stary basior. Do dzisiaj czuła się tak, jakby ktoś obrzucił ją jeszcze ciepłym łajnem. Dobrze, że chociaż trochę udało jej się zemścić. Ale nie można ciągnąć takich zabaw przez całe ży-

cie. Postanowiła zrobić to po raz ostatni. Ten jeden, jedyny raz i to wcale nie dlatego, że istniała jakaś Anna, tylko z zupełnie innych, bardzo prozaicznych powodów. Kira zrozumiała wreszcie, że skończył się czas dyktowania warunków i fascynującej gry w modliszkę. Skończyły się romanse i zdobywanie kolejnych trofeów. Zakochała się, a miłość zaśmiała jej się w twarz.

Zakochała się w przeciętnym, normalnym chłopaku, piszącym doktorat o świecie, który nigdy nie istniał. W kuzynie swojej koleżanki z pracy. W kimś, kogo widziała kilka razy w życiu, i z kim zamieniła dosłownie parę słów. Bardzo banalna historia, jakich świat widział miliony, za każdym razem zastanawiając się nad powtarzalnością i zwykłością tego zjawiska. Pomyślała, że najwyraźniej każdy człowiek musi przeżyć taki trywialny dzień, po którym nagle wszystko się zmienia.

Wynurzyła się z wody i puściła oko do Patrycjusza, wylegującego się na pralce. Kot rasy sfinks. Łysy jak ochroniarz dyskoteki, z podobnym wyrazem twarzy. A jednak arystokrata.

– Naprawdę nie chcę krzywdzić tej jego Anny, ale jeśli mam wybierać czy skrzywdzić ją, czy siebie, to... sam rozumiesz – wyjaśniła kotu patrzącemu na nią z wrodzoną pobłażliwością.

Miauknął chyba na tak.

– Dziękuję. I to naprawdę będzie ostatni raz – podniosła dwa palce i poważnie skinęła głową.

Tym razem postanowiła nie zdawać się na przypadki czy też kolejne urodziny, tylko po prostu do niego zadzwonić. Telefon wzięła od Majki, tłumacząc krótko, że potrzebuje fachowca od literatury niemieckiej. Pół dnia zastanawiała się, czy zadzwonić, w końcu zamknęła się w domu w łazience i wybrała numer.

– Cześć – powiedziała szybko, zanim zdrowy rozsądek kazałby jej się rozłączyć.

Szkoda, że przez telefon nie widać czyjejś twarzy, nie można zobaczyć oczu i wyczytać z nich emocji. Nie była też pewna, czy wahanie w jego głosie wynikało z radosnego podniecenia, czy było raczej swojego rodzaju zakłopotaniem.

„Trudno, muszę brnąć dalej”.

Podobno kobieca odwaga wzbudza silne odczucia, do których zalicza się przede wszystkim zaskoczenie. Kordian najwyraźniej był mocno zaskoczony, bo nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Atakowała więc dalej:

– Chciałabym się z tobą spotkać. Może jutro po południu, w takiej maleńkiej cukierni blisko twojej uczelni?

„Jeśli odmówi, po prostu wrócę do łazienki i się utopię”.

Jutro o szesnastej. Mogła spokojnie spuścić wodę w wannie. Mogła zjeść ze smakiem kolację i wyobrazić sobie, że już niedługo razem z Kordianem będą siedzieć w kuchni, kroić pomidory, wyciągać ser i wędlinę z lodówki, parzyć kawę i co chwilę się całować.

– Mój mózg okleił różowy puch infantylizmu – przeraziła się na moment. A potem ze śpiewem na ustach wykroiła z razowego chleba kanapki w kształcie serduszek i zaserwowała je zdumionej Konstancji.

– Oj, babciu, czasem tak jest.

– Wiem. Na szczęście to chwilowe.

LUIZA

Rozdział siedemnasty

Dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku w Londynie odbyła się pierwsza edycja konkursu Miss World. Brało w nim udział dwadzieścia sześć kobiet, ostatecznie wygrała niejaka Kiki ze Szwecji. Gdyby siedemnastoletni Józef Koszałka miał jednak wybierać między Kiki a pewną kobietą, ubraną w czerwoną sukienkę w białe groszki, biały kapelusz i śmieszne buciki ozdobione z przodu truskawką, nie zastanawiałby się nawet przez moment. Stał jak urzeczony i patrzył na roześmianą Luizę, którą otaczało kilku mężczyzn, dosłownie pożerających ją wzrokiem. Wcale im się nie dziwił.

Do Warszawy przyjechał na kilka dni, by odwiedzić kolegę i być może zaczepić się gdzieś do roboty na okres wakacji. Głowę miał pełną marzeń – dokończyć szkołę, a potem jak najszybciej zapisać się na studia weterynaryjne. Do tej pory Józef najbardziej kochał zwierzęta. Ale gdy zobaczył Luizę, doszedł do wniosku, że ma bardzo pojemne serce, w którym znajdzie się miejsce nie tylko dla całej fauny tego świata, ale także tej właśnie kobiety. Kiedy zaczęło padać, początkowo żałował, że za chwilę deszcz wszystko rozmyje, a ona zniknie pod parasolem jednego z tych przystojniaków. A jednak stało się inaczej. Zagrzało i to był właśnie ten moment, kiedy Luiza spojrzała na niego i nawet na chwilę zatrzymała wzrok.

Te oczy!

To niemożliwe, żeby ktoś, kto i tak był skończoną pięknnością, mógł mieć dodatkowo tak niewiarygodnie magiczne tęczówki! Czy one były niebieskie? Czy może raczej brązowe? A może takie i takie? Józef gapił się na Luizę, nie zwracając uwagi ani na coraz silniejsze strugi deszczu, ani grzmoty, których intensywność wypłoszyła adorujących Luizę mężczyzn. Józef nigdy nie mógł zrozumieć, czemu nagle zniknęli i jak to się stało, że on podszedł do tej cudownej kobiety i zaproponował jej swoją zbyt dużą kurtkę, pod którą mogła się schować. A potem stanęli pod drzewem, chociaż każdy idiota wie, że nie ma nic głupszego niż wybranie takiego miejsca podczas burzy. Luizie najwyraźniej było to obojętne, a w Józefa i tak strzelił grom.

– Czy ma może pani ochotę na ciastko? – wydukał w końcu, kiedy deszcz odrobinę się uspokoił i z głośnego *crescendo* wpadł w spokojne *adagio*, bawiąc się bąblami na kałużach.

Skinęła głową i przygryzła wargi. Ten młody chłopak stojący naprzeciwko niej i trzęsący się bardziej, niż wymagałaby tego pogoda, był na swój sposób czarujący. Jego błękitne oczy nie potrafiły patrzeć na nic innego, jak właśnie na nią, a takie zainteresowanie musi się podobać każdej kobiecie. Na dodatek bardzo przyjemnie pachniał. Mydłem, sianem, a teraz deszczem. Pewnie, że miała wielką ochotę pójść z nim na ciastko, nawet jeśli na pierwszy rzut oka było widać, że jest od niej

zdecydowanie młodszy.

Chłopczyk.

Straszliwy chłopczyk, ale jakże cudownie niewinny, zwłaszcza w porównaniu z jej „opiekunem”, który na szczęście został we Francji. Z trudem wyżebrała te kilka miesięcy, przysięgając na życie córki, że wróci i zostanie jego żoną. Zabezpieczeniem miało być dalsze utrzymywanie Kunegundy i Konstancji, które wróciły z Francji trzy lata wcześniej i zamieszkały w bloku na Ursynowie. Bo Ursynów należał już do Warszawy. Podobnie jak Bemowo, Jelonki, Włochy, Wawrzyszew, Chomiczówka, Wilanów i część Bródna. Luizie ciężko było rozpoznać dawne miasto. Kamienica, w której mieszkała z Lucyną, została zburzona, nie zostało też nic z butiku Madame Helene. Powierzchnia Warszawy ze stu trzydziestu pięciu kilometrów kwadratowych powiększyła się do ponad czterystu. Osiedla, które kiedyś leżały poza stolicą, teraz włączono do miasta. Kilka dni temu odsłonięto pomnik Dzierżyńskiego i otwarto Centralny Dom Towarowy, ale nie miał on już takiego uroku jak dom handlowy braci Jabłkowskich. A jednak Luiza była szczęśliwa, że udało jej się tu wrócić, że może się przespacerować ulicą Marszałkowską, przejechać tramwajem i kupić jabłka od ulicznego sprzedawcy. W swoich francuskich sukienkach znowu wyróżniała się na tle innych kobiet, z których część opowiadała się za typowym strojem przodownicy pracy – bluzki zapięte pod samą szyję, berety, sukienki z podwyższoną talią. Na szczęście byli też bikiniarze oraz kociaki w obcisłych, kolorowych sweterkach i rozkloszowanych spódnicach.

Ciastko...

Poszli do kawiarni Lajkonik, usiedli przy małym stoliku tuż przy barze i zamówili dwa ciastka z kremem. Józef nie pamiętał ich smaku ani wyglądu, zapamiętał natomiast każdy szczegół z tych trzydziestu ośmiu minut, które spędzili na drewnianych zydlach, rozmawiając tak, jak gdyby znali się od dawna. Powiedział jej, że mieszka w Rozłogach, że chce zostać weterynarzem i że nigdy w życiu nie widział tak pięknych oczu. Luiza wspominała dawną Warszawę, tę przedwojenną, małe miasteczko we Francji, gdzie aktualnie mieszkała i Lucynę, dawną przyjaciółkę, którą zabrała jej wojna. Umówili się na następny dzień, być może na spacer i być może znowu na ciastko, albo chociaż kawę.

Józef poczuł się tak, jakby dotknął nieba, a Luiza zapomniała na chwilę o wojnie, o Witoldzie, obowiązującej między nimi umowie i nawet o tym, że przecież jest dużo starsza niż ten siedzący obok niej błękitnooki chłopak.

Tak naprawdę chciała pobyć trochę z córką, choć trzynastoletnia Konstancja oddalała się od niej z każdym kolejnym rokiem. Witold sprytnie to zaplanował. Początkowo mieszkali wszyscy razem, z czasem Kunegunda i Konstancja przeprowadziły się do mniejszego, osobnego mieszkania.

– Tak będzie dla nas wszystkich wygodniej – wyjaśnił Witold, a Luiza nie potrafiła mu się przeciwstawić. Zresztą, nie bardzo mogła. To dzięki niemu żyły, były wolne i miały wystarczająco dużo pieniędzy, by niczym się nie przejmować. Nigdy nie pytała go o układy z Niemcami, choć zdawała sobie sprawę, że „nietykalność” jej rodziny musiała mieć swoją brudną cenę. W nagrodę za posłuszeństwo spalił na jej oczach oba listy, choć Luiza podejrzewała, że ta sprawa już dawno się

przedawniła i żaden policjant nie poświęciłby jej nawet minuty.

We Francji żyło im się dobrze. Witold zajął się eksportem tutejszego wina, ona musiała zajmować się nim. Nie odpuszczał jej niemal nigdy. Czuli się jak seksualna niewolnica, będąca na usługach niezmordowanego Kupidyna. Z jednej strony cieszyła się, że jej córka nie musi być świadkiem tych żenujących zalotów (były wojskowy uwielbiał na przykład biegać nago po mieszkaniu i udawać, że ucieka na widok swojej pani), z drugiej zaś czuła, że coraz bardziej traci z nią kontakt.

– Mama Ku i mama Ki – mówiła Konstancja, ale kiedy biegła w ich stronę, coraz częściej wybierała ramiona babci.

– I dobrze, że tak jest. A ty nie mieszaj dziecku w głowie. Kiedyś i tak trzeba będzie jej to wszystko wyjaśnić.

Luiza w myślach dawno przestała być Kwiryną. Tamtej dziewczyny już nie było, kiedy przedstawiała się innym ludziom, używała tylko pseudonimu. Kwiryną pozostała dla Konstancji. Mamą Ki. Ale mamą, która spadała na miejsce drugie, a z czasem utraciła nawet ten przywilej. I chociaż od początku zdawała sobie sprawę, że to nie będzie najłatwiejsza miłość, trudno jej było pogodzić się z faktem, że traci córkę.

Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku Witold zaproponował, aby Kunegunda i Konstancja wróciły do Warszawy, wiedziała, że to nie żadna propozycja tylko rozkaz.

– Dziecko musi pójść do polskiej szkoły.

– Ale Warszawa...

– Warszawa wraca już do siebie. W przeciwieństwie do naszych piłkarzy, którym Duńczycy dokopali osiem do zera – mruknął pod nosem. – Skontaktowałem się z kim trzeba i w mieście czeka na twoją matkę i córkę mieszkanie.

– Nie mogą zostać tutaj?

– Nie mogą – przerwał jej natychmiast. – A teraz chodź i pokaż, jak bardzo byłaś dziś niegrzeczna, nie zakładając majtek.

Luiza przygryzła wargę.

Jeśli gołą dupą mogła dalej planować przyszłość swoich najbliższych, będzie to robić. Tak długo aż starczy jej sił lub ten obleśny dziad nie fiknie w końcu na zawał.

Madame Helene przeżyła nie tylko bombardowanie Warszawy, ale także widok ruin swojego dawnego sklepu z kapeluszami. Co prawda, po wojnie były ważniejsze rzeczy niż zakup odpowiedniego toczka czy bereciku, ona jednak marzyła o ponownym otwarciu butiku i tej przyjemnej stabilizacji, którą dawały jej klientki. W końcu przecież ludzie otrząsną się ze złych wspomnień i znowu zapragną być piękni. Człowiek jest fascynującym organizmem z silnym instynktem przetrwania, wynurzy się nawet z największego bagna po to, by kiedyś znów włożyć na głowę kapelusik.

Miała rację. Wprawdzie jej obecny sklepik w niczym nie przypominał tamtego eleganckiego butiku, ale przynajmniej na siebie zarabiał. Na wielkie kapelusze nie było aż takiego zapotrzebowania,

ale na berety, toczki noszone na boku oraz kapelusiki płaskie jak naleśnik, owszem. Madame Helene wprowadziła też sprzedaż rękawiczek i z czasem znowu poczuła się jak przedwojenna propagatorka dobrego stylu.

– To ty? – Luiza wracała właśnie do hotelu, kiedy drogę zastąpiła jej ciągle jeszcze przystojna, choć starsza kobieta, ubrana w wąską, bordową sukienkę i idealnie dobrany pod nią toczek z woalką. Wyglądała, jakby ktoś przeniósł ją z Warszawy lat trzydziestych i zapomniał zmienić kostium.

– Madame Helene – wyszeptała Luiza i odruchowo przytuliła się do dawnej pracodawczyni Lucy.

– Kwiryna...

– Teraz już Luiza.

– No tak. Oczywiście. Ja się wtedy wszystkiego domyślałam i byłam nawet pod wrażeniem tej wazszej maskarady. Odniosłaś wielki sukces, byłaś na ustach całej Warszawy, a jednak ciągle pozostawałaś tajemnicza. Co teraz robisz?

Luiza zaczerwieniła się. Bo jak tu powiedzieć, że w zasadzie robi to samo, tyle że zamiast kilku klientów ma jednego? Że w zamian za mieszkanie, szkołę i normalne życie Konstancji musi pozostawać na usługach teścia jednego ze swoich dawnych kochanków?

– Mieszkam we Francji i niedługo wychodzę za mąż – powiedziała, dochodząc tym samym do wniosku, że może właśnie małżeństwo zmieni jej status dziwki w żonę. Nawet jeśli tylko z nazwy.

– A ja wróciłam do zawodu. Znowu sprzedaję galanterię i chociaż w ten sposób czuję się jak wtedy.

Luiza uśmiechnęła się. „Wtedy” było rzeczywiście jakoś piękniej. Bo nawet jeśli była kurwą, to przynajmniej na własnych zasadach.

Te kilka miesięcy w Warszawie minęło szybciej, niż sama by tego chciała. Szkoda jej było rozstawać się z Konstancją, która za każdym razem odsuwała się od niej coraz bardziej.

– Muszę wrócić do Francji, ale będę cię odwiedzać – obiecała Luiza.

Córka tylko wzruszyła ramionami.

Ich wzajemne relacje nie należały do najłatwiejszych, chociaż Kunegunda nie powiedziała Konstancji, czym zajmuje się jej matka. Inna sprawa, że Kunegunda w ogóle niewiele mówiła, a wnuczkę traktowała raczej dość oschle. Podobnie zresztą jak Luizę.

– Masz na imię Kwiryna, o ile pamiętam – powiedziała przed wyjazdem do Francji, kiedy Luiza przyjechała po nią i dziecko, i kazała jak najszybciej się spakować.

– Mamo, teraz Kwiryną będę tylko dla małej. A dla reszty – Luizą. Tak jest łatwiej.

– Dla kogo?

– No, chociażby dla mnie. Kwiryna to na razie przeszłość, ale może kiedyś znowu nią będę.

Matka pokręciła przecząco głową.

– Nie wierzę. Na zawsze pozostaniesz kur... – urwała w połowie i spojrzała na małą Konstancję.

Wychowywała ją tak, jak umiała – bez zbędnych czułości i głaskania po głowie. Była trochę jak

oset, z jednej strony użyteczny („zwłaszcza w leczeniu chorób wątroby”, jak mawiała Lucyna), z drugiej zaś wiecznie kłujący. Kiedy Konstancja po raz pierwszy świadomie powiedziała „mamo”, Kune-gunda natychmiast wyprowadziła ją z błędu.

– Ja jestem twoją babcią. Mama nie może cię wychowywać, tak czasem jest. Grunt, żebyś wyrosła na porządnego człowieka, cała reszta to tylko są ozdobniki, niepotrzebne nikomu do niczego.

Konstancja pragnęła jednak tych ozdobników. Przytulania, głaskania, pocieszania, wspólnych rozmów i wygłupów. Przez te kilka lat we Francji miała matkę znacznie częściej dla siebie, choć nie wiadomo z jakiego powodu Kwiryna nie mieszkała z nimi, tylko z tym starym Witoldem, który rzadko je odwiedzał. I zawsze był jakiś taki oschły, wiecznie niezadowolony i mruczący pod nosem. Nie lubił, kiedy mama zajmowała się Konstancją i pewnie to on wpadł na pomysł, żeby po wojnie odesłać ją wraz z babcią do Warszawy.

– Musisz się uczyć – powiedział tylko i osobiście wszystkiego dopilnował.

Owszem, załatwił im mieszkanie, regularnie przysyłał pieniądze na życie, ale mamę zabrał na zawsze.

Konstancja początkowo tęskniła, potem była zła, a kiedy mama wreszcie przyjechała, czuła już tylko obojętność. Ale coś sobie przysięgła.

– Jeśli kiedykolwiek urodzę córkę, dam jej tyle miłości, że wystarczy na kilka pokoleń.

I słowa dotrzymała.

KIRA

Rozdział siedemnasty

Pewien włoski filozof uważał, że istota mentalności marzyciela polega na założeniu, że każdy może stać się tym, kim chce być. Aktorem, gwiazdą estrady, artystą, lekarzem, strażakiem, a nawet królem. Nie istnieją różnice między ludźmi, a jedynie różnice w ich kwalifikacjach. O wizerunku nie stanowi twarz, lecz maska, którą się przywdziewa. Maska powinna być jednak nieskazitelna, jeśli ktoś bowiem dostał szansę „bycia kimś”, powinien trzymać się pewnych określonych zasad. Ich złamanie zaś może się źle skończyć. Kira też miała taką maskę. Niewiele osób wiedziało, jak bardzo jest uzależniona od chęci zemsty i własnego dobrego samopoczucia, które zmuszało ją do zdobywania kolejnych dowodów na swoją niepowtarzalność. W pracy i wśród znajomych uchodziła po prostu za piękną kobietę, inteligentną, czytaną i przyciągającą wzrok innych. Kogoś, za kim nieustająco oglądają się mężczyźni, bez cienia szansy, że zwróci na nich uwagę. Niektóre kobiety podziwiała ją, ale na odległość, bojąc się, że jej aura zgasi ich urodę. Majka ją polubiła, podobnie jak Maciek. Jan nie do końca orientował się w swoich uczuciach, bo kiedy był pewien, że się z niej wyleczył, gorączka wróciła ze zdwojoną siłą.

Ale nikt nigdy nie podejrzewał, że Kira jest modliszką. Że kradnie miłość na prawo i lewo, nie przejmując się konsekwencjami. Na zewnątrz nosiła maskę kobiety świadomej swojej urody, ale niezdobytej, dzięki czemu wydawała się jeszcze bardziej fascynująca. Nikt nawet nie przypuszczał, że jest aż tak wyrafinowaną uczestniczką gry w *mate poaching*, czyli „nie ma takiego wagonika, którego nie dałoby się odczepić”. Że wchodzi w intymne relacje tylko wtedy, gdy na scenie znajduje się minimum trzech aktorów.

A potem w redakcji pojawił się Przemysław, choć niedosłownie. Objawił się pod postacią e-maila, którego rozesłał do wszystkich pracowników, a nawet zaryzykował dołączenie zdjęcia. Niewiele miał do stracenia, bo jego żona i tak o wszystkim przecież już wiedziała. Lewitując między stanem rozwodnika a marnotrawnego męża, któremu „może zostanie wybaczone” postanowił zachować się po męsku i dokonać aktu zemsty. Niemęskie było to, że mścił się na kobiecie, z którą miał romans. Ale w końcu to ona doprowadziła go do stanu, w którym zamiast stabilnej ziemi pod nogami poczuł ruchome piaski.

„I tak bez skrupułów pieprzy się z każdym, udając zakochaną, a potem...

Sprawdziłem. W kodeksie wykroczeń karalna jest zarówno kradzież, jak i przywłaszczenie mienia (czyli cudzej rzeczy ruchomej), jeżeli wartość przedmiotu nie przekracza dwustu pięćdziesięciu złotych. W przeciwnym wypadku jest to już przestępstwo. U mnie było. Wydałem zdecydowanie po-

nad dwieście pięćdziesiąt złotych. A mieniem byłem ja sam. I choć wydawać by się mogło, że na własne życzenie, to teraz wiem, że zostałem wciągnięty w pewną grę w zdobywanie cudzych facetów. Też to przeżyliście? Dołączam zdjęcie, żeby nie było żadnych pytań”.

Zdjęcie było ładne, z ładną Kirą ubraną w półprzezroczystą bieliznę.

W zasadzie nie było to żadnym dowodem, mimo to wszyscy dość szybko uwierzyli. Jako pierwszy Jan, zaraz po nim Majka.

– W co ty się bawisz? – zapytała Kirę, wpadając do jej pokoiku i pokazując palcem na ekran komputera. – Otwórz swoją pocztę.

– Nie trzeba, widziałam. I co mam ci powiedzieć? – Wzruszyła ramionami. – Tak, miałam z nim romans, ale kiedy się dowiedziałam, że jest żonaty, postanowiłam to zakończyć – skłamała szybko. Teraz będzie musiała sporo kłamać. – Facet się po prostu mści.

Majka nie wyglądała na przekonaną.

– Ale o tym, że Jan ma dziewczynę, też przecież wiedziałaś?

„I pomyśleć, że do tej pory nie kojarzyła tak szybko faktów”.

– Mówił mi, że nie jest pewny, czy chce z nią być.

– A Kordian? – spytała nagle.

Kira znieruchomiła na krześle.

– Co Kordian? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, żeby zyskać na czasie.

– Trochę ze sobą rozmawialiście na moich urodzinach i widziałam, jak on na ciebie patrzy. A ty na niego. Wtedy wydawało mi się to mało znaczące, ale teraz, kiedy przeczytałam wiadomość...

– To co? To nagle uznałaś, że jego też chcę zdobyć?

– A nie?

„Pewnie, że tak”.

– Nie.

– Wzięłaś ode mnie numer telefonu Kordiana.

– W sprawach służbowych.

– Kira, on jest z Anną. Nie rób tego.

Majka wstała i spojrzała na nią bez tej przychylności co zwykle. W zasadzie nie obchodziło jej życie towarzyskie kolegów z pracy, ale tutaj chodziło o coś więcej. Odbijanie cudzych facetów i rozwalanie życia innych było porównywalne do latającej świni z balonikiem. Niby zabawne, ale nie do końca. Miała tylko nadzieję, że koleżanka nie zacznie zasłaniać się „duchowym porozumieniem” lub „odnalezieniem drugiej połówki”. W łózkowej branży to było zwykłe kurestwo i polowanie na cudzą własność. Podstępne wyciąganie facetów z ich małżeństw tylko po to, by potwierdzić własną atrakcyjność.

Kira spojrzała jej prosto w oczy:

– Nie jestem zainteresowana Kordianem. A ten e-mail to historyczna reakcja jakiegoś dupka, z którym zerwałam. I nie będę się więcej tłumaczyć, a ty jak chcesz, to wypal mi na ramieniu

szkarłatną literę. – Odwróciła się plecami do Majki i udała, że jest czymś bardzo zajęta.

– Pójdę już – mruknęła koleżanka.

Szła na to spotkanie z duszą na ramieniu. Cholerny Przemysław wszystko spieprzył. Nie będzie już nigdy mogła o nic zapytać Majki, a jeśli dojdzie do czegokolwiek z Kordianem, to Majka może mu pokazać tego e-maila. Będą musieli się ukrywać. Udawać, że nie są razem, chować się przed światem. Już teraz ustawili ją pod pręgierzem w tej swojej złości i potępieniu, chociaż to nie było średniowiecze. Maciej wprawdzie powiedział jej, że nie ma się czym przejmować, ale reszta najwyraźniej uznała ją za dziwkę. Nigdy nikogo nie zmuszała siłą do odejścia. Zdrada jest zawsze sumą dwóch ciał, a nie pojedynczym aktem desperacji.

Przyszła pół godziny wcześniej, żeby jakoś się uspokoić.

Kordian.

Nie, nie patrzy na niego jak na wagonik do odłączenia. Po prostu najzwyczajniej w świecie się zakochała, a w takiej sytuacji ma prawo spróbować szczęścia ugryzionego z cudzego tortu. Po raz pierwszy też zrezygnowała z przygotowań. Nie przeszukała wiadomości o Kordianie w komputerze, nie próbowała znaleźć jego profilu na Facebooku, Twitterze czy LinkedIn. Zdecydowała, że pójdzie na żywioł, że jeśli po tym spotkaniu ma być jakiś ciąg dalszy, to tylko dlatego, że on będzie nią naprawdę zainteresowany. Oczywiście można zastosować kilka drobnych sztuczek Eugeniusza Kozłowskiego, ale tylko po to, by przekonać się, czy rzeczywiście działają. Co on mówił o mowie ciała?

„Często nie zdajemy sobie sprawy, jak ogromne znaczenie podczas flirtu odgrywa głowa. Jeśli jest opuszczona, wzbudza u naszego rozmówcy instynkty opiekuńcze. Dajesz mu tym samym sygnał bezbronności, ale także zmuszasz go do zachowania pewnego dystansu. Jeśli chcesz pokazać większą pewność siebie – podnieś odrobinę podbródek. Pamiętaj jednak, by nie unosić go zbyt wysoko – możesz zostać wtedy oceniona jako osoba arogancka i zuchwała”.

I jeszcze ta jego „spontaniczność planowana”. Niby paradoks, ale bardzo przydatny. Z góry zaplanować wylanie kawy na bluzkę, którą będzie musiała albo zmoczyć, albo zdjąć. Potknięcie się w taki sposób, żeby wylądować w jego ramionach. Nawet jeśli to wszystko brzmiało infantylnie, to wcale nie było takie głupie. Życie nie składa się tylko z wzniosłych chwil, śpiewania hymnu i ratowania świata od zagłady. To zlepek śmiesznych, głupich, łzawych i romantycznych momentów, które usypują obraz związku. To właśnie wylana kawa, spacer po plaży, rozmowy o niczym...

– Hej – powiedział nagle, a ona o mało co naprawdę spontanicznie nie upuściła filiżanki.

Szary, gruby sweter, duże dłonie, ciemne włosy, dwudniowy zarost, niski głos, spokojny uśmiech. I jak pięknie pachniał, cynamonowym mydłem i trochę wiosennym deszczem, który właśnie się przebudził. No i te popielate oczy. Przepadła w nich na dobre i zupełnie nie wiedziała, jak zacząć tę rozmowę.

– Pomyślałam sobie, że może moglibyśmy się trochę bliżej poznać? – Nigdy w życiu nie odezwała

się tak do żadnego faceta, więc nie miała prawa wiedzieć, jak głupio to brzmi. Teraz jednak, kiedy tylko usłyszała swoje słowa, natychmiast pomyślała o rejteradzie. Spontanicznej lub nie. O ucieczce choćby przez zamknięte okno.

Na szczęście Kordian uśmiechnął się zupełnie normalnie i spytał:

– Próbowalaś ich pralinek? Podobno sami je robią.

I popłynęli wśród opowieści o gorzkiej i mlecznej czekoladzie, masie karmelowej i pistacjowej, a nawet skusili się na małą degustację.

– Wiesz, że między próbowaniem poszczególnych czekoladek trzeba popijać wodę i zagryźć kawałkiem białego pieczywa?

Nie wiedziała, ale było jej wszystko jedno. Mogłaby zagryźć nawet kawałkiem surowej wątróbki.

– Ze względu na wrażliwość naszego podniebienia najpierw musimy zjeść pralinki o najniższej zawartości kakao i tak stopniowo przechodzić do tych najbardziej wytrawnych.

Prawie ją zemdliło, ale to mogły być również endorfiny.

– Kawalka czekolady nie powinno się gryźć, należy raczej pozwolić mu rozplynać się w ustach – tym razem to ona wtrąciła swoje trzy grosze, a potem wysunęła język.

Nie była to rozmowa o tym, czy ewentualnie mają jakieś szanse. Ani o tym, że mogliby się jeszcze lepiej poznać, jedząc na przykład różnego rodzaju mięsa. Albo sery. Ale dwie godziny upłynęły im tak szybko, czekoladowo i przyjemnie, że Kira nie miała już najmniejszych wątpliwości. Ona i Kordian pasowali do siebie zdecydowanie bardziej niż Kordian i Anna.

A kiedy pocałował ją na do widzenia i jego usta zupełnie przypadkowo ześlizgnęły się w okolice jej warg, poczuła, że topi się szybciej niż czekolada w kąpieli wodnej. Odczepiła kolejny wagonik. Ale naprawdę tym razem to nie o to chodziło.

LUIZA

Rozdział osiemnasty

Józef spotkał się z Luizą dokładnie osiem razy i za każdym kolejnym zatapiał się w jej tęczęwce coraz bardziej. Wszystkie zarobione pieniądze wydawał na pociągi i dojeżdżał z Rozłogów do Warszawy, byle tylko spotkać kobietę swych marzeń. Wiedział, że mieszka w hotelu Bristol i dzwonił do niej z plebanii za każdym razem, kiedy mógł się wyrwać do stolicy. Luiza polubiła jego towarzystwo, choć starała się nie dawać mu żadnych nadziei na coś więcej niż zwykły spacer i rozmowa. Był tak inny od Witolda, tak bardzo nieśmiały i delikatny, że sama garnęła się do tego, by jak najwięcej czasu przebywać w jego towarzystwie. Po raz pierwszy czuła się naprawdę adorowana. Nie przez kogoś, kto jej płacił i wymagał, ale przez chłopaka, który groszem nie śmierdział. I który nie mógł jej niczego podarować.

A jednak zarobił wystarczająco dużo, by ją zaprosić na wycieczkę w góry i potem na ten cudny spływ Dunajcem, który wspominała jeszcze przez długie lata. On chyba zresztą też.

Kilkanaście lat później tak ładnie do niej napisał...

Piękności ty moje...

Ja wiem, że nie możemy być razem i wiem też, że popełniam wielki błąd. Ale wystarczyłoby mi, gdybyś wyjechała ze mną na dwa dni. Wziąłbym cię nad Dunajec. Może nawet udałoby się, jak kiedyś, na flotyllach popłynąć? A na czele łódź flagowa, tylko zamiast sztandaru flisaków, ta twoja chustka różowa, którą mi dałaś?

Jak ja tęsknię za tobą... Kiedy nalewam sobie kawy i kiedy czytam gazetę. I kiedy do łóżka się kładę. Wiesz, że w wypadku zginął Zbyszek Cybulski? Ja też się czasem tak czuję, jakbym nie żył naprawdę. Dopiero jak typniesz na mnie tymi oczami dziwnymi, to mi harmonia wewnętrzna wraca.

Ech, za późno cię spotkałem. Za późno...

– Może zatrzymamy się na nocleg w schronisku? Ale tym razem to ja chcę zapłacić – powiedziała nagle, choć doskonale wiedziała, że to nie najlepszy pomysł. Czasem jednak nieposłuchanie samego siebie też jest jakąś lekcją.

Józef za nic nie chciał się zgodzić, ale wtedy zamknęła mu usta pocałunkiem, po którym kompletnie zapomniał, kim jest i dlaczego znajdują się w Pieninach.

– Szczęść Boże – dobiegł ich jakiś niski głos.

Józef zaczerwienił się po koniuszki włosów, ale Luiza tylko się uśmiechnęła. Mężczyzna kiwnął im głową i usiadł na ziemi. Pomilczeli trochę razem, popatrzyli w niebo i powdychali wiatr.

– Ech, pora mi stąd pójść – odezwał się w końcu nieznajomy.

– Dokąd? – zainteresował się Józef.

– W świat gdzieś. Tyle lat walczę, żeby mój domek odbudować, ale władze nie pozwalają. Wincenty jestem. – Skinął głową raz jeszcze, a potem wyciągnął z kieszeni małą, drewnianą rzeźbę i podał Luizie.

– To dla was, na szczęście. Święta Kinga, sam wyrzeźbiłem.

A potem wstał, otrzepał spodnie i zniknął tak nagle, jakby się rozplątał w powietrzu.

Późnym popołudniem dotarli do pensjonatu Orlica, który to szczęśliwie przetrwał okupację, a z początkiem lat pięćdziesiątych został wydzierżawiony przez PTTK. Luiza zamówiła gorącą herbatę, coś ciepłego do jedzenia, a następnie spytała o Wincentego. Kelnerka spojrzała na nich ze zdziwieniem.

– Nie znacie go? To przecież człowiek legenda. Ale trudno go dzisiaj spotkać.

Wincenty Władysław pojawił się w Pieninach w maju tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Wojna i rany, jakie odniósł, smutek i złe wspomnienia, zagnały go w góry, gdzie postanowił poświęcić resztę swojego życia Bogu i ludziom. Z Nowego Targu dotarł pieszo do Krościenka, a tam zauroczył go maleńki zaniedbany domek. Wyprosił u miejscowego proboszcza zgodę na zamieszkanie w nim i własnymi rękoma doprowadził do stanu użyteczności. Domek zmienił się w pustelnię Wincentego, w której jednak chętnie przyjmował turystów. Po prawej stronie była weranda z ławami i długim stołem, przy którym serwował herbatę zaparzaną z krystalicznej źródlanej wody. Do izby kuchennej przechodziło się przez sień. W środku znajdował się murowany kamienny piec i... trumna.

– Trumna? – zdumiała się Luiza. – Ale po co?

– To było jego łóżko. Wincenty od zawsze w niej spał, co na początku budziło przestrasz i zdziwienie, ale z czasem wszyscy się do tego przyzwyczaili. Wstawał o świcie, kiedy inni jeszcze spali, i szedł pieszo do Krościenka, do kościoła, na mszę.

– Dlaczego musi stąd wyjechać? – spytał Józef.

Kelnerka wzruszyła ramionami.

– Władzom przestał się podobać, więc nie chcą mu dać pieniędzy na odbudowę pustelni. A zrobił tak wiele dobrego. Prowadził stację meteorologiczną na potrzeby Pienińskiego Parku Narodowego i trzy razy dziennie wpisywał odpowiednie informacje do zeszytu. Poprawiał znakowanie szlaków turystycznych i zbierał śmieci zostawione przez turystów. W pustelni zaś urządził coś na kształt muzeum. Ale po wojnie ruch turystyczny zmalął, kto wtedy zresztą myślał o wycieczkach. A potem przyszedł nieszczęsny rok czterdziesty dziewiąty i pustelnię trafił szlag. A dokładniej piorun. Wszystko spłonęło. Nawet ręcznie robiony przez Wincentego tryptyk pokazujący dzieje zamku pienińskiego, anioły noszące kamień do budowy i księżną Kingę chroniącą się tutaj przed Tatarami. Ech, szkoda mi go.

– Naprawdę nie da się jego domku odbudować? – zapytała Luiza.

– Pewnie by się dało. Ale dyrekcja nie chce. A tak w ogóle to macie farta, że go spotkaliście. Wincenty ostatnio siedzi tylko w piwniczce, która ocalała po pożarze i niechętnie pokazuje się innym.

Mówią nawet, że ten, kto go spotka, będzie miał w życiu szczęście. To taki rodzaj błogosławieństwa. – Puściła do nich oko.

Luiza dotknęła ręki Józefa i wstała.

Pokoik w pensjonacie Orlica nie przypominał wprawdzie eleganckiego apartamentu w Bristolu, ale tym razem było jej wszystko jedno. Był maleńki, z podwójnym łóżkiem, na widok którego Józef znowu się zaczerwienił. A potem zaniemówił, kiedy zobaczył, jak Luiza najzwyczajniej w świecie ściąga z siebie ubranie i staje przed nim w kusej koszulce, patrząc mu prosto w oczy. Nigdy nikomu o tym nie powiedział. Nigdy nie zdradził, że jego pierwszy raz z Luizą był jednocześnie pierwszy w ogóle. I doprowadził go na krawędź przepaści, od której nie było już odwrotu. Ale przecież mieli błogosławieństwo Wincentego. I świętą Kingę na szczęście.

Józef wiedział jedno – gdyby mógł cofnąć czas, pewnie znowu by w tę przepaść skoczył.

Luiza zniknęła w zasadzie z dnia na dzień. Józef początkowo nie uwierzył recepcjoniście w hotelu Bristol, który poinformował go, że kobieta, z którą chciałby porozmawiać, niestety jest nieosiągalna.

– Co to znaczy? – spytał zaniepokojony, uśmiechając się półgębkiem do proboszcza, który po raz kolejny pozwolił mu zatelefonować do Warszawy. Nie wypadało odmówić, zwłaszcza że syn Koszałków wyleczył jego psa z jakiejś paskudnej alergii.

– To znaczy proszę pana, że wczoraj się wymeldowała i wyjechała.

– Dokąd?

– A tego, szanowny panie, nie wiemy, a nawet gdybyśmy taką wiedzę posiadali, niestety nie moglibyśmy się nią podzielić.

– A zostawiła jakąś wiadomość? Albo może inny numer telefonu? Adres jakiś? – Józef nie zauważył nawet, kiedy zaczął podnosić głos i nerwowo przestępować z nogi na nogę. Jak to się wymeldowała? Gdzie do diabła jest Luiza?

Proboszcz domyślił się, że młody Koszałka został owładnięty szalem pierwszego zauroczenia, dlatego nie oponował, kiedy ten rzucił słuchawką, a potem zaczął wydawać z siebie dziwne okrzyki.

– Pamiętaj synu, że w ciemności najwyraźniej widać Boga.

Józef zerwał się na równe nogi i oznajmił:

– Nie szukam Boga, tylko Luizy. W ciemności, jasności, a nawet we mgle. I znajdę, choćbym miał niebo rozpruć, a ziemię rozkopać.

Pięć lat trwały te poszukiwania, zanim dotarło do niego, że zarówno ziemia, jak i niebo są zdecydowanie zbyt duże jak na jednego człowieka. Próbował zapomnieć o Luizie, próbował wyprzeć z pamięci kobietę, która najwyraźniej nie chciała niczego więcej poza tamtą nocą w Pieninach. Studia weterynaryjne ukończył w Warszawie, w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, i w stolicy właśnie postanowił zadomowić się na dłużej.

Może ją spotka...

Kilkadziesiąt lat później Józef przypomniał sobie ten dzień i przez głowę przeleciała mu myśl, czy to czasem nie przypadek rządzi ludzkim losem. Czy nie przypadkowo na czyjejś drodze pojawiają się określone ludzie i określone okoliczności. Tamtego dnia mógł poznać każdą inną kobietę. Ale zobaczył Konstancję i po raz pierwszy od czasu rozstania z Luizą znowu poczuł to przyjemne szarpnięcie w okolicach serca, które kazało mu się zatrzymać i spojrzeć raz jeszcze. Pracował wtedy jako pomocnik weterynarza i codziennie z dumą wkładał zielony fartuch oraz przywoływał równie zieloną nadzieję, że kiedyś będzie miał własny gabinet.

Konstancja miała dwadzieścia dwa lata, a kot, którego do niego przyniosła, zaledwie dwa. Był mały, wychudzony, bez problemu dał się wziąć na rękę i zbadać.

– Czy on umrze? – spytała dziewczyna, skubiąc nerwowo końcówkę ciemnego warkocza i patrząc na zwierzątko ze smutkiem w swych dużych oczach.

Józef postanowił, że nawet jeśli kot pożegna się z tym światem, to on go wskrzesi. W tej dziewczynie było bowiem coś uroczonego i coś swojskiego, choć zupełnie nie wiedział dlaczego. Osłuchał kota, zajrzał mu do pyszczka i pod ogon, a potem stwierdził z pełną powagą:

– Po prostu musimy go odrobaczyć.

Konstancja spojrzała na niego częściowo ze zdumieniem, częściowo już z wdzięcznością. Robaki brzmiały wprawdzie obrzydliwie, ale chyba to nie była śmiertelna choroba.

Józef natychmiast wszystko jej wytłumaczył:

– Szkodliwy wpływ takich pasożytów polega przede wszystkim na pobieraniu niezbędnych dla organizmu składników pokarmowych, co może prowadzić do chorób niedoborowych, łącznie z zaburzeniami wzrostu zwierząt. Ten maluch nie wygląda mi na dwa lata, a to dlatego, że ciągle coś go podskubuje od środka. Proszę się nie martwić, koteczek będzie żył.

Konstancja odwdzięczyła się przyjemnym uśmiechem, a Józef poczuł delikatne zwiotczenie w okolicach łydek. Pomyślał też, że to prawdziwe zrządzenie losu, że mały kocurek naźarł się larw jakiegoś pasożyta. Tydzień później Konstancja i Józef odbyli swoją pierwszą randkę, a z każdą kolejną twarz Luizy powoli zacierała się w jego pamięci.

Tylko raz go zabolalo, kiedy Konstancja koniecznie chciała pojechać z nim w góry.

– Ale dlaczego Pieniny? – spytał zaskoczony.

– Chciałabym popłynąć Dunajcem. I wejść na Trzy Korony. Aha, i jeszcze kościół zobaczyć w Grywałdzie. Babcia mi kiedyś o nim opowiadała.

Józef popatrzył na nią chmurnie i zagryzł wargi. A potem powiedział:

– W Tatry cię wezmę.

Ale jakoś tak się złożyło, że nigdy nie pojechali ani w Tatry, ani w Pieniny.

KIRA

Rozdział osiemnasty

Józef doszedł do wniosku, że jedyną szansą na cokolwiek jest stanowczość. Rozmowy najwyraźniej nie miały żadnego sensu, poza tym Konstancja i tak go nie słuchała. Mógł jeszcze długo tak chodzić i prosić, i tłumaczyć, i wyjaśniać, a ona patrzyłaby na niego z góry i zamykała mu drzwi przed nosem.

Czy ona nie rozumie, że on naprawdę nie wiedział? Nie miał zielonego pojęcia, kim jest Luiza. Owszem zdradzał swoją żonę i owszem zakochał się w innej. Sam nie do końca rozumiał, jak to się stało i co go tak bardzo pociągało w tej starszej od niego kobiecie, ale faktem jest, że nie potrafił przestać o niej myśleć. I przecież poznał ją dużo wcześniej! Tyle że potem zniknęła i trochę czasu potrzebował, żeby znowu wrócić do pionu.

To Konstancja go uratowała, choć nieświadomie. Odnosił jednak dziwne wrażenie, że kiedy już wypełniła swoją misję, nagle usunęła się w cień. Trudno było ją kochać. Chodziła zachmurzona, rzadko się uśmiechała i ciągle miała do niego pretensje. Najchętniej rozmawiała z kotami, a do niego odzywała się głównie wtedy, gdy musiał coś zrobić.

– Czy ty mnie kochasz? – zapytał ją kiedyś bardzo zwyczajnie i po prostu.

Zaczerwieniła się aż po same koniuszki swoich drobnych uszu i odwróciła do niego plecami. A to było zwykłe pytanie. W takiej sytuacji mówi się „tak” albo „nie” i wszystko jest jasne.

– Daj spokój – powiedziała tymczasem.

Józef podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

– Kostka, odpowiedz mi po prostu.

– Daj mi spokój. Jesteśmy przecież małżeństwem.

No właśnie. Tyle że to jeszcze niczego nie gwarantuje. A już na pewno nie uczucia.

Z Luizą wszystko było jakieś mniej skomplikowane. Śmiała się, kiedy do niej mówił, słuchała go z zaciekawieniem i całowała w usta zawsze wtedy, kiedy miała na to ochotę. Było w niej tyle życia i radości, że mogłaby nimi obdarować pół świata. Nic dziwnego, że kiedy ją spotkał po latach, uczucie wróciło ze zdwojoną siłą i po prostu zupełnie nie umiał się jej oprzeć.

– Ja nie rozumiem, dlaczego ciągle do mnie przychodzisz. Nie mam najmniejszej ochoty z tobą rozmawiać. W jakimś sensie znowu wróciłeś do mojego życia, jak zwykle nie pytając nikogo o zdanie, ale to jeszcze nie znaczy, że kiedykolwiek ci wybaczę – powiedziała Konstancja, kiedy zobaczyła Józefa w drzwiach.

– Wiem – powiedział krótko. – Ale ja w innej sprawie.

– Nie po wybaczenie? – zdziwiła się odruchowo.

Pokręcił przecząco głową.

– Musisz ze mną gdzieś pojechać.

– Cierpisz na zespół gwałtownego zmartwychwstania czy po prostu jesteś głupi? – spytała spokojnie.

Józef roześmiał się i podszedł do niej tak blisko, że chcąc nie chcąc, musiała go wpuścić do domu. Poszedł od razu do kuchni, zupełnie jakby to było czymś naturalnym i puścił oko do Patrycjusza, który natychmiast wpakował mu się na kolana. Konstancja rozumiała, że jej mąż uratował mu życie, kiedy w ubiegłym roku Patrycjusz zadławił się pierścionkiem Kiry. Mimo wszystko wolałaby, żeby jej kot nie spoufalał się tak z Józefem.

– Miałbym szansę na herbatę?

Zgrzytnęła zębami.

– Z miodem?

Postawiła przed nim słoik z taką stanowczością, że część zawartości wylała się na stolik. Nie zwróciła na to jednak większej uwagi, tylko wstawiła wodę. Przez głowę przebiegła jej szybka myśl, żeby oblać go wrzątkiem, z drugiej jednak strony musiałaby potem opatrywać jego bąble. To niech już lepiej wypije herbatę i wraca do siebie.

– W Pieniny – powiedział nagle.

Odwróciła się i spojrzała na niego, niewiele rozumiejąc.

– Pojedź ze mną w Pieniny. Wtedy chciałaś. Możemy wynająć jakiś hotel, oczywiście z dwoma pokojami albo prześpimy się w schronisku. Wezmę cię do Grywałdu i do Krościenka. Coś ci tam pokażę. Bo to z tobą powinienem jechać w te góry już dawno, ale wtedy jeszcze cię nie znałem. A potem – zawahał się na moment – potem po prostu nie mogłem...

Konstancja usiadła przy stole i zastanawiała się, jak powiedzieć swojemu mężowi, żeby wreszcie poszedł sobie do diabła i nie oglądał się za siebie.

– Tam kiedyś mieszkał taki pustelnik, który spał w trumnie.

– Ty też spałeś w trumnie, dopóki Kalina cię z niej nie wyciągnęła.

Wzdrygnął się.

– W umownej trumnie – powiedział po chwili. – Do której zresztą to ty mnie wpakowałaś.

Wzruszyła ramionami.

– Nigdzie z tobą nie pojedę. Ani w Pieniny, ani w Pireneje, ani nawet do Tesco po włoszczyznę.

Józef chwycił ją za rękę i mocno przytrzymał, chociaż się wyrywała.

– Kostka. Na dwa, góra trzy dni. Chcę ci tylko pokazać parę miejsc i jeszcze raz wszystko na spokojnie wytłumaczyć.

Zaczerwieniła się.

– Nie musisz! Nie interesuje mnie kompletnie nic z tamtego okresu. Dlaczego, w jakich okolicznościach, ile razy i kto pierwszy zaczął. Nie chcę wiedzieć.

– To pojedź ze mną, ot tak. Możemy się umówić, że w ogóle nie będziemy ze sobą rozmawiać.

Spojrzała na niego wymownie.

– To może ty pojedź w Pieniny, a ja zostanę tutaj. Na jedno wyjdzie.

Pokręcił głową.

– Chociaż się zastanów. Krótkie, niezobowiązujące wakacje. Kiedy ostatni raz ruszałeś się z domu?

W ogóle. Za to Kalina wystarczająco daleko się ruszyła i rozgrzebała stary grób.

– A wiesz, że oni znowu jadą do Holandii? – najwyraźniej czytał jej w myślach.

– Po co?

– Ostatnim razem Kalinie nie udało się spełnić swojego największego marzenia, czyli wizyty w tym wielkim parku tulipanów w Keukenhof koło Amsterdamu. Chcą tam pojechać na długi weekend majowy.

– Z Heleną?

– Tak. A my moglibyśmy w tym samym czasie wybrać się w Pieniny.

– Idź już, Józek – powiedziała cicho.

I ten dziwnie cichy ton dał mu minimalną, ale jednak nadzieję.

Kira odczuła w pracy współczesną trędowatość. Co prawda, nikt jej niczego nie powiedział, ani nie spluwał pogardliwie w jej stronę, mimo to odnosiła wrażenie, że traktują ją jak zbuka. Śmierdzące jajo, które wydziela fetor dopiero po rozbiciu. Jeden Maciej zachowywał się normalnie. I nawet Majka zdawała się jej unikać. Kira zastanawiała się, czy Kordian w jakikolwiek sposób napomknął jej o ich spotkaniu, ale wtedy pewnie kochająca kuzynka wydrapałaby jej oczy.

Postanowiła niczym się nie przejmować. W końcu za parę tygodni nikt nie będzie o niczym pamiętał. A ona przecież nie zamierzała ciągnąć dłużej tej masochistycznej gry o namiastkę szczęścia, zwłaszcza że już niedługo będzie mogła się nim nacieszyć w pełnej krasie. Kordian powoli przechodził na jej stronę mostu. Być może jeszcze oglądał się za siebie, być może po dwóch krokach do przodu robił trzy w tył, ale prędzej czy później w końcu się spotkają. Nawet Majka ich zrozumie. Bywały oczywiście momenty pełne zwątpienia, kiedy Kirze wydawało się, że wszystko to sobie wyobraziła, że spotkanie w cukierni i te pralinki tylko jej się przyśniły, a Kordian wcale nie był nią zainteresowany.

– Co mówisz, babciu? – spytała po chwili, słysząc, jak Konstancja mruczy coś pod nosem i ze złością ustawia filiżanki w kredensie.

– Nigdy nie zrozumie takiego podgatunku mężczyzn – powiedziała głośno.

– To znaczy?

– Pieprzonych adonisów. Lawirantów i obłudników. Po co oni się żenią, skoro jedna kobieta im nie wystarcza?

Kira zagryzła wargi. To zdecydowanie nie było pytanie do niej. A może jednak?

– Wiesz babciu, bywa że dopiero po jakimś czasie okazuje się, że ludzie ciężko się ze sobą dogadują. Niby są razem, a jednak nie do końca. Zapominają, dlaczego wzięli ślub. Zapominają o tym, że trzeba kogoś chwalić, przytulać bez powodu, patrzeć w tym samym kierunku i przytrzymać

za rękę, kiedy ktoś się potknie. I potem pojawia się ta trzecia, która robi wszystko to, co powinna żona – zastanowiła się przez chwilę. Naprawdę ona to mówi? Przecież dotąd pogardzała tymi wszystkimi kobietami, które nie potrafiły utrzymać przy sobie mężów. Nigdy nie czuła się winna, tylko bardziej atrakcyjna.

– Tak sobie myślę, że gdyby ludzie słuchali się nawzajem, to zagrożenie zdradą byłoby znacznie mniejsze. Ta trzecia mogłaby próbować różnych sztuczek, ale pewnie bezskutecznie – dodała jeszcze.

Konstancja zamknęła kredens i nie odwracając się do Kiry, spytała:

– Czemu one to robią?

– Niektóre z nudów, inne szukają Pigmalionów, a czasem ze strachu, że normalny związek i tak im się nie uda. Wyłączenie męczyzny z dotychczasowego układu mąż–żona traktują jak wyzwanie. Czują się lepsze, psując szczęście innych. To taki eksperyment, podobnie jak u dzieci – przerwała na moment. Coś w tym było. Kiedy była mała, zdarzało jej się wyrwać koleżankom zabawki albo zburzyć komuś wieżę z klocków. Sprawdzała w ten sposób swój wpływ na inne dzieci, swoją siłę i posłuch. Tyle że to co uchodziło trzylatce, niekoniecznie należało usprawiedliwiać w dorosłym życiu. – To strasznie nie w porządku jest. Usłyszała własny głos.

Wreszcie to powiedziała. Choć być może tylko dlatego, że już niedługo nie będzie tą trzecią. Ani nigdy potem.

– Patrząc w tym samym kierunku – powtórzyła Konstancja. – Nie zawsze się to udaje.

Kira kiwnęła głową.

– Widziałaś się z dziadkiem?

Babcia zaśmiała się gardłowo.

– Wpakował się dzisiaj do mojej kuchni i zaproponował mi wspólny wyjazd.

Kira spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Jak to?

– No właśnie. Uznał najwyraźniej, że jeśli pojedziemy razem w Pieniny, to wszystko się ułoży.

– A dlaczego właśnie tam?

Konstancja tylko machnęła ręką.

– Nieważne. I tak nigdy mu nie wybaczę.

– Babciu, przecież to było tyle lat temu. Zdradził cię, to musiało boleć, ale może to ta kobieta bardziej zawiniła? Luiza tak?

Konstancja spojrzała na nią bez cienia uśmiechu.

– Poznałaś ją?

– Dziecko... Ja jej nie musiałam poznawać. Ja ją znałam bardzo dobrze. To była moja matka.

Kira upuściła z ręki telefon i zastygła z pytaniem na ustach. Minęło kilka dobrych chwil, zanim udało jej się odezwać.

– Moja pra...

– Tak. Twoja prababka.

– Ale ona miała inaczej na imię.

– Kwiryna. Luiza to było imię, hmm, sceniczne, że tak to elegancko nazwę. Moja matka była luksusową prostytutką. Przed wojną podobno nie miała innego wyjścia, a potem to pewnie była kwestia przyzwyczajenia. Nie wiem, nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałam. Ale wiem, że sypiała wyłącznie z bogatymi, żonatymi mężczyznami, którzy zapewniali jej beztrudne życie. Tylko zupełnie nie rozumiem, dlaczego zainteresowała się Józefem. Biedny, dużo młodszy, bez perspektyw na szybki dorobek.

Kira spuściła głowę.

– A wiesz, że miała takie oczy jak ty? Tylko odwrotnie. Prawe niebiesko-brązowe, a lewe niebieskie.

– Czy dziadek wiedział...?

– Podobno nie. Podobno oboje nie wiedzieli. Ale to nie znaczy, że ból był mniejszy. Mój mąż zdradził mnie z moją matką.

– Babciu, musisz mu wybaczyć! Jeżeli naprawdę nie wiedział, to musisz go zrozumieć. Wiem, że to była zdrada, że cię oszukał, ale babciu, to się czasami po prostu zdarza! Ktoś przyjdzie, namiesza, zawróci w głowie i zrobi to, bo sam jest... głupi, pogubiony, chory od środka – Kira wstała, podeszła do Konstancji i mocno ją przytuliła.

Babcia pocałowała ją w czubek głowy.

– Nie wiem, czy potrafię.

– To chociaż pojedź z dziadkiem w te Pieniny. Nie myśl, nie zastanawiaj się, nie roztrząsaj i nie analizuj. Po prostu z nim wyjedź.

LUIZA

Rozdział dziewiętnasty

Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty. Marzec. Martha Argerich została właśnie zwyciężczynią VII Konkursu Chopinowskiego, ale Józefa jakoś ominęła ta wiadomość. Siedział w kawiarni na Nowym Świecie, pił wodę gazowaną i nie myślał o niczym. No, może trochę o Konstancji. O tym, że nie umie do niej dotrzeć, że nie potrafi się przebić przez pancierz jej dziwnej frustracji. Odnosił wrażenie, że jego żona ciągle była z czegoś niezadowolona. Chodziła naburmuszona, nie chciała z nim rozmawiać, a potem nagle przychodziła i żaliła się, że nie okazuje jej żadnych uczuć. Józef czuł się jak na huśtawce, jakby szybował raz w górę, raz w dół, ale bez tej dziecięcej radości, która towarzyszy bujaniu. W dorosłym życiu huśtawka kojarzyła mu się raczej z ciągłym niepokojem.

I wtedy pojawiła się ona.

Tak po prostu weszła do tej samej kawiarni w ślicznej, krótkiej białej sukience w czarne grochy, krótko obcięta jak Twiggy. Miała już wtedy czterdzieści siedem lat, a jednak ciągle wyglądała młodo. Gładka cera, usta pociągnięte błyszcznikiem, długie rzęsy. Włosy pofarbowała na kasztanowy kolor i trzeba przyznać, że bardzo jej było w nim do twarzy. Kiedy zobaczyła Józefa, zamknęła na ułamek sekundy oczy, ale jednak do niego podeszła i powiedziała cicho:

– Witaj.

Józef siedział jak zaczarowany. Nie widział jej czternaście lat, a wydawało mu się, jakby to było wczoraj. Spotkania, rozmowy, spacer, prezent od Wincentego i ta noc w pensjonacie. Miało być błogosławieństwo, a była rozpacz, tęsknota i żal, że święta Kinga wcale nie pomogła.

Luiza usiadła obok niego, oparła dłoń o podbródek i popatrzyła mu prosto w oczy. Wytrzymał ten wzrok, a nawet więcej. Dotknął jej włosów, policzka i chwycił ją za rękę.

– Dlaczego wtedy uciekłaś?

Pokręciła głową.

– W każdym związku jest ktoś, kto kocha i ktoś, kto się kochać pozwala.

– To w takim razie, dlaczego nie pozwalasz? Bo byłem od ciebie młodszy? Bo nie spełniłem twoich oczekiwań?

Luiza doszła do wniosku, że ta rozmowa powinna zostać jak najszybciej zakończona, a punkt ciężkości przeniesiony zupełnie gdzie indziej. To, że Józef był dużo młodszy, nie miało żadnego znaczenia. Zdecydowanie bardziej ich związkowi mógł zaszkodzić fakt, że wcześniej była związana z kimś innym, a teraz wróciła do zawodu. Zmusiły ją do tego okoliczności, a właściwie Witold Krawiński, który został jej mężem. W zamian za środki, które zainwestował w Konstancję i Kunegun-

dę, zażyczył sobie, aby Luiza pozostała z nim we Francji, nie odwiedzała Polski, nie przyjeżdżała pod żadnym pozorem do Warszawy i nigdy więcej nie spójrzała na żadnego innego mężczyznę. Z czasem jego zazdrość stała się pełna obsesji i paranoicznego strachu przed porzuceniem. Wystarczyło kilkuminutowe spóźnienie, a on już widział za nim romans, kradzione pocałunki, a nawet zdradę. Ciągłe domagał się potwierdzenia, że jest jedyny, najbardziej hojny, męski i niepowtarzalny. Sam zaś przy byle okazji zarzucał Luizie niewierność i kłamstwo.

– Opowiesz mi, jak to robiłaś z moim zięciem idiotą? – pytał co jakiś czas i podchodził do Luizy tak blisko, że nie mogła wstać z krzesła. – Jaką najbardziej cię lubił? Wyuzdaną czy raczej bardziej świętą? Brał cię od tyłu? Wiązał?

Po jedenastu latach małżeńskiego koszmaru Luiza doszła do wniosku, że czuje się większą dziwką niż wtedy przed wojną. Z dnia na dzień spakowała walizki i wróciła do Warszawy. Wszystkie pieniądze, które udało jej się zaoszczędzić, zawiozła Konstancji. A właściwie Kunegundzie, bo córka nie chciała się z nią spotkać.

– Powiedziałaś jej? – spytała tylko.

– Uznałam, że jest dorosła i powinna wiedzieć. Wyjaśniłam jej, że wtedy były takie czasy i wiele kobiet musiało w ten sposób dorabiać na boku.

Luiza zamknęła oczy.

– Ale po co?

Kunegunda wzruszyła ramionami.

– Każdy sam musi dźwigać swój krzyż, a nie pozwalać nosić go innym. Tak jest najłatwiej, ale moralnie źle. Wypinałaś tyłek, to teraz miej odwagę, żeby się do tego przyznać. Poza tym Konstancja jest twarda, nie pokazała, że ją to jakoś ruszyło. Zresztą co z was za matka i córka? Ty tam, ona tu.

Luiza wyciągnęła kopertę z pieniędzmi i przekazała ją Kunegundzie.

– Odeszłam od męża, więc tym samym odcięłam wam źródło dochodu. Ale te pieniądze starczą na jakiś czas, a potem coś wykombinuję.

– Nawet wiem co.

Luiza doszła do wniosku, że nie ma sensu pojawiać się znowu w życiu Konstancji i mieszać jej w głowie. Nie dopełni na siłę lat, które upłynęły i nie przekreśli tego, co robiła kiedyś. Poza tym jej córka ma własne życie. Od Kunegundy dowiedziała się, że Konstancja chce zostać pielęgniarką (może chociaż jej się uda), spotyka się z pewnym chłopakiem, a nawet, że są zaręczeni.

– Kochają się? – spytała jeszcze.

Kunegunda prychnęła.

– Zupełnie jakby cię to obchodziło! Dla ciebie miłość to gotówka, a oni jej nie mają.

Luiza widziała wtedy matkę po raz ostatni. Dwa lata później Kunegunda zmarła, o czym jej córka dowiedziała się dopiero po jakimś czasie. Zastanowiła się nawet, czy jest jej żal, że nie poszła na pogrzeb i stwierdziła, że dobrze się stało, bo w czarnym wyglądałaby zdecydowanie zbyt staro. A przecież głupio byłoby przyjść na pogrzeb własnej matki w czerwonej sukience.

Przeniosła się ze wspomnień znad grobu z powrotem do kawiarni i zamówiła wodę z sokiem. Przyjemnie jej było tu i teraz. Z Józefem. Był ciągle tak samo nieśmiały, jak wtedy w Pieninach i nadal tak bardzo szarmancki, że aż ją to krępowało. Witold mówił do niej „moja dziwko”, Józef powiedział, że pachnie tęsknotą.

– To Diorling Christiana Diora – droczyła się z nim odrobinę.

– Ale i coś jeszcze – nie dawał za wygraną. – Tak jakbyś mnie szukała.

Nie przyznał się wtedy, że od dwóch lat jest mężem Konstancji. Może dlatego, że Luiza nie pytała. Nie interesowało ją, co on robi, z kim się spotyka, gdzie mieszka i jak wygląda jego życie. Chciała tylko porozmawiać. To on wymusił na niej kolejne spotkanie, a potem jeszcze jedno i jeszcze, aż w końcu domek z kart nie tyle się rozpadł, ile stanął w płomieniach. Zupełnie jak pustelnia Wincentego w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku. Tyle że z ich domku nie pozostało absolutnie nic.

KIRA

Rozdział dziewiętnasty

– A gdybym tak zaszła w ciążę? – spytała swojego odbicia w lustrze i aż sama wystraszyła się tego pomysłu.

Nie, to zdecydowanie za wcześnie. Co prawda, Helena zachwycała ją nieustająco, ale co innego siostra, a co innego osobiste niemowlę, płaczące po nocach i dezorganizujące życie. Sama przecież widziała, co dzieje się z Kaliną. Wieczne zmęczenie, zasypianie podczas rozmowy, całkowita rezygnacja z dodatkowych zajęć typu kino, teatr czy choćby spacer w samotności. A jednak wyglądała na szczęśliwą. I coraz częściej rozmawiała z Kirą, choć ciągle jeszcze z pewną dozą ostrożności.

Usiadła na łóżku i zaczęła intensywnie myśleć. Kiedy dowiedziała się o Luizie, chciała natychmiast zadzwonić do Kordiana i przeprosić za to, że próbowała go zdobyć. Przeprosić też Annę. I wszystkie inne żony, którym namieszała w życiu. Czy to możliwe, że odziedziczyła gen niszczenia? Że prababka przekazała jej nie tylko swoje cudne oczy, ale także ich niszczącą siłę? Musi z tym skończyć. A jednak z każdą kolejną godziną była coraz mniej pewna tego, że chce zrezygnować z Kordiana. A jeśli to jest jej miłość na całe życie?

Gdyby udało się zdobyć Kordiana i gdyby to miało być na zawsze, to Annę należało przecież wyeliminować od razu. Nie doprowadzać do żadnych wahań, wyrzutów sumienia, zastanawiania się, z którą będzie bardziej szczęśliwy. Szybkie, krótkie cięcie, dobre dla każdej ze stron. Ostatni raz. Naprawdę. To nie było żadne polowanie, żaden test na atrakcyjność. Cięża załatwiłaby wiele spraw i rozwiązała te supelki, które wydawały się zaciągnięte na wieki.

Luiza... Przecież fakt, że jej prababcia była prostytutką, nic jeszcze nie znaczy. To były inne czasy, inne okoliczności. A z opowieści Konstancji wyraźnie wynikało, że dziadek i Luiza naprawdę się w sobie zakochali. Tak jak ona w Kordianie.

Czekała na telefon od niego już drugi dzień i chociaż w każdej innej sytuacji byłby to dopiero drugi dzień, to jednak teraz czas ciągnął się niemiłosiernie. Nie dzwoni, bo nie chce? A może nie wie, co powiedzieć? Gorzej, jeśli się rozmyślił i uznał ich czekoladowy dialog za jedno wielkie nieporozumienie. Najchętniej sama by do niego zadzwoniła, ale postanowiła więcej się nie narzucać. Ten ruch należał do niego. „Bądź bardziej niedostępna niż dostępna”, mówił Eugeniusz Kozłowski i jak zwykle miał rację. „Kobieta zyskuje na wartości, kiedy nie można jej mieć, choć bardzo by się tego chciało”.

Wybrała numer Kordiana i natychmiast nacisnęła czerwoną słuchawkę w komórce. Schowała telefon pod poduszkę i dodatkowo przydusiła kocem. A potem pojechała do redakcji, mimo że miała dzisiaj pracować w domu. Ostatnio częściej tak robiła, dzięki czemu udawało jej się unikać kontak-

tu z kolegami. Z Majką też nie miała o czym rozmawiać.

Maciej zajrzał do niej zdziwiony, ale tylko machnęła ręką.

– Komputer mi padł, muszę tutaj popracować.

Przeczytała pytanie „zmarzwionej Leonii” i napisała:

„Obierz kilka pomarańczy i podgrzej same skórki w piekarniku (ustaw termostat na około sto siedemdziesiąt pięć stopni), a następnie go otwórz. Pogotuj też na małym ogniu kilka goździków lub laskę cynamonu”.

Okej. Smród po smażeniu wytępiony. Ale jak wytępić z głowy męczące myśli o facecie, który prawie pocałował, a teraz nie oddzwania? I jak na moment wyrzucić z siebie wspomnienia o Luizie, które kłuły sumienie?

Następnego dnia była już prawie pewna, że to ona musi zrobić kolejny krok. Trudno. Być może trafiła na nieśmiałego mężczyznę, który prawdopodobnie już kilkadziesiąt razy wybrał numer jej telefonu, a potem jeszcze szybciej się rozłączał.

– Jasne. I pewnie jeszcze zasypia z moim zdjęciem pod poduszką – powiedziała głośno, a następnie postanowiła, jaki będzie następny ruch.

Odczeka jeszcze jeden, maksymalnie dwa dni, a potem po prostu pojedzie do niego na uczelnię i pocałuje go w tym kantorku dla doktorantów, nawet jeśli nie będzie sam i nawet jeśli potem będzie musiała stawić czoło jego przerażeniu i widmu prababki.

Kosma ułożył na łóżku w sypialni trzydzieści osiem różnego rodzaju stosików i bardzo skrupulatnie notował coś na kartce papieru. Kalina wiedziała, że nie ma najmniejszego sensu pytać go co robi, ani tym bardziej odwozić od pomysłów, które już wykiełkowały, a teraz zbierały ziarno. Kosma przygotowywał się do podróży z dzieckiem.

– Obejrzałem program pewnego globtrotera, którego nazwisko niestety mi umknęło, i on mówił bardzo ważne rzeczy o wakacjach z dziećmi. Zrobiłem notatki i teraz wszystko staram się dopasować do jego porad – powiedział, jak tylko zobaczył Kalinę, choć ta starała się na paluszkach uciec bezszelestnie do kuchni.

Niestety.

Będzie musiała go wysłuchać.

– Otóż przed wyjazdem trzeba czytać z dzieckiem jak najwięcej o kraju, do którego się jedzie. Opowiadać mu bajki z tamtych regionów, pokazywać fotografie. Można również zacząć przygotowywać regionalne potrawy, aby oswoić malucha z nowymi smakami, ale nie wiem, czy Helena nie jest za mała na fondue. Facet wspominał też, aby przygotowywać dziecko do noszenia plecaka, ale podejrzewam, że jednak miał na myśli starsze dzieci. Niemniej jednak zakupiłem miniaturowy plecak z biedronką i zapakowałem do niego dwa gryzaki, smoczek oraz przytulankę żyrafkę.

– A opowiedziałeś już Helenie o Amsterdamie? – spytała Kalina, starając się zadusić ironię w swoim głosie.

Przytaknął oczywiście.

– Na razie wyjaśniłem jej, że to fascynująca mieszanka historii i współczesności oraz że okres, w którym jedziemy, jest idealny, pozna bowiem Holandię od jej najpiękniejszej strony, czyli tulipanów, narcyzów oraz hiacyntów. Za tymi ostatnimi specjalnie nie przepadam, gdyż ich zapach wywołuje u mnie halucynacje, ale być może Helena będzie innego zdania. Ponadto powiedziałem, że Amsterdam leży na sześciuset kanałach i że na jednym z nich została prawdopodobnie poczęta. – Puścił oko do Kaliny. – To znaczy zdarzyło się to na barce, no ale barka stała w kanale.

– Rozumiem, że była zachwycona twoimi opowieściami?

– Absolutnie. Co prawda, dość szybko zasnęła, ale wiem, że jej mózg zakodował to, co najważniejsze. Zobaczysz, kiedy skończy dwadzieścia lat, jakaś tajemnicza siła popchnie ją do tego miasta, o którym będzie już wszystko wiedzieć. O wodnych bazarach kwiatowych, urokliwych uliczkach oraz o coffee shopie „Bushdoctor”, w którym to mieliśmy okazję spróbować tamtejszych specjałów.

Kalina pokiwała głową i raz jeszcze rzuciła okiem na trzydzieści osiem stosików. Śpioszki, czapeczki, sukieneczki na upał, sweterki, gdy powieje chłodem, książeczki, maskotki, kocyki mniejsze i większe... Postanowiła, że zajmie się obiadem.

– I jeszcze coś! – zawołał Kosma. – Ten globtroter wspominał, że należy pozwolić dziecku komunikować się z innymi dziećmi, w sensie tubylcami. Będziemy zaskoczeni, kiedy zobaczymy, jak szybko potrafią się ze sobą dogadać!

– Wiem! – odkrzyknęła Kalina. – Co prawda, dogadają się bez słów, ale z pewnością szybciej niż dorośli znający cały alfabet!

Cieszyła się na ten wyjazd. Przyjemność sprawiała jej myśl, że jadą tam we trójkę, choć odrobinę przerażała ją podróż z Heleną. Wiedziała jednak, że z Kosmą jakoś sobie poradzą. Cieszyła się, że pobędą trochę sami, z dala od domu, codzienności, wciąż obrażonej Konstancji, a nawet Kiry, która ciągle wbijała jej jakieś szpile. Chociaż po ostatniej rozmowie coś się zmieniło. Może uda im się w końcu dogadać? Wiedziała, że jako matka narobiła sporo błędów, ale która ich nie robi?

Rozpoczął się dzień czwarty.

Czekanie zaczynało powoli boleć i atakować te obszary mózgu, które były odpowiedzialne za emocje. Było jej smutno, wskutek czego czuła dziwne rozluźnienie mięśni nóg i rąk, napięcie mięśni gardła i okolic oczu oraz stany apatyczne, podczas których nie chciało jej się nawet nalać sobie herbaty. Stała w kuchni, patrzyła na czajnik i nie miała siły go podnieść.

– Bez sensu – powiedziała do siebie. – Na pewno jest jakieś wytłumaczenie tego, że jeszcze nie zadzwonił.

Po raz pierwszy w życiu nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje. Do tej pory prawie zawsze panowała nad emocjami. Owszem, zdarzało jej się być wściekłą, płakać z bezsilności, a nawet miała ochotę wydrapać innym oczy (głównie temu dupkowi, który powysyłał e-maile do jej znajomych), ale zawsze to do niej należało ostateczne zdanie. To ona mówiła ciału, kiedy ma się uspokoić

i przestać przejmować innymi. Teraz było inaczej. Czuła się tak, jakby cierpiała na zanik mięśni. Jakby była zwiotczała od środka, bezwładna w myślach i zachowaniu. Denerwowało ją to, że stoi obok siebie, zamiast z powrotem wskoczyć we własne ciało i zacząć nim rządzić.

– Chcesz szarlotkę? – Konstancja weszła do kuchni, wyjęła jajka, mąkę, cukier i zaczęła obierać owoce.

– Z jabłkami? – zapytała bezmyślnie Kira.

Babcia spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Zdecydowanie tak. Chyba że wolisz śliwki. Ale mam tylko mrożone.

Kira otrząsnęła się.

– Zamyśliłam się chyba. Jasne, że wolę z jabłkami. W końcu to szarlotka. – Zaśmiała się odrobinę sztucznie. A potem podeszła do Konstancji i zajrzała jej w oczy.

– Jedziesz?

– Dołożę tym razem odrobinę świeżej zurawiny, bo mam zbyt słodkie jabłka – odpowiedziała Konstancja.

Kira nalała w końcu wrzątek do kubka i postanowiła znowu być sobą. Przynajmniej do końca dnia.

A potem się zobaczy...

LUIZA

Rozdział dwudziesty

Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Dlaczego?

Kocham Cię nadal, ale to wszystko zmienia.

Co jeszcze ukryłaś pod tą maską?

Dlaczego...?

Luiza uciekła z Francji z dnia na dzień, zabierając to, co udało jej się zaoszczędzić podczas małżeństwa z Witoldem. Wzięła też biżuterię, którą natychmiast sprzedała u jubilera w Warszawie. Wynajęła niewielkie mieszkanie, a kiedy fundusze zaczęły jej się kończyć, skontaktowała się z Madame Helene.

– Jasne, że ci pomogę.

Nie było łatwo. Prostytycję uważano wtedy za „wstydliwą pozostałość ustroju kapitalistycznego” i próbowano z nią walczyć. Każdego roku dochodziło do kilku tysięcy zatrzymań dorabiających w ten sposób kobiet, a wszystko bardzo dokładnie odnotowywały milicyjne raporty. „Michalina P., rejestrowana prostytutka jeszcze z czasów przedwojennych. Oddana prostytucji, nie pracuje ona nigdzie od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego ani też nie ma żadnego majątku i określonego źródła utrzymania. W okresie od dwudziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku do dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku była zatrzymywana osiem razy przez II Komisariat MO za opilstwo, wywoływanie awantur i zgorszenia publicznego” – Luiza doskonale wiedziała, że na taki skandal nie może sobie pozwolić. Co innego być luksusową utrzymanką, a co innego mieć kartotekę. Nie chciała też myśleć, co zrobiłby Witold, gdyby się dowiedział, że jego żona wróciła do zawodu. To wszystko mogłoby się źle skończyć nie tylko dla niej samej, ale także dla Konstancji, a tego za nic by nie chciała.

Klasyfikacja peerelowskich prostytutek była podobna do przedwojennej, choć zmieniło się nazewnictwo. Teraz nie było już chustkowych ani mamzeli, tylko hurysy, balownice, giganciary, brzany, tufty i rogówki. W Warszawie ich ulubionym miejscem pracy były okolice hotelu Polonia, a także wybrane salony fryzjerskie, o czym Madame Helene od razu poinformowała Luizę.

– Załatwię ci pierwszego klienta, a potem dasz już sobie radę. Nie wiem, czy będą tak hojni, jak przed wojną, ale z pewnością będziesz mogła żyć na normalnym poziomie. Jeśli te czasy w ogóle są jeszcze normalne – westchnęła.

Kiedy Luiza po raz drugi spotkała Józefa, była znowu luksusową damą do towarzystwa i miała listę stałych klientów. Gdyby Józef wtedy odpuścił, gdyby powiedział jej, że ma żonę, a ona jest tylko miłym wspomnieniem, ich życie płynęłoby do mety spokojnym nurtem, nie zbierając po drodze żadnych ofiar.

Ale on się uparł.

Dwa lata trwał ten romans, to dziwne zauroczenie między nimi, a jednak żadne z nich nie mówiło ani o przyszłości, ani o wspólnym życiu. Gdyby Józef nie spotkał na schodach mężczyzny, który wychodził z mieszkania Luizy i niby mimochodem spytał go, czy jest następny, pewnie nigdy by się nie dowiedział, kim naprawdę jest kobieta, w którą tak bardzo się zapatrzył. Kiedy otworzyła mu drzwi, od razu wszystko wyczytała z jego twarzy. Nawet jej ulżyło, że już wie. Przyniosła z pokoju koronkową maseczkę, przyłożyła ją do oczu, a potem wcisnęła mu do ręki różową wizytówkę:

Luiza

dyskretnie i higienicznie

Patrzył na nią z niedowierzaniem, więc wzięła go za rękę i wyprowadziła na klatkę schodową, a potem po prostu się odwróciła i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Jeszcze tego samego dnia napisał list. Nie odpisała, wychodząc z założenia, że pewnych rzeczy nie wolno tłumaczyć, bo wtedy człowiek pograża się jeszcze bardziej. Dwa miesiące później nadeszła depesza z Francji, że Witold Krawiński zmarł nagle i niespodziewanie, co zaskoczyło wszystkich, a jego samego zapewne najbardziej, nie zdążył bowiem w porę spisać testamentu. Kołatając się w pośmiertnych przedsięwzięciach, nie mógł zapewne odżałować, że cały majątek został automatycznie przepisany na jego wredną żonę, która zwiła kilka lat temu i nawet nie podziękowała za wszystko, co dla niej zrobił. Początkowo chciał jej szukać, ale kiedy usłudźni przyjaciele donieśli mu, czym ona się zajmuje, uznał, że po raz drugi nie będzie wyciągał jej ze szponów prostytucji. Widocznie urodziła się po to, by być dziwką. Pieniądze na utrzymanie Konstancji zablokował jeszcze tego samego dnia, o testamencie jednak zapomniał.

Tym samym Luiza odziedziczyła całkiem sporo, a nawet więcej – po odliczeniu kosztów notarialnych mogła się wypiąć na cały męski świat nie tylko w tym życiu, ale także w pięciu następnych.

– Jestem bogata – wyszeptwała, patrząc na sumę, którą zapisał jej na kartce notariusz, na akt własności domu oraz parę innych gadżetów, po spieniężeniu których mogła się kąpać w wannie pełnej kawioru co najmniej przez trzydzieści kolejnych lat.

Wtedy też w jej głowie po raz pierwszy zaświtała myśl, że mogłaby związać się z Józefem na stałe. Nic już nie stało im na przeszkodzie, a przeszłość da się z pewnością jakoś zasłonić lub przynajmniej tak zmatowić jej obraz, że nikogo nie będzie kłuła w oczy.

Znalazła go w przychodni i choć przyszła bez żadnego zwierzątka pod pachą, co mocno zaskoczyło dwóch innych weterynarzy, udało jej się wejść do jego gabinetu, wciskając się przed starszą pa-

nią z jamnikiem. Pies nie miał nic przeciwko, w przeciwieństwie do swojej właścicielki, która wydała dźwięk protestujący, co Luiza niegrzecznie zignorowała.

– Może po prostu spróbujemy po raz trzeci? – spytała od razu, zupełnie jakby te kilka miesięcy, podczas których się nie widzieli, nie miało żadnego znaczenia.

– Moja żona spodziewa się dziecka – odpowiedział jeszcze szybciej.

Wyszła, kłaniając się odruchowo starszej pani z jamnikiem, a potem pojechała do hotelu i wypięła duszkiem wszystko, co znalazła w barku.

To straszne, ile razy człowiek dostaje od życia kopniaka w dupę, a potem, mimo siniaków, nadstawia ją po raz kolejny. Egzystencjalny masochizm. Podobno wyjaśnieniem samobójczego lotu ćmy do ognia jest błąd nawigacji. Kierowane instynktem owady myślą światełko z księżycem, który jest dla nich najjaśniejszym punktem odniesienia na niebie. Niektórzy z kolei twierdzą, że ćmy pragną się po prostu ogrzać. W przypadku Luizy i Józefa zadziałały oba te czynniki. Oboje nie tylko zaliczyli błąd nawigacyjny, ale także za wszelką cenę próbowali się ogrzać wzajemną fascynacją.

Skończyło się podobnie jak u nocnych motyli. Oszalałym uderzaniem skrzydełkami i samounicestwieniem.

Przyszedł do niej następnego dnia i powiedział, że choć cieszy się z tego dziecka i czeka na nie z utęsknieniem, to jednak nie potrafi o niej zapomnieć. Luiza początkowo chciała spytać o żonę, ale potem przypomniała sobie, że przecież nigdy o nie nie pytała.

– Nie umiemy razem żyć – powiedział tylko Józef, a ona uznała, że to jej wystarczy. Przynajmniej na ten moment.

Został u niej aż do rana, a później przychodził i znikał, za każdym razem z tym samym bólem w oczach. Co było gorsze? Fakt, że zdradzał żonę, czy że zostawiał Luizę?

Nie potrafił podjąć żadnej decyzji, a w takiej sytuacji pałeczkę przejmuje los znudzony tą ciągłą niepewnością. Nie wiesz, czego chcesz?

To stań obok i obserwuj.

Konstancja popatrzyła na zdjęcie Józefa. Przystojny, uśmiechnięty, śmiesznie wygolony, w białej koszuli i spodniach na szelkach. Wyjęła fotografię ze starego kartonu wraz z pocztówkami, życzeniami świątecznymi od matki, biletem na bal sylwestrowy z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku (czy on już wtedy...?) i złożoną na pół różową wizytówką. Znalazła ją w kieszeni jego zielonego swetra i wpatrując się intensywnie w imię Luiza, prawie zobaczyła jej twarz. Widziała już kiedyś taki bilecik...

– Dlaczego mówisz czasem do mamy Luiza? – To pytanie zadała babci Kunegundzie kilkanaście lat temu.

Babcia nie próbowała nawet zmieniać tematu albo udawać, że tylko się pomyliła. Rzeczowo i sucho, czyli bardzo w swoim stylu, streściła jej, czym się zajmuje Kwiryna lub raczej czym się zajmowała przed wojną i skąd mają pieniądze na mieszkanie i naukę w Warszawie. Pokazała jej wizytów-

kę. Różową, pogniecioną.

– Zabrałam jej kiedyś, na pamiątkę – powiedziała.

– Mama była prostytutką? – wyszeptała Konstancja.

– Damą lekkich obyczajów, lub raczej, jak mi kiedyś wyjaśniła jej przyjaciółka, ciężkich. Spotykała się tylko z wybranymi i bardzo bogatymi klientami, którzy pozwalali jej żyć tak, jak chciała. A najwyraźniej chciała pomarańczy, futer i pereł. Każdy ma inne potrzeby, widać jej były dość mocno ograniczone – dodała nie bez sarkazmu.

– A ten Witold?

– Zdaje się, że kupił ją na własność. Przynajmniej tyle z tego, że dzięki niemu udało się nam przeczekać wojnę w jej przedsionku. No i mamy za co żyć.

– Luiza...

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Matki się nie wybiera, ale własną przyszłość można.

Konstancja doszła wtedy do wniosku, że w tej przyszłości nie będzie miejsca dla Luizy. Było jej potwornie wstyd. Jak to możliwe, że ktoś, kto ją urodził, kto zdecydował się na dziecko, mógł robić coś takiego? I to tylko dla pieniędzy? Poza tym i tak nie miały najlepszego kontaktu. Ze wspomnień dzieciństwa przeblyskiwały jej wprawdzie jakieś barwne sceny, śmiech i zabawa, ale czas skutecznie je rozmył. Ileż w końcu można odtwarzać wspólne kąpiele nad jeziorem z mamą i... taką śmieszną gumową kaczuszką? Albo Wigilię, podczas której Konstancja zasnęła wtulona w Kwiryne i nawet nie doczekała wizyty Mikołaja. Kiedyś pojechały na łyżwy. Tylko we dwie, zupełnie jakby ukradły tę chwilę. Przewracały się na śliskim lodzie, całowały w nosy i śmiały tak bardzo, że ciężko im było ustać na nogach. A potem? Coraz mniej było tych spotkań, coraz rzadsze wizyty... I wreszcie ten wyjazd do Warszawy, ale już bez mamy.

– A mój ojciec? – spytała, wrywając samą siebie z własnych myśli.

Kunegunda roześmiała się nieprzyjemnie.

– Rachunek prawdopodobieństwa był zbyt duży, żeby stwierdzić z całą pewnością, kto nim jest. Ale się nie przejmuj. Już pewnie i tak był czyimś ojcem.

Po śmierci Kunegundy Konstancja postanowiła nie informować matki o pogrzebie. Wiedziała wprawdzie, że Kwiryna (Luiza?) wróciła do Warszawy, miała nawet jej adres, ale nie potrafiła stanąć z nią twarzą w twarz. Zresztą babcia z pewnością nie miałaby nic przeciwko temu, że Konstancja zataiła przed matką datę pogrzebu.

Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, przez ułamek sekundy chciała się podzielić tą wiadomością z Kwiryną, ale po namyśle odpuściła. Cieszyła się z tego dziecka. Marzyła, że urodzi córkę, której zapewni tyle miłości, uczucia i czasu, ile nigdy od nikogo nie dostała. Owszem, Józef ją kochał, ale jakoś tak nieporadnie. Nie kłócili się, ale ciągle odnosiła wrażenie, że żyją bardziej obok siebie niż razem. Sama nie wiedziała, co ją gniotło, co powodowało, że ciągle była nieszczęśliwa, smutna i miała stany depresyjne. Józef z kolei miewał momenty „zawieszenia”. Rozmawiali, jedli wspólnie kolację i nagle milkł, odpływając spojrzeniem zupełnie gdzieś indziej. Czy na tym właśnie polega bliskość? Byli jak dwie proste równoległe, które zawsze biegły blisko siebie, ale nigdy nie mogły się

przeciąć.

– Jeśli to będzie córka, damy jej imię na literę K. To tradycja w naszej rodzinie.

– Może Kinga? – zaproponował Józef.

Konstancja zastanowiła się przez chwilę. Może. Albo Klarysa. Albo jeszcze jakoś inaczej.

– A dlaczego Kinga? – spytała nagle.

Nie odpowiedział, tylko znowu popłynął w te obszary, w których dla Konstancji najwyraźniej nie było miejsca.

Różowa wizytówka parzyła ją w ręce. W jaki sposób znalazła się w posiadaniu Józefa? Przecież on nic nie wiedział o jej matce, poza tym powiedziała mu, że Kwiryna zginęła podczas wojny. Serce waliło jej jak oszałałe. Zapytać?

Tak po prostu zapytać?

Nagle przed oczami stanęły jej wieczory, podczas których Józef czasami zniknął. Początkowo tłumaczył, że ma dyżury, z czasem mówił tylko, że musi wyjść. Nie pachniał wprawdzie inną kobietą, nie znalazła też nigdy żadnych śladów szminki, w ogóle nic nie wskazywało na to, że mógłby mieć romans. Więc skąd miał tę wizytówkę? A te momenty, w których bywał jakby nieobecny. Czy on wtedy myślał o kimś innym? Ale chyba nie o...?

Nie poszła do niego i nie zapytała. Nie chciała słyszeć żadnych wyjaśnień, tłumaczeń, pokrętnych odpowiedzi. Była w siódmym miesiącu ciąży i wiedziała, że teraz najważniejsze jest dziecko. Włożyła płaszcz, przeczesała włosy i wyszła z domu, trzymając w ręku różową wizytówkę i kartkę z adresem. Do torebki włożyła zdjęcie Józefa. Kiedy godzinę później stanęła twarzą w twarz z matką, chciało jej się wyc. Nie zadała jeszcze żadnego pytania, ale podskórnie czuła, jak w środku wszystko w niej pęka na pół. Bez słowa pokazała jej zdjęcie Józefa i powiedziała:

– To jest mój mąż, wiedziałaś?

Luiza zamknęła oczy i to wystarczyło, by do Konstancji dotarła przerażająca prawda. Wszystko krzyczało w niej, żeby matka zaprzeczyła. Żeby nie miała pojęcia, kim jest Józef. Żeby zaprosiła ją na herbatę i porozmawiały o dziecku. Cisza zawisła między dwiema kobietami, z których jedna patrzyła z coraz bardziej topniejącą nadzieją w oczach, a druga nie potrafiła temu zapobiec. Konstancja chwyciła się za brzuch, odwróciła i uciekła stamtąd, zanim matka zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Sześć tygodni później do Józefa czekającego z niecierpliwością pod szpitalem na narodziny dziecka zeszła pielęgniarka i powiedziała kilka słów, które prawie go zabiły:

– Pana córka zmarła przy porodzie. Współczuję.

A potem podała mu list, w którym Konstancja napisała, że jeśli choć jeden, jedyny raz pojawi się w jej pobliżu, ona popełni samobójstwo.

Jeszcze tego samego dnia Józef wrócił do rodzinnych Rozłogów i na dobrych kilka lat przestał się uśmiechać. Luizy nigdy więcej już nie zobaczył.

Zupełnie jakby rozplynęła się w powietrzu i jego marzeniach.

KIRA

Rozdział dwudziesty

Erich Fromm odróżniał „stan zakochania” od „stałego uczucia kochania”. Pierwsze zjawisko trwa krótko, pojawia się nagle i nie wymaga większego wysiłku. Drugie jest już sztuką, której należy się nauczyć. Bo prawdziwa miłość nie jest prosta i nie przychodzi łatwo. Wymaga od człowieka wiele wysiłku, wiedzy, cierpliwości i tylko szczypty egoizmu. Człowiek zakochany stawia na pierwszym miejscu siebie, człowiek, który kocha, rezygnuje z tego przywileju.

Kordian zadzwonił do niej cztery dni po spotkaniu, dokładnie w tym momencie, kiedy postanowiła go odwiedzić na uczelni. Kiedy odbierała połączenie, odruchowo zamknęła oczy.

– Chciałbym się z tobą spotkać.

Usiadła jak w puchu, choć było to tylko redakcyjne krzesło.

– W tej cukierni pralinkowej co ostatnio? – spytała z uśmiechem.

– Nie... – zawahał się na moment. – W jakimś bardziej prywatnym miejscu.

Zachłysnęła się przepelniającą ją radością.

– U mnie nie bardzo...

– U mnie też nie, mieszkam z babcią – wtrąciła szybko. – To może w hotelu?

– Kiedy?

– Sobota wieczór o dwudziestej w Sheratonie?

Trudno, nawet jeśli to ona będzie musiała zapłacić, to ten jeden jedyny raz warto. Sprawdziła dostępność pokoi i zarezerwowała dwójkę. Niecałe pięćset złotych, ze śniadaniem. Stać ją. Ten wieczór będzie wyjątkowy pod każdym względem. Po raz pierwszy spotka się z mężczyzną, w którym naprawdę się zakochała i po raz ostatni odbije komuś faceta. Koniec z byciem modliszką. Z podkradaniem cudzego szczęścia. Koniec z usprawiedliwianiem się, że to przez matkę pogubiła się we własnych uczuciach. Albo że ma w sobie złe geny prababki. Kosma miał rację. Ma moc i jest silna. Potrafi ułożyć sobie życie od początku do końca na własnych warunkach i nie musi korzystać z żadnych promocji. Faceci z drugiego obiegu już jej nie interesowali. A kiedyś może nawet przeprosi Annę.

W Sheratonie pojawiła się o siedemnastej. Pokój był prosto urządzone, z podwójnym łóżkiem i bukietem świeżych tulipanów na stole. Płaski telewizor, miękki dywan, jasne zasłony. Nie było tu jaśniej specjalnie romantycznie, stylowo, czy choćby przytulnie, ale uznała, że tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. Nocą i tak schowają się w jej mroku, a nad ranem będzie im wszystko jedno. Wysłała Kordianowi SMS-a z numerem pokoju i napuściła wody do wanny. Na włosy nałoży-

ła poziomkową maseczkę i schowała je pod gorącym, mokrym ręcznikiem. W zasadzie robiła to co zwykle, tyle że wcześniej zabiegom tym nie towarzyszyło aż takie oczekiwanie.

A jednak się skusił!

Potrzebował wprawdzie kilku dni, ale tylko go za to podziwiała. Zazwyczaj faceci nie sprawdzali nawet swoich kalendarzy, tylko od razu proponowali randki w hotelu. Lubiła hotele. Były przyjemne, ale także anonimowe. Tysiące gości, tysiące twarzy, nikt nikogo nie starał się zapamiętać. Przez łóżka przewijały się setki ciał – grubych, chudych, spoconych, nagich, piegowatych lub owłosionych. Z pokojowych barków znikwały miniaturowe buteleczki, a z łazienek miniaturowe kosmetyki. Ręczniki lądowały na podłodze, od czasu do czasu ktoś je rzucał na grzejnik lub nawet starannie składał. Czasami ktoś nawet umierał, choć szefostwo hotelu zawsze starało się tuszować takie wypadki. Nie oddzwaniano do gości, kiedy zostawili coś w pokoju. Kira znalazła jakiś czas temu jedwabny krawat, który z pewnością nie należał do jej partnera. Oddała go recepcjonistce, ale ta tylko machnęła ręką.

– Nikt nie będzie szukał właściciela.

– Jak to? – zdziwiła się Kira.

– Normalnie. Proszę sobie wyobrazić, że krawat zostawia Kowalski, a telefon odbiera Kowalska. My jej mówimy, że mąż zostawił wczoraj krawat w pokoju hotelowym, a ona nam na to, że mąż był wczoraj w Szczecinie. Nikt nie potrzebuje takich kłopotów.

Kira pomyślała wtedy, że pewnie ona sama nieraz była takim Szczecinem, Krakowem albo nawet tygodniowym wyjazdem służbowym do Berlina.

Krótko przed dwudziestą nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Siadała, wstawała, włączała telewizor, naląła do kieliszka białego wina. Ubrana była w czarną sukienkę na cienkich ramiączkach, pod którą nic nie miała. Bielizna często przeszkadza w sytuacjach intymnych i chociaż na filmach koronkowe majteczki wyglądały cudownie, opadając miękko na podłogę, to w praktyce zawsze je człowiek o coś zahaczył, zaczepił, a czasem nawet podarł. Delikatne pukanie do drzwi spowodowało, że na moment straciła kontrolę nad własnymi myślami.

„Spokojnie. Będzie dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałaś, tylko teraz po prostu się uspokój”.

A potem wstała i otworzyła drzwi, ubierając swoją twarz w najbardziej kuszące spojrzenie i zniewalający uśmiech. Jedną rękę oparła na biodrze, a drugą nagle przyłożyła sobie do ust.

Kordian wszedł jako drugi, przepuszczając w drzwiach... Annę.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby ciągnąć niemowlę w tak daleką drogę. Twój samochód nie jest raczej królem szos, poza tym nie ma klimatyzacji – powiedziała Konstancja, marszcząc czoło i patrząc na przemian to na Kalinę, to na Kosmę.

– Konstancjo moja najdroższa – zaczął ten ostatni, choć natychmiast musiał uskoczyć, bo zamachnęła się w jego kierunku poduszką. – Zupełnie niepotrzebnie się martwisz. Wytłumaczyłem już Helenie, dokąd jedziemy, co zobaczymy po drodze, a jeśli chodzi o brak klimatyzacji, to żywię nadzieję, że o tej porze roku być może nie będzie jeszcze tak bardzo potrzebna.

– Wytlumaczyłeś jej? – zapytała ironicznie. – To mnie rzeczywiście bardzo uspokoiło.

– Mamo, najważniejsze, że samochód jest sprawny, a Hela zdrowa. Uda nam się – powiedziała Kalina. – W końcu przejechałam już nim drogę do Amsterdamu i z powrotem.

Citroen, model 2 CV, czyli słynna „kaczka”, miał piękny ciemnozielony kolor i obicia w kolorze cappuccino. I był bardzo doświadczony. Przeżył ubiegłoroczną podróż Kaliny, zmianę koła, różnych autostopowiczów, burze, ulewy i spiekotę lata. Nigdy się nie zepsuł, choć do najmłodszych nie należał. Kosma zamontował na jego tylnym siedzeniu specjalny fotelik dla Heleny, okna osłonił pieluchami, a także na wszelki wypadek kupił przenośny wentylator na baterie. Starannie też odkaził wnętrze auta, a potem zaczął odprawiać dziwne zaklęcia, na których to przyłapała go Kalina. Oczywiście za żadne skarby nie chciał powiedzieć, o co chodzi, mówiąc tylko, że dla niektórych ezoteryka to bzdury, a jednak wróżki zarabiają na gadaniu zdecydowanie lepiej niż telemarketerzy.

– Mruczałeś mantry w samochodzie, prosząc go o przychylność? – upewniła się, ale Kosma udął, że tego nie słyszał.

Kobiety potrafią czasem wyprowadzić z równowagi nawet nieboszczyka.

– A praca? – spytała nagle Konstancja.

– Mamo, jedziemy w długi weekend majowy. Wzięłam tylko jeden dodatkowy dzień wolny i uzbierał nam się cały tydzień. – Kalina po urlopie macierzyńskim wróciła na razie na pół etatu do pracy w szkole, co niezwykle uradowało dyrektora Oczko. Zastępstwo za nią okazało się wprawdzie młode i ładne (Milenka, lat dwadzieścia siedem), ale zdecydowanie mało profesjonalne. Uznało na przykład *Dzieci z Bullerbyn* za wyjątkowo nudną opowieść (nie mieli komórek) i nie uroniło ani jednej łzy przy książce *O psie, który jeździł koleją*. Jak można przy tym nie płakać? Nic dziwnego, że rosło im pokolenie wyrachowanych klonów, biało-czarnych szeregowców, bez czucia i nuty romantyzmu.

– Ale ty chyba właśnie w tym okresie masz sporo zamówień, prawda? – Konstancja nie poddawała się, patrząc wyzywająco na Kosmę.

Uśmiechnął się do niej od ucha do ucha, więc tylko machnęła ręką.

W zasadzie nie miała nic przeciwko ich wyjazdowi, ale czuła, że musi się sprzeciwić. Coś powiedzieć, zareagować, pokazać, że jednak ma odmienne zdanie. To nie tylko dodawało jej siły, ale także – w tym konkretnym przypadku – mogłoby nieco odwrócić uwagę od jej decyzji.

Nie, żeby już ją ostatecznie podjęła.

Ale może rzeczywiście warto pojechać w Pieniny? Może Kira ma rację? Tyle tylko, że nie będzie z Józefem w ogóle rozmawiać.

Kira pomyślała najpierw, że ma przywidzenia, potem zastanowiła się, czy umawiali się na trójkąt, a na końcu po prostu usiadła na łóżku i postanowiła w ogóle się nie odzywać.

To chyba jakiś zły sen.

Dlaczego on przyszedł ze swoją dziewczyną? Chciał jej przedstawić Kirę? Zerwać w ten sposób,

uczciwie i bez oszukiwania? W końcu ona pisze jakąś pracę o kłamstwie, więc może ciężko byłoby ją nabrać. Niemniej jednak sytuacja była wyjątkowo niezręczna, bez żadnej domieszki komizmu. Kira najchętniej uciekłaby stamtąd, ale droga na korytarz była zastawiona Anną. Dość pospolitą w swej urodzie. Błądą, z prostymi włosami, jasną cerą i ustami pozbawionymi uśmiechu, co jednak było dość zrozumiałe.

– Czy mógłbyś... – zaczęła Kira, ale Kordian niemal natychmiast jej przerwał.

– Przepraszam – powiedział. – To pewnie bardzo głupi pomysł i nigdy go nie zrozumiesz, ale ja chciałem w ten sposób powiedzieć jedno.

Kira przełknęła ślinę.

– Jeśli kogoś kochasz naprawdę, to bardziej myślisz o nim niż o sobie. I ja, zaplątany myślami o kimś innym, nagle wyobraziłem sobie, jak poczuje się Anna. Jak bardzo ją zranię tylko dlatego, że na chwilę o niej zapomnę. Czy ta chwila naprawdę jest tego warta?

Kira wolała nie odpowiadać.

– Znam na pamięć każdy pieg na jej twarzy, wiem, jak śmiesznie oddycha przez sen i że ma wystający prawy obojczyk. I wiem też, że niewiedza na twój temat jest bardzo intrygująca. Ale niech pozostanie niewiedzą. A ja pozostanę z Anną. Dzisiaj, jutro i pewnie na zawsze, choć podobno tym słowem psujemy romantykę, próbując nadać jej wieczną trwałość.

– Oscar Wilde – powiedziała odruchowo Kira.

Skinął głową.

Nagle Anna wyciągnęła do niej rękę i powiedziała:

– Z jednej strony cię nienawidzę, z drugiej zaś odczuwam satysfakcję, że udało nam się stawić czoło takiej próbie – omiotła ją spojrzeniem z góry do dołu. – Początkowo chciałam zerwać z Kordianem, ale potem doszłam do wniosku, że chyba nigdy żaden facet nie postąpił wobec mnie tak uczciwie. Powiedział mi o fascynacji twoją osobą i o tym, że jednak to ja wygrałam.

Zamyśliła się na moment.

– To ja chciałam tu przyjść. To ja wymyśliłam ten hotel i wasze spotkanie. Chciałam zobaczyć, jak daleko się posuniesz, ale też poznać osobę, z której Kordian zrezygnował dla mnie. Przyznaję, jesteś zjawiskowa. I mam ogromną satysfakcję, że ta zjawiskowość przegrała z naszym, pewnie nudnym, ale jednak prawdziwym uczuciem.

Kira poczuła zapach upokorzenia, ale może to była tylko poziomkowa odżywka do włosów. Wiedziała, że nie wolno jej się odezwać ani słowem, że musi przeczekać ten szekspirowski występ, a potem starannie zamknąć za tą dwójką drzwi i postarać się nie rzucić w nie coś ciężkim. Jak również w odruchu rozpaczony nie wyskoczyć z okna.

Nie, nie może. Nie ma na sobie bielizny. Nie będzie leżeć na bruku z pękniętą czaszką i gołą dupą.

Kordian próbował uśmiechnąć się do niej, ale marnie mu to wyszło. Skinęła tylko głową, że wszystko dobrze zrozumiała, a teraz najwyższy czas się pożegnać. Na szczęście byli tego samego zdania. Kiedy wyszli, osunęła się bez czucia na podłogę i schowała głowę w ramionach.

Czy to się naprawdę wydarzyło? I co to za pomysł z tym hotelem? Nie mogli się spotkać w kawiarni? Pewnie nie chcieli mieć żadnych świadków. Albo obawiali się jakiejś bójki, krzyków, napadów hysterii. Ale wstyd!

Nagle wstała, poszła do łazienki i szybko założyła majtki. Od razu poczuła się jakoś bezpieczniej. Zachichotała nawet nerwowo, a potem zaczęła się błyskawicznie pakować. Uciec, uciec jak najdalej z miejsca największej porażki w jej życiu.

Za dwadzieścia dziesiąta zapukała do drzwi Kaliny i Kosmy, i zanim zdążyli ją o cokolwiek zapytać, przytuliła się z całej siły do matki i wyszeptała:

– Mogę jechać z wami? Do tego tulipanowego rajy?

Kalina najpierw ostrożnie, a potem coraz mocniej oddała jej ten uścisk, pocałowała w zapłakane oczy i powiedziała:

– Sama chciałam ci to zaproponować.

Ktoś kiedyś powiedział, że czasem lepsze jest kłamstwo, które wywołuje uśmiech, niż prawda, która powoduje łzy.

Konstancja usiadła na chwilę, bo babcia Kunegunda zawsze uczyła ją, że przed podróżą należy przysiąc.

– W ten sposób oszukujemy przeznaczenie i odganiamy pecha – mówiła.

– Oszukujemy?

– No tak. Los myśli, że jednak zostajemy, i nie spleta nam w czasie wycieczki żadnego figła.

Nie miała zbyt wielu okazji, żeby siadać przed podróżą. Raz, kiedy wyjeżdżała z Francji z cichą nadzieją, że matka jednak ją zatrzyma, i drugi – kiedy przeprowadzała się z Warszawy do Poznania, wierząc, że tutaj Józef nigdy jej nie odnajdzie. A jeśli ona wtedy właśnie nie usiadła? To pewnie dlatego w końcu ją odszukał.

– Gotowa? – Józef zapytał, stając w drzwiach i sięgając ręką po jej walizkę.

Ubrany był w brązowe spodnie z wielkimi kieszeniami, zieloną kurtkę i ciężkie, wojskowe buty. W ogóle nie wyglądał na kogoś, kto dobija do osiemdziesiątki. Kiedy mu powiedziała, że muszą wziąć ze sobą Patrycjusza, bo nie ma go z kim zostawić, przez moment myślała, że może się rozmyśli. Ale on klasnął tylko w dłoń i zawołał:

– Mój ulubieniec! Oczywiście, że jedzie z nami.

Bez słowa podała mu walizkę, a sama wzięła transporter z kotem.

– Pociąg mamy za czterdzieści minut. W Nowym Sączu przesiądziemy się na minibus i pojedziemy prosto do Szczawnicy, gdzie mamy nocleg, a następnego dnia dotrzemy do Krościenka. Wszystko załatwiłem, mam też bilety dla kocura. – Puścił do niej oko.

Nie zareagowała.

Józef poprawił torbę na ramieniu i uśmiechnął się pogodnie.

– Zadowolona?

– Nie odzywaj się do mnie. Taka była umowa.

EPILOG

Mer małego miasteczka Gigondas na południu Francji poprawił apaszkę na szyi i raz jeszcze zerknął na urodzinowy tort. Lśniąca polewa czekoladowa, w środku rozpływający się w ustach biszkopt przełożony pomarańczową masą, a całość udekorowana opiłkami jadalnego złota. Nie był tani, ale w końcu niecodziennie kończy się dziewięćdziesiąt pięć lat!

Starsza pani wprawdzie na tyle nie wyglądała, a jednak zbliżała się do setki. Wtedy dopiero wyprawią jej przyjęcie! Być może znowu wystawią operę, tylko na jej cześć. Pamiętał, jaka była zachwycona *Traviattą* Verdiego. Pewnie dlatego, że główną rolę Violetty odśpiewała artystka polskiego pochodzenia. O, i jeszcze zamówią światowej sławy cyrkowców i najlepszych francuskich kucharzy. Napisze o tym nie tylko lokalna prasa, a kto wie, może do życzeń dołączy się sam prezydent. Starsza pani nie była w końcu byle kim. Mimo swoich lat samodzielnie zarządzała winnicą oraz niewielką plantacją oliwek. Jej wino Gigontas Rouge dorównywało smakiem słynnemu Châteauneuf-du-Pape, nic dziwnego zatem, że eksport trunku co roku odnotowywał kolejne sukcesy, a ich miasteczko było chętnie odwiedzane przez smakoszy wina z całego świata.

Na razie jednak musiał zanieść jej tort i zaprosić na przyjęcie do ratusza. Dzisiaj na siedemnastą.

– Madame Luiza? – Zapukał do drzwi i od razu uśmiechnął się na jej widok.

Wyglądała zjawiskowo.

Ubrana w biały garnitur i biały kapelusik z delikatną woalką. Miała usta pomalowane błyszczącym i ładnie podkreślone oczy. Te oczy! Te cudne, niemalże baśniowe oczy, które zawsze robiły na nim ogromne wrażenie. W jednej ręce trzymała białe rękawiczki, w drugiej... walizkę.

– Pani dokąd wyjeżdża? – zapytał ze zdumieniem.

Kiwnęła głową.

– *Oui, mon chérie*. Do Polski.

– Jak to do Polski?

Roześmiała się.

– Po prostu. Nie byłam tam od... – Machnęła ręką. – Zresztą nieważne. Po prostu jadę.

– Do Warszawy?

– Nie, w góry. Znasz Pieniny? Pewnie słyszałeś co najwyżej o Tatrach. Ale ja jadę w Pieniny. Do... – spojrzała na niego, marszcząc czoło – chyba i tak nie wymówisz tej nazwy.

– Proszę zaryzykować – zaproponował mer.

Luiza poprawiła kapelusik i obdarzyła go ślicznym niebiesko-brązowym spojrzeniem. Kto wie, czy jeszcze kiedyś będzie mógł je zobaczyć.

A potem wyjęła z torebki małą drewnianą rzeźbę świętej Kingi, uśmiechnęła się do niej i powiedziała:

– Jadę do Krościenka.

Koniec

OD AUTORKI

Najpierw kupiłam około dwudziestu różnych książek, potem drugie tyle wypożyczyłam z biblioteki. Czytałam, robiłam notatki i kiedy powoli wydawało mi się, że czuję klimat przedwojennej Warszawy i orientuję się w hierarchii ówczesnych prostytutek, zaczęłam pisać.

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie inni autorzy i ich absolutnie rewelacyjne opracowania, które powinny stać się lekturami obowiązkowymi. Czyta się je z zapartym tchem, choć nie zawsze są beletrystką.

Przy konstruowaniu historii Luizy, przy ubieraniu jej, malowaniu, czesaniu, robieniu zakupów w Warszawie lat trzydziestych ubiegłego wieku, oprowadzaniu po różnych dzielnicach tego miasta, spacerowaniu po bazarach, a nawet strojeniu choinki, pomagały mi następujące książki:

Maria Barbasiewicz, *Dobre maniery w przedwojennej Polsce*, PWN, Warszawa 2012.

Tadeusz Boy-Żeleński, *Piekło kobiet*, Alfa, Warszawa 1930.

Loda Halama, *Moje nogi i ja*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1984.

Kamil Janicki, *Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce*, Znak, Kraków 2015.

Iwona Kienzler, *Dwudziestolecie międzywojenne*, tom 48, *Kultowe marki*, Bellona, Warszawa 2014.

Sławomir Koper, *Dwudziestolecie międzywojenne*, tom 10, *Życie codzienne*, Bellona, Warszawa 2013.

William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerva, Warszawa 1936.

Monika Piątkowska, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce*, PWN, Warszawa 2012.

Remigiusz Piotrowski, *Absurdy i kurioza przedwojennej Polski*, PWN, Warszawa 2016.

Nickie Roberts, *Dziwki w historii. Prostyucja w społeczeństwie zachodnim*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1997.

Magdalena Samozwaniec, *Maria i Magdalena*, Glob, Łódź 1987.

Michalina Wisłocka, *Miłość na całe życie. Wspomnienia z czasów beztroski*, Bertelsmann Media, Warszawa 2002.

Andrzej Zawada, *Dwudziestolecie literackie*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.

Cytaty w powieści pochodzą między innymi z dawnych czasopism, gazet, poradników, reklam w gazetach i broszurek, takich jak: „Kuryer Kobiety”, „Higiena kobiety we wszystkich okresach jej życia”, „Powszechna Gazeta Fryzjerska”, „Podręcznik kobiety eleganckiej”, „Amorek”, „Nowy Dekameron”, „Przewodnik dla dam” czy czasopismo „Świat”.

Menu hotelu Bristol pochodzi z artykułu Jerzego S. Majewskiego pt. *Smaki dawnej Warszawy*, http://palcelizac.gazeta.pl/palcelizac/1,110783,8982782,Smaki_dawnej_Warszawy.html, 2011.

Za historię o Wincentym Władysławie dziękuję Maryli Fabisińskiej (mamie mojej pisarskiej przyjaciółki). To dzięki niej w książce pojawiło się Krościenko, historia z trumną i święta Kinga.

Ogromne podziękowania należą się Magdalenie Wali i Marii Paszyńskiej za to, że na chwilę odłożyły na bok swoje zajęcia i rzuciły fachowym okiem na przedwojenną część książki. To dzięki ich spostrzegawczości uniknęłam kilku „wpadek” i ulepszyłam historię Luizy. Marysiu, Twoja dbałość o szczegóły jest fascynująca!

Pisząc historię Kiry, korzystałam głównie z poradników i książek psychologicznych analizujących zjawisko zdrady. Wśród nich znalazły się następujące publikacje:

David M. Buss, *Ewolucja pożądania. Jak ludzie dobierają się w pary*, GWP, Sopot 2016.

Elizabeth Kerri Mahon, *Skandalistki. Historie kobiet niepokornych*, WAB, Warszawa 2011.

Reay Tannahill, *Historia seksu*, Książka i Wiedza, Warszawa 2001.

Poza monogamią, praca zbiorowa, Elipsa Dom Wydawniczy i Handlowy Włodzimierz Ulicki, Warszawa 2012.

Vaughan Peggy, *Mit monogamii. Jak poradzić sobie ze zdradą partnera*, Helion, Gliwice 2009.

Porady fikcyjnego Eugeniusza Kozłowskiego to swobodna interpretacja książki Piotra Marta *Mężczyzna od A do Z. Najprawdopodobniej najlepszy poradnik o mężczyznach napisany przez faceta z myślą o kobietach*, Helion, Gliwice 2010.

Jeśli zaś chodzi o Kordiana, to czytał on książkę Artura Szrejtera, *Mitologia germańska. Opowieści o bogach mroźnej Północy*, L&L, Gdańsk 2006.

I tak kończy się historia kilku pokoleń kobiet, którym trudno było ze sobą żyć, rozmawiać i kochać się nawzajem. Próbowaly jednak walczyć o siebie i swoje marzenia, nawet jeśli musiały czasem słono za to zapłacić. Z drugiej jednak strony życie każdej kobiety to nieustająca walka, coś o tym wiemy.

Zakończenie jest otwarte, więc może kiedyś...

Dziękuję wszystkim Czytelnikom za to, że są, że czytają, że chcą więcej i wspierają przy każdej kolejnej powieści. Dziękuję blogerom książkowym, krytykom literackim i każdemu, kto kupił moją książkę. Dziękuję najbliższym za wsparcie i zrozumienie, że kiedy piszę, nie do końca ogarniam rzeczywistość.

Pora naładować akumulatory i poszukać nowej historii!

Do zobaczenia już jesienią!

Natasza Socha
natasza@yahoo.com

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

LUIZA - Rozdział 1

KIRA - Rozdział 1

LUIZA - Rozdział 2

KIRA - Rozdział 2

LUIZA - Rozdział 3

KIRA - Rozdział 3

LUIZA - Rozdział 4

KIRA - Rozdział 4

LUIZA - Rozdział 5

KIRA - Rozdział 5

LUIZA - Rozdział 6

KIRA - Rozdział 6

LUIZA - Rozdział 7

KIRA - Rozdział 7

LUIZA - Rozdział 8

KIRA - Rozdział 8

LUIZA - Rozdział 9

KIRA - Rozdział 9

LUIZA - Rozdział 10

KIRA - Rozdział 10

LUIZA - Rozdział 11

KIRA - Rozdział 11

LUIZA - Rozdział 12

KIRA - Rozdział 12

LUIZA - Rozdział 13

KIRA - Rozdział 13

LUIZA - Rozdział 14

KIRA - Rozdział 14

LUIZA - Rozdział 15

KIRA - Rozdział 15

LUIZA - Rozdział 16

KIRA - Rozdział 16

LUIZA - Rozdział 17

KIRA - Rozdział 17

LUIZA - Rozdział 18

KIRA - Rozdział 18

LUIZA - Rozdział 19

KIRA - Rozdział 19

LUIZA - Rozdział 20

KIRA - Rozdział 20

EPILOG

OD AUTORKI